Gabryela Zapolska.

MENAŻERYA

LUDZKA.

Żabusia; Koteczek; Kozioł ofiarny; Kundel; Oślica; Kukułka; Lowek; Małpa; Szakale; Papuzia; Bydlę; Gołąbki.

WARSZAWA.
Wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego".

1893.

GUBRYNOWICZ I SCHMIDT
we LWOWIE
Księgarnia i Skład nut.

Menażerya ludzka

Gabriela Zapolska

Wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego“, Warszawa, 1893

Pobrano z Wikiźródeł dnia 1 lutego 2026

Gabryela Zapolska.

MENAŻERYA LUDZKA.

Żabusia; *Koteczek*; *Kozioł ofiarny*; *Kundel*; *Oślica*; *Kukułka*; *Lewek*; *Małpa*; *Szakale*; *Papuzia*; *Bydlę*; *Gołąbki*.

WARSZAWA.
Wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego“.

1893.

Дозволено Цензурою,
Варшава, 28 Августа 1892 г.

SPIS TREŚCI[1]

I. Żabusia 1
II. Koteczek 16
III. Kozioł ofiarny 48
IV. Kundel 82
V. Oślica 112
VI. Kukułka 145
VII. Lewek 193
VIII. Małpa 217
IX. Szakale 247
X. Papuzia 269
XI. Bydlę 298
XII. Gołąbki 323

W Drukarni „Przeglądu Tygodniowego“,
Warszawa, Czysta № 4.

1. ↑ Spis treści dodany przez zespół Wikiźródeł.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Gabriela Zapolska](#).*

I.

Ż a b u s i a.

Była jasną blondynką, jasną jak słońce promienne...

Drobna jej, maluchna buzia różowa i biała — śmiała się jakimś dziecinnym, naiwnym śmiechem, żłobiącym w pulchnych policzkach dwa rozkoszne dołki.

Z całej jej postaci zdawała się wydzielać woń, właściwa różowym hyacyntom, a gdy ubrana w różowe „matinée“, przesuwała się ze śmiechem z pokoju do pokoju — jakaś srebrna smuga znaczyła jej przejście, smuga, którą pozostawia po sobie wschodząca jutrzenka.

Śmiała się ona zawsze, ta rozkoszna, jasnowłosa kobietka — śmiała się leżąc jeszcze w kołysce, potem u kratek konfesyonału — wreszcie u stopni ołtarza, gdy wlokła za sobą szumiący tren jedwabnej białej szaty.

Śmiech powitał nawet krzyk jej córki — bo nawet w cierpieniach umiała coś zabawnego wynaleźć.

Była bardzo pobożną i codzień prawie biegała do kościoła.

Miała ładną książeczkę, oprawną w kość słoniową i zbrudzoną na kartkach, które czerniły się modlitwą „Za męża i rodzinę“.

To była jej świąteczna książka — na codzień miała wielkiego „Dunina“, którego czytała, strzelając oczkami na lewo i prawo, lub przechylając główkę na atłasową kołdrę swego eleganckiego łóżka.

Lubiła łakocie i miała pod poduszką kilka daktyli, które

jadła, przebudziwszy się w nocy, chichocząc się jak szalona.

Przepadała za wanilią i miała jej zawsze pełne kieszenie, lubiła grać w loteryjkę — przytem szachrowała dość zręcznie.

Córkę swoją — małą, pucołowatą dziewczynkę, przezwała „Nabuchodonozorem“ a męża „Rakiem“. Siebie samą, jakkolwiek miała na chrzcie św. imię Zofii, nazywała „Żabusią“. Często siadywała na dywanie i bawiła się z córką, przyczem następowała zwykle kłótnia o zabawki, które matka z córką wydzierały sobie wzajemnie...

Mąż, dobry, poczciwy filister, urzędnik w jakiemś towarzystwie asekuracyjnem, pokręcał wąsa i uśmiechał się z zadowoleniem.

— Dziecinna! ach! jaka dziecinna ta moja Żabusia!

Ona, z krzykiem zrywała się z ziemi, siadała na kolanach męża i rozpoczynała śpiewać...

Jechał pan
Za nim chłop
A za nimi żydóweczki
Pogubiły patyneczki...

Śpiewając, wyciągała z mężowskich kieszeni pieniądze i z powagą dawała mu dziesięć groszy.

— Masz, Raku, na czarną kawę!...

Resztę pieniędzy chowała do tualetki.

I Rak poddawał się tej tyranii, jakkolwiek dziesięć groszy dziennie, nawet dla urzędnika w towarzystwie ubezpieczeń, chyba za mało!...

Jakże się jednak sprzeciwić tej rozkosznej istocie, która z całą naiwnością patrzy mu w oczy i biały, pachnący karczek do pocałunków nadstawia? Brał Rak ową wytartą dziesiątkę i całował Żabusię, znajdując w tem wiele rozkoszy.

Była więc bożyszczem całego domu.

Kochał ją mąż, pomimo że tyranizowała go nieznacznie.

Kochało dziecko, pomimo że wydzierała mu zabawki i wyrywała włosy, czesząc dwuletnią dziewczynkę à la Mikado.

Kochały sługi, pomimo że grymasiła bezustannie i czasem całe ranki siedziała w kuchni.

Nad wszystko jednak ubóstwiali ją rodzice.

Tych dwoje starych ludzi w Żabusi swej widziało uosobienie cnót i doskonałości wszelakich.

Żabusia — jedyne, wypieszczone dziecko, za wzór była wszystkim kobietom stawiana...

I gdy co wieczór zgromadzano się dokoła stołu, oświeconego wiszącą lampą, Żabusia, wycinająca lalki z tektury lub lepiąca abażury, była punktem koncentrującym wszystkie spojrzenia.

Ku niej zwracano się, uśmiechano, przesyłano pieszczotliwe słowa.

Ona, różowa, biała, wesoła — poddawała się tym pieszczotom, tej wielkiej miłości, jaka ją otaczała, kąpiąc się niejako w cieple przywiązania i rozsiewając dokoła promienie szczęścia rodzinnego. Każdemu odwzajemniała się dobrem słowem, uśmiechem — a drażniąc Nabuchodonozora, głaskała dziecko po głowie; potrąciwszy sługę, uśmiechała się do niej, nazywając „poczciwą

idyotką“...

Nie — stanowczo, nikt nie mógł się na Żabusię gniewać, lecz przeciwnie, każdy musiał ją uwielbiać jak wcielenie dobroci, wdzięku i prostoty....

* *
*

Była ona uosobieniem kobiecości.

Miała tyle tkliwości w spojrzeniu, w głosie, w ruchach łaszącej się kotki, że rozkosz było patrzeć, gdy na paluszkach skradała się, aby uszczypać drzemiącego męża, lub nasypać pieprzu w otwartą buzię córki...

Śmiała się potem rozkosznie i wdzięcznie przeginając, zasypywała pieszczotami przerażonego męża, lub skrzywioną dziecinę... mówiła przytem cieniuchnym głosikiem:

— Nie gniewać się na Żabusię!...

Więc mąż uśmiechał się do tego biało-różowego zjawiska, dziękując Bogu, że dziecinne usposobienie żony pozwoli mu nie lękać się o naruszenie z jej strony wierności małżeńskiej...

I rzeczywiście — kręcąca się po domu z wesołą piosenką na ustach, ubijająca piankę w kuchni, przyszywająca guziki do mężowskiego palta lub nicująca krawaty, była uosobieniem kochającej żony i „milutkiej“ kobiety.

Miewała jednak chwile, w których przychodziły jej na myśl poważniejsze refleksye.

Naprzykład po przeczytaniu „Pani Bovary“ — zamknąwszy książkę, usiadła u nóg męża.

W ręku trzymała kawałek newchatelu, lecz nie gryzła go, ale pogrążyła się w zadumie.

Mąż, czytając „Kuryera“, nie przerywał ciszy.

— Wiesz, Raku — wyrzekła nareszcie — ta kobieta to zdradzała męża... niegodziwa, prawda?

— Hm — odparł zagadnięty — jeżeli mąż był niedołęga...

Lecz nie mógł dokończyć.

Żabusia porwała się nagle jak szalona.

— To nie upoważnia! — wołała — i ty, Raku, jesteś niedołęgą a przecież cię nie zdradzam!...

— O — protestował mąż.

— Niema... o! — upiec na rożnie taką kobietę... nic ją nie usprawiedliwia!... to potworne!... w dodatku pani Bovary miała dziecko, o takiego Nabuchodonozora!...

I tu Żabusia, porzuciwszy ser, chwyciła w objęcia córkę, która głośnym krzykiem zaprotestowała przeciw temu gwałtowi.

Rodzice tymczasem spoglądali po sobie.

O! tak! — oni wychowali Żabusię w świętych, tradycyjnych przepisach cnoty i surowości. Ona wie, czem się brzydzić na świecie, co jest nikczemnością, fałszem i podłością...

To anioł!

Anioł domowego ogniska, który śmiechem swym troskę z czoła męża spędza, jest chlubą i podporą rodziców, troskliwą i czułą matką!...

To anioł ta Żabusia, kręcąca się w tej chwili po pokoju z szelestem jedwabnego szlafroczka...

Uosobienie wdzięku, miłości, niewinności, cnoty!...

Nagle Żabusia zatrzymuje się w tańcu.

Spogląda na zegar i, kołysząc się zwolna, podchodzi ku mężowi.

— Żabusię głowa boli! — mówi, sadzając córkę na kolanach męża. — Żabusia pójdzie na spacer...

— Będę ci towarzyszył... — woła mąż.

— Niechcę! — protestuje z miluchnym dąsem — pójdę sama! Rak tu zostanie i będzie Nabuchodonozorowi cacka ustawiał!...

— Ależ!...

— No! sprzeciwiasz się?

— Nie... tylko kawa!...

— Pójdziesz jak wrócę... wtenczas dam ci dziesiątkę, inaczej, z czem Rak do cukierni pójdzie?...

Mąż jeszcze próbuje opozycyi.

— Żabusia tak chce! — woła młoda kobieta, uśmiechając się zalotnie — Żabusia bardzo prosi, główka ją tak boli!...

Rodzice uważają za stosowne interweniować.

— Ależ idź, drogie dziecię!... przejdź się! — mówi ojciec.

— Pobladłaś, cierpisz widocznie — dodaje matka.

I za chwilę przez pokój, w którym jest zgromadzona cała rodzina, przesuwa się Żabusia w nowym, sukiennym kostiumiku, okładanym szenszylami.

Wygląda jak młodziuchne dziewczątko w tym obcisłym

żakieciku, a nowe buciki skrzypią za każdym krokiem.

Całuje ręce rodziców, mężowi nadstawia usta do pocałunku, córkę głaszcze po głowie i żegnana, obdarzona pieszczotami, staje jeszcze na progu, przesyłając pocałunki końcami palców, ubranych w duńską rękawiczkę.

— Pa!... pa!... — woła — pa, Raku! pa, Nabuchodonozorze!... pa, mamusi i ojczusiowi... a niech Rózia za pół godziny samowar nastawi i po sucharki pójdzie!... pa!...

I cicho znika we drzwiach, pozostawiając po sobie gamę srebrzystego śmiechu i wspomnienie uosobienia niewinnego wdzięku kobiecego.

* *
*

Przeciągły pocałunek przerwał ciszę.

Wśród bladego światła przyciemnionej lampy, zamajaczyła nagle drobna postać kobieca, powstająca z otomany.

Kaskada jasnych włosów rozsypana na zarumienione ramiona, drżała złotawym blaskiem; oczy, błyszczące fosforycznym ogniem, migotały u tej kobiety jak dwa błędne ogniki, usta namiętnie rozchylone, zgniecione w świeżym pocałunku miłosnym, zachowały jeszcze wilgoć zmysłowej ekstazy.

Wszystko w tej postaci tchnęło zmysłowością, szałem bachantki, poddającej swą pierś pod uściski satyra.

Stanęła, wyciągając ręce wysoko nad głową, przechylając się w tył, wciągając jakby w siebie cząstkę miłosnego dreszczu.

Stojący przed nią mężczyzna zapalał właśnie papierosa.

— Mogłabyś zostać chwilę.

— O! nie, nie — odparła kobieta — muszę wracać, aby podejrzeń nie ściągać...

I zaczęła szybko nakładać żakiecik i resztę ubrania. On jej pomagał, szukając po całej pracowni porozrzucanych drobiazgów, które przed chwilą zrywali oboje drżącemi od namiętności rękami.

Kapelusz zapadł gdzieś po za wielkie stalugi, trzeba było go szukać... odsuwać draperye.

Oczy ich spotkały się, ręce splotły w uścisku. Cała bezgraniczna, zmysłowa potęga zadrgała w tem jednem spojrzeniu. Gorąco aż biło od tych dwojga młodych ludzi, ukrytych w cieniu odosobnionej pracowni malarskiej na ustronnej ulicy.

— Kiedy cię zobaczę?... — zapytał mężczyzna, cały drżący pod wpływem dotknięcia jej rąk rozpalonych.

Ona wzruszyła ramionami.

— Niewiem kiedy się wyrwę, niełatwo mi to przychodzi...

On wstrzymywał ją jeszcze, obejmując miłosną pieszczotą.

— O! ale... niedługo!

Kobieta spojrzała mu znów w oczy.

Zielone błyski strzeliły z pod jasnych rzęs.

— Szaleńcze! — wyszeptała zdławionym od wzruszenia

głosem — czyż ja mogę istnieć, nie widząc cię dni kilka?...

A do progu już zwrócona, dodała pieszczotliwie:

— Kochaj twoją... Żabusię!...

Portyera zapadła, kobieta znikła, pozostawiając po sobie całą smugę płomiennej namiętności, drgającej w powietrzu.

Mężczyzna postał chwilkę, uśmiechając się jakoś ironicznie.

Poczem otrząsnął się, położył na otomanie i gwiżdżąc walca, zapalał zgasłego papierosa.

* *
*

Nabuchodonozor tęsknił bardzo do mamy. Tęsknił i Rak, tęsknili i rodzice, siedząc dokoła stołu, na którym nakrywano do herbaty.

Na białym obrusie rozstawiono filiżanki a stary ojciec upominał pokojówkę:

— A uważaj, aby samowar gotował się dobrze, bo pani pewno zmarznięta powróci...

A matka układała sucharki, chowając lepiej lukrowane na spód, aby tylko dla Żabusi się zostały.

— Zimno jest, gdzie też ona tak długo bawić może? — wyrzekł wreszcie mąż.

— Wstąpiła pewnie do kościoła — w adwent lubi przecież tam chodzić wieczorem — odrzekła matka.

— Jeszcze się zaziębi.

— Bóg ją od złego uchroni!...

Nastało milczenie.

Tylko Nabuchodonozor podciągał noskiem, bo cierpiał katar okropny.

Nagle drzwi się otwarły z trzaskiem.

We drzwiach stanęła... Żabusia.

Cała była jeszcze różowa, w oczach grały dogasające namiętne blaski.

Wszyscy rzucili się do niej z krzykiem:

— Żabusia!...

Ona witała kolejno każdego, rozsypując całusy jak grad cukierków. Opowiadała przytem wiele o zimnie i o modlących się ludziach po kościołach.

— Organy pięknie grają, świec masy płoną a Żabusia siedziała w kąciku a potem na spacer pięknie poszła...

Zrzuciła żakiecik i przygładziła rozrzucone włosy.

— Herbatki! prędzej — wołał ojciec.

— Ja naleję!... — dodawała matka — biedactwo przeziębło, gotowa zachorować...

Ale Żabusia siedziała już na kolanach męża i śpiewała:

Jechał pan
Za nim chłop...

Nabuchodonozor uszczęśliwiony, opierał swą główkę o suknię, patrząc w oczy matki, w której gasły kolejno zmysłowe ogniki.

— Masz dziesięć groszy — wołała Żabusia, dając mężowi monetę — idź, zabaw się ty teraz... biedny... Raku!

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Gabriela Zapolska](#).*

II.

K o t e c z e k.

— Co chcesz do herbatki, koteczku?

— Cokolwiek!...

— Ale przecież!...

— Coś taniego!...

— Może szynki?...

— Hm!... zaraz trzeba brać pół funta.

— Poco?... dla mnie nie trzeba, ja mam jeszcze pieczeń z obiadu!

— Tak?... ale zawsze to już duży wydatek, nie! — nie potrzeba. Zjem bułeczkę z masłem, mnie to wystarczy zupełnie. Zresztą, oszczędzać musimy, daleko jeszcze do końca miesiąca...

Młoda kobieta spojrzała z uwielbieniem na męża.

Jej koteczek byłby w stanie się zagłodzić z oszczędności, gdyby ona na to pozwoliła. Prawda, że pensyjka bardzo szczupła, gratyfikacyj niema podobno żadnych a procent z jej posagu zaledwie piąty...

Przynajmniej tak koteczek powiada.

A co kotuchno powie — to święte. Żona ślepo ufać mężowi powinna. Tak ją od dziecka uczono.

Tymczasem koteczek przeczytał „Kuryera“ i, ziewając, powstał z krzesła.

Był to wielki, rosły mężczyzna, szeroki w plecach, szeroki w karku, szeroki w czole. Zdrowie, siła biły aż odurzającym zapachem z tych wspaniale rozwiniętych

członków dobrze odżywianego człowieka, twarz mieniła się niemal różową cerą. Jasne, delikatne włosy uczesane dość starannie, zakrywały niewielką łysinkę, usta foremnie wykrojone miały w sobie zmysłową wilgoć, jakby od świeżych jeszcze pocałunków, lub połykanych ostryg, oczy senne, o namiętnem przywarciu powiek, patrzyły z pod jasnych rzęs na wpół łagodnie, na wpół złośliwie.

Ręka biała, zgrabna, o długich, kształtnych palcach, gładziła starannie uczesaną brodę, od której zdaleka rozchodziła się woń ateńskiej wody.

Ubranie letnie, jasne, zdrowa cera, wreszcie cała postać wyprostowana, niezgarbiona, nieskurczona bynajmniej, nie miały cech charakteryzujących zwykłego biuralistę, spleśniałego w cuchnącej atmosferze wilgotnego biura.

Koteczek był wprawdzie urzędnikiem, ale jednym z tych pomocników buchaltera, którzy po biurach kolejowych śpią na ceratowych kanapkach, lub zadają tłuste szarady do rozwiązywania swym kolegom, za co pobierają pensye a nawet i gratyfikacye.

Dziś — koteczek wrócił wcześniej trochę z biura, zjadł skromny obiadek, który sam zadysponował, ze smakiem, przespał się dwie godzinki wśród kościelnej ciszy na swej ulubionej sofie, a teraz, ubrawszy się, czytał „Kuryera“ i czekał na herbatkę, którą mu żońcia poda.

Później pójdzie przejść się trochę.

Ona — zostanie w domu — jutro pranie, bieliznę policzyć trzeba — wreszcie koteczek zwykle sam wychodzi.

Żoncia zostaje, już się do tego przyzwyczaiła. Teraz do

herbaty przygotowuje, chodząc jak cień w swych biednych przydeptanych pantofelkach, taka chuda, mizerna, znędzniała przed czasem. Ma zaledwie dwadzieścia pięć lat a trudno byłoby oznaczyć jej wiek, patrząc na zapadłe piersi, na żółte plamy do koła oczów, na nos wązki, wydłużony, na całą postać schyloną tem bolesnem pochyleniem, właściwem chronicznie cierpiącym kobietom, które zasypiają obłożone mokremi płatami, a melisę pochłaniają garncami prawie.

I teraz, gdy zdejmuje z półek kredensowych filiżanki i wyciera je czyściuchną serwetką, krzywi się boleśnie, tłumiąc jęk, który jej się na usta wydobywa.

Lekarz mówił, że cierpienie jej pochodzi głównie z braku sił i zalecił buliony, stare wino, surowe mięso... ba! nawet wyjazd do Krynicy... ale lekarzowi łatwo mówić. Zkądże ona wziąśćby mogła na takie zbytkowne rzeczy, ona, której koteczek z najwyższą trudnością zaledwie jest w stanie tę skromną kwotę co pierwszego, na utrzymanie domu wręczyć?...

A potem, gdy zabraknie... a! niech Bóg zachowa! koteczek nie doda ani grosza, choćby głodem zamrzeć przyszło. Pójdzie na spacer bez obiadu, bez herbaty a nie doda nic, nawet z przyszłego miesiąca nie zaawansuje paru rubli...

Zapewne nie może.

Ona mu tego za złe niema. O! gdzieżby znowu. Gdyby miał, toby dał... Koteczek ma przecież anielskie serce... Niedawno kupił jej skórzaną broszeczkę za dwa złote; kiedyś znów pozwolił jej... natrzeć włosy wodą ateńską.

O! gdyby on miał, dodałby jej nieraz do miesięcznej pensyi... raz nawet dał jej na to — słowo honoru, choć ona bynajmniej nie żądała takiego dowodu, ona wierzy mu we wszystkiem.

Tylko — jakże to można pozwolić, aby koteczek — jadł do herbaty samą bułeczkę?!...

Trzeba posłać po szynkę koniecznie, choćby się miał rozgniewać, zresztą, ona wie, że koteczek pokrzepić się musi, wszak większe pół dnia w biurze pracuje!

A, wiadomo, biuro strasznie zdrowie niszczy. Podobno nawet suchoty sprowadza...

— Nie!... Bóg by nie był tak nielitościwy i nie zabrałby jej koteczka — nie nawiedziłby go tak strasznem cierpieniem.

Tak! tak! trzeba, żeby się mężuś lepiej odżywiał, trzeba, po szynkę posłać koniecznie.

Biegnie do komody, odsuwa szufladę, wyjmuje ostatniego rubla i chwilkę stoi zafrasowana. Cóż będzie z jutrzejszym obiadem?

E! — poradzi sobie, już wie w jaki sposób. I uśmiechnięta, pokasłując trochę, wychodzi do kuchni. Tymczasem, stojący przy oknie mężczyzna odwrócił się i skrzypiąc butami przeszedł przez pokój. Dobył z kieszonki od kamizelki kluczyk, otworzył małą szafkę i z pomiędzy porządnie poukładanego ubrania, wydostał niewielki pugilares. W pugilaresiku tym szeleściły banknoty. Otworzył go i śpiesznie przerachował. Było tam około piędziesięciu rubli. Pugilares schował do kieszeni, wyjął cieniuchną chusteczkę, z baletniczkami po rogach zamiast

monogramu, zmienił szpilkę u krawata, poczem zamknąwszy szafkę podszedł do tualetki.

Systematycznie zaczął czesać rzadkie włosy; przyciskając je lekko do różowej skóry, poczem wyjąwszy z szufladki puszkę z pudrem, pudrował się lekko, starannie ścierając veloutinę z brwi, rzęsów i wąsów. Puder osiadał na lekkim meszku pokrywającym policzki koteczka, tworząc w ten sposób na twarzy mężczyzny, jakby krepową zasłonę. Poczem, lekkim a wprawnym ruchem, koteczek przyczernił sobie brwi i rzęsy za pomocą ołówka i odsunąwszy się od lustra, począł rozmaite podbójcze miny próbować.

Od kilku chwil otworzyły się cicho drzwi od kuchni i do pokoju wsunęła się żoncia.

W ręce trzymała szynkę zawiniętą w papier, i w niemem uwielbieniu spojrzawszy na męża, stanęła, przyciskając szynkę do piersi.

Wydawał się jej w tej chwili tak piękny, tak elegancki, tyle od niej wyższy i dystynkcyą i rozumem i pięknością — że wciąż stała zapatrzona w swoje bóstwo, fryzujące sobie teraz wąsy maluchnem rozgrzanem żelazkiem.

On, spojrzawszy przypadkowo na nią, dojrzał to uwielbienie malujące się w jej spłowiałych oczach.

— Hm, patrz! jakiego masz męża — wyrzekł z zadowoleniem..

Ona nie odpowiedziała nic.

Uśmiechała się tylko, prostując się także, jakby z dumy... urosnąć chciała.

— Możesz mnie pocałować — dodał z pobłażliwością

— ale tu w szyję... o!...

Wyciągnął swą tłustą szyję dobrze zbudowanego blondyna i przymknął oczy z dobrotliwym uśmiechem.

Ona — zbliżyła się szybko, zmieszana, niezgrabna, nieprzyzwyczajona do częstych tego rodzaju pieszczot. Gdy znalazła się tuż przy nim, taka nędzna, mała, chuda, zmieszała się jeszcze więcej. W lustrze widziała odbicie postaci swej i stojącego wciąż z zamrużonemi oczami męża.

Zawstydziła się samej siebie, swego wyniszczenia, swego skromnego szlafroka i stała niezdecydowana, cisnąc wciąż papier z szynką do zapadłej piersi.

Lecz on zniecierpliwił się wreszcie.

— No, korzystaj, kiedy pozwalam...

Podniosła się więc na palce i cała spłoniona, pocałowała go w klapę od jasnego żakietu, a silna woń white rose, wydzielająca się z ubrania męża, odurzyła ją do reszty.

Jak pijana zwróciła się do stołu, na którym zaczęła ustawiać talerzyk i rozkładać na nim szynkę.

Ręce jej drżały, widelca utrzymać nie mogła.

Była w tej chwili bardzo szczęśliwa.

Łzy jej oczy osłaniały mgłą wilgotną, serce biło w piersi bardzo żywo.

Tymczasem koteczek nałożył w eleganckie etui całą masę papierosów i z małej doniczki niezapominajek, stojącej przed obrazkiem Matki Boskiej, uszczknął gałązkę.

Gałązkę tę zatknął sobie w butonierkę i zasiadł do herbaty.

Żona podała mu filiżankę i nasmarowaną bułeczkę.

Poczem, jeszcze cała zmieszana, z uśmiechem na pobladłych wargach, podsunęła mu talerzyk z szynką.

On — ze zdziwieniem poruszył umalowanymi brwiami.

— Szynka? — zapytał.

— Tak, kotku — proszę cię, jedz! — odpowiedziała nieśmiało.

— Zbytki! zbytki!... — dodał, biorąc na talerz największy różowy płatek — ale pamiętaj! gdy zabraknie — nie dodam ani grosza!... ani grosza!...

Lecz ona zaprotestowała.

— Nie bój się, wystarczy!... jedz tylko!... proszę cię!

Krzątała się koło niego, podsuwając mu cukier, masło, śmietankę.

On — nawet nie zważał na tę usłużność, snać przyzwyczajony do tej troskliwości i niewolniczej czci, jaką go zwykle otaczała.

Jadł powoli — nie śpiesząc się, odsuwając zdaleka talerz — z gracyą i manierami aktorki, o której gazety piszą ciągle, że jest „dystyngowana“. Wreszcie zapytał, nie podnosząc głowy:

— A ty?

— O! ja mam co innego — odpowiedziała kobieta.

Nastała znów chwila milczenia.

Jakże chętnie pragnęła żoncia — zacząć jakąś dłuższą z swym koteczkiem rozmowę.

Lecz o czem? — o czem ona mówić mogła, pogrążona cała w drobnych kłopotach swego nędznego gospodarstwa, pomiędzy imbrykiem melisy a wiązką rzodkiewki. Instynktem zgadywała, że podobne przedmioty nie są

odpowiednie dla jej eleganckiego koteczka, który w tej chwili tak delikatnie, tak ślicznie mieszał łyżeczką herbatę...

I w głowie tej kobiety powstała myśl bardzo zuchwała.

Gdyby tak koteczek zechciał dziś cały wieczór poświęcić dla niej, dla niej wyłącznie — pozostać w domu!

Gorąco jej bije do głowy na samą tę myśl... Jakże to byłby miły dla niej wieczór! jakże jej szczęście byłoby zupełne!...

Ma wprawdzie liczyć brudną bieliznę — ale może to odłożyć do jutra...

Siedzi więc pochylona nad swoją filiżanką i w biednej głowie szuka zawzięcie sposobu, aby stać się miłą, rozmowną.

Wzrok jej pada na leżący na ziemi Kuryerek.

— Co tam w Kuryerku — zapytuje niepewnym głosem.

— Przeczytasz sama — odpowiada mąż.

I znów nastaje milczenie.

Kobieta prawie rozpaczliwie wodzi wzrokiem dokoła.

Tak mają mało spójni moralnej, że wszystkie jej wysiłki pozostają bez skutku. Wreszcie on wstaje, ociera starannie wąsy i raz jeszcze podchodzi do lustra.

Ona wie dobrze, co to znaczy.

Za chwilę koteczek wyjdzie a ona, ona, zostanie sama! na cały wieczór, na długi, smutny wieczór!

Zapewne — jest do tego przyzwyczajona. Ale dziś szczególnie jej smutno. Wszak to dziś rocznica ich ślubu...

On o tem zapomniał zupełnie...

Lecz ona niezapomniała i chce mu to powiedzieć, wszak

dzień taki to prawie uroczyste święto... Lecz on wziął już kapelusz i elegancką laseczkę, teraz naciąga rękawiczki, pogwizdując lekko. Żona zbliża się ku niemu, przełykając z trudnością ślinę.

— Wychodzisz — pyta, patrząc mu błagalnie w oczy, jak pies świeżo obity.

— Naturalnie!...

Ona przestępuje z nogi na nogę, ręce jej machinalnie wyciągają bryty szlafroka.

— Zostań w domu! — prosi cichutko.

On odwraca ze zdziwieniem głowę:

— Poco?

Tem jednem pytaniem przybija ją do miejsca.

Tak! — prawda! — poco?

Taki strojny, mądry, piękny mężczyzna, ma siedzieć w tych trzech klatkach, których okna wychodzą na odludną ulicę...

Ona — ach! ona to co innego!

Pragnie go jednak zatrzymać choćby chwilkę jeszcze.

— A... co chcesz jutro na obiad? — pyta śpiesznie, wciskając głowę pomiędzy ramiona.

— A!... co chcesz, byle tanie — odpowiada koteczek, otwierając drzwi do przedpokoju — najlepiej barszczyk, bo może późno wrócę...

Ona już nic nie odpowiada, tylko stoi na środku pokoju, smutna, zgnębiona — ujawniając w ostatnich blaskach zachodzącego słońca swą nędzę opuszczonej i oszukiwanej kobiety.

Nagle — porywa się i biegnie do okna.

On — będzie przechodził przez dziedziniec, zobaczy go jeszcze, może się uśmiechnie do niej, głowę odwróci...

— Nie!

Przeszedł przez dziedziniec, pewnym i śmiałym krokiem, wywijając laseczką i pogwizdując lekko.

Dwie dziewczyny stojące koło pompy, obejrzały się za nim ze znaczącym uśmiechem. Zniknął w ciemnej bramie, nie myśląc wcale o tem, że na drugiem piętrze z po za białych, pocerowanych firanek śledzą go oczy pełne łez i miłości, biedne oczy schorowanej kobiety a zżółkłe i spieczone usta, szepczą z dumą i niewysłowionem uczuciem:

— Koteczek! koteczek!

* *
*

Siedziała tak w oknie z pół godziny. Była to jedyna chwila dnia, w której oddawała się próżnowaniu.

Wciągała zgniłe powietrze podwórka pełnemi piersiami i wpatrywała się w szmat nieba, który zarysowywał się ostro pomiędzy szczytami dachów.

W trakcie robiła myślą rachunek wydatków dnia całego i układała budżet na dzień następny.

A wszystkie jej myśli kręciły się tylko około jednego punktu.

Punktem tym był naturalnie... koteczek.

Od pierwszej chwili poznania, rosły ten blondyn zaimponował jej i oczarował jej dziewiczą istotę.

Gdy się oświadczył o nią a właściwie o jej skromny posażek, nie mogła szczęściu swemu dać wiary.

Gdy odchodziła od ołtarza, już patrzyła na niego tym pokornym, błagającym wzrokiem jak pies, którego po raz pierwszy na łańcuchu prowadzą.

Oddała mu się z pokorą i wdzięcznością, kryjąc rumieniec w dłoniach i szepcząc: „Kto się w opiekę“.

On — wspaniale, jak dobry książę z bajki, przyjął klejnot jej dziewictwa i pięć tysięcy rubli, które jako sierota złożone miała w kasie oszczędności.

Od tej chwili Józia o pieniądzach tych nie wiedziała nic.

Należały do niego, rozporządzał niemi według upodobania.

Ona, welon oblubienicy zamieniła na fartuch ceratowy i rozpoczęła swą domową krzątaninę. Powoli on oddalał się coraz więcej z domu — wracał późno w noc, często podpity, włócząc na drugi dzień po kątach mieszkania ten „Katzenjammer“, w zamiejskich knajpach nabyty. Ona — kochała go ciągle, tem psiem przywiązaniem kobiety, dla której pierwszy mężczyzna chwytający ją w objęcia jest zarazem jedynym przedmiotem uwielbienia.

Koteczek nie miał błędów, koteczek był najlepszym, najmilszym, najpiękniejszym... Dzień, w którym koteczek kładł nowy garnitur, był dniem prawdziwego święta.

Wzruszona, zarumieniona, drżąca, okrążała go w kółko, patrząc na niego z podziwem. Jakże piękny! jak zgrabny był jej koteczek! Ona sama, mój Boże!... ona nie potrzebowała się stroić. Ot byle co na siebie włożyć. Zresztą, nigdzie przecież nie wychodziła z koteczkiem

nigdy — gdzież znowu!... Zawsze jej coś do stroju brakowało. To kapelusza, to bucika, to znów rękawiczki. I tak dzień za dniem schodził. Zresztą, nie miała czasu, ani zdrowia. Ciągle stękała, chorując już od lat czterech, zaraz po urodzeniu nieżywej dziewczynki. Doktór mówił, że to anemia, ale ona nawet w części nie powiedziała doktorowi, co i gdzie ją boli. Poco? — lekarstwa drogie a ledwo koniec z końcem ściągnąć można...

Wprawdzie koteczek jest niewybredny, je, co mu podadzą — nawet ją samą do oszczędności zachęca.

Ona nieraz dziwi się, jak mało jada w domu ten rosły, wielki mężczyzna i frasuje się, że widocznie jadło mu nie smakuje.

Mój Boże! robi co można przecież. Ona i sługa jadają „plecówkę“, dla koteczka bierze się na rosół pierwsza krzyżowa, masło także kupuje dla niego osobno...

Mimo to, on je tak mało!

Byleby nie zachorował z tego braku apetytu... jutro trzeba upiec parę kurcząt ek i zrobić trochę sałaty...

Ostatni rubel wprawdzie wyszedł, ale Józia ma jeszcze dwa pierścioneczki z pozostałych po rodzicach drobiazgów.

Zastawi je u znajomej fanciarki i dociągnie w ten sposób do końca miesiąca.

Mój Boże!... ile tam już rzeczy Józi spoczywa u tej fanciarki!... i srebrne łyżeczki, i bransoletki po matce, i medalion z perełką, ba nawet medal od chrztu i srebrna maluchna portmonetka, złoty zegarek! łańcuszek! wszystko! Wszystko wyniosła tak wieczorami, gdyż mąż wyszedł z domu „przejść się trochę“ — jak mówił a wracał

późno w noc, gwiżdżąc i śpiewając jakieś nieznane Józi piosenki.

Z początku przykro jej było rozstawać się z temi drobiazgami, później oswoiła się z tą myślą.

— Wszak to dla... koteczka.

Kochała go bardzo, bardzo, miłością schorowanej i zamkniętej w domu kobiety. Gdy słyszała jego kroki na schodach, serce jej biło bardzo silnie — w nocy, nie kładła się nigdy, dopóki nie wrócił. Rozbierała się wprawdzie, ale bosa i w koszuli siedziała na oknie, patrząc w ciemną jamę bramy, czy nie dojrzy wysuwającej się z ciemności eleganckiej postaci męża. Gdy nie powracał długo, z najwyższym niepokojem śledziła godziny i przyciskając ręce do piersi, szeptała:

— Boże mój! niech on już wróci!...

Zdawaćby się mogło, że to namiętna kochanka oczekuje swego wybranego na pierwszą schadzkę miłosną — a jednak!... jakże dalekie od namiętności było uczucie kładące w spieczone od gorączki wargi tej kobiety modlitwę szczerą, prawie dziecięcą.

— Niech... koteczek wróci!...

A przecież ten powrót koteczka nie dawał jej żadnej pieszczoty miłosnej, żadnej chwili tej rozpaczliwej rozkoszy, która jęk prawie z piersi kobiety wydziera.

Koteczek wchodził wolno, systematycznie, nakręcał zegarek, zapalał papierosa, zmieniał obuwie, wystawiając je za drzwi pokoiku, wyciągał z krawata elegancką szpilkę i chował ją w étui.

Wszystko to robił z właściwą sobie gracyą, nie

spojrzawszy nawet na żonę, która z po za przymkniętych powiek śledziła jego czynności, cała w ciągłem wyczekiwaniu jakiegoś dobrego słowa, przyjaznego spojrzenia ze strony męża. Nic — nic!

Koteczek zasypiał, uśmiechając się do wrażeń w ciągu wieczora otrzymanych, do jakichś wspomnień... na myśl których — przeciągał się rozkosznie.

Ona śledziła go ciągle, śledziła uważnie.

Słabe światełko lampki płonącej przed Matką Boską oświecało w zupełności różową twarz mężczyzny, lubieżny wyraz ust, tęgą szyję wychylającą się z pod ukraińskich haftów nocnej koszuli.

Instynkt samicy ostrzegał ją, że nie o niej, nie o jej uległości i zżółkłej twarzy myśli w tej chwili ten człowiek.

Lecz tak wierzyła mu, tak bardzo ufała w jego „małżeńską uczciwość“, że myśl zdrady nie postała nigdy w jej głowie.

Myśli pewnie o gratyfikacyi a może... może o niej!

Wszak wczoraj jeszcze, wychodząc, powiedział:

— Dla kogóż się zapracowuję, jeśli nie dla ciebie? — Biedny! drogi koteczek!...

Ach! ona by życie swoje dla niego oddała!

I leżała tak cicho, nieśmiejąc się poruszyć, drętwiejąc w jednej pozycyi, aby nie zbudzić koteczka, który w tej chwili uśmiechał się tak, jak tylko nasyceni mężczyźni uśmiechać się umieją.

* *
*

Kareta ruszyła wreszcie z miejsca.

Lecz pani Lena była dnia tego w złym humorze.

Napróżno siedzący obok niej mężczyzna uśmiechał się i usiłował umieścić dogodnie jej kapelusz, cały z pąsowego tiulu, istne pieścidełko wydmuchane z purpurowego obłoczka. Napróżno, zdjąwszy jej rękawiczki, zwijał je starannie i wsuwał pomiędzy poduszki powozu, napróżno chwalił jej nowy dolman, na który wyszło z pięćset łokci koronki, ona siedziała ciągle chmurna, z brwiami ściągniętemi, z twarzą gniewnie wykrzywioną.

— Dlaczego tak późno przyjechałeś? — zapytała wreszcie, zwracając się twarzą do swego towarzysza.

— Nie mogłem! wierz mi! — tłomaczył się mężczyzna.

— Dlaczego?

— Bo!... bo!... mieliśmy gości!... — odparł, udając nonszalancyę i oglądając sobie paznogcie.

Znać było że blaguje, lecz ona nie poznała się na tem.

— Kto był? — nalegała już trochę udobruchana — kobiety?

— O, zaledwie kilka! kuzynka Eszerghazy z córką — wiesz... ta hrabina!

Ona potwierdziła śpiesznie.

— Tak! tak! mówiłeś mi już o niej, a z mężczyzn?

— Zwykli goście czwartkowi.

— Więc to jour fixe?

— Tak!... five o clook thea.

Rzucił wyraz angielski, posłyszany kiedyś ze sceny, w teatrze — który zapamiętał i używał w razie potrzeby, co nigdy nie chybiało efektu. I teraz dosięgnął celu.

Kobieta siedząca obok niego zdawała się na chwilę przybita posłyszanem słowem.

Lecz prędko odzyskała równowagę.

— Nie wiem czy to wygodne — wyrzekła — wolę już urządzać „receptions matinales“...

Spojrzała na niego tryumfująco.

On wzruszył ramionami.

— Zapewne, lecz już cały dzień jest zderanżowany...

Pochylił się teraz po nad podbitą już kobietą.

— No, cóż?... darujesz mi to opóźnienie? — szeptał miękim głosem — wierz mi, tylko obowiązki światowe mogły powstrzymać twego koteczka, wierzysz mi? no... Leno!...

I objął ją ostrożnie, cofając się w tył, gdyż kareta skręcała w ciaśniejszą ulicę a na chodnikach kręciło się sporo przechodniów.

Lena potrząsnęła wspaniałomyślnie głową. Dobrze! — przebacza mu, ale pod warunkiem, że to będzie raz ostatni... zapewne nie wie, że i ona ma obowiązki światowe, które trzymają ją poniekąd na uwięzi; jeśli on ma żonę prowadzącą dom otwarty, ona — nawzajem ma męża, który od niej pewnych ustępstw światowych wymaga, a przecież...

On przyznaje jej racyę, cały rozpłomieniony tak blizką obecnością tej kobiety, której pełny gors i błyszczące oczy działają na niego, jak rozpalający trunek — ostrożnie, delikatnie, szuka jej ręki w całych falach koronek i rękę tę znalazłszy całuje długo, wysysając paluszki o krogulczo zagiętych paznogciach...

Ona poddaje się tej pieszczocie, jak kobieta przyzwyczajona do podobnego rodzaju objawów powstrzymywanej namiętności — drugą ręką zasłania tylko twarz, gdy kareta nadto się zbliży do chodników.

Czyni to z wprawą wielką, w ogóle czuje się zupełnie swobodnie w tej ciasnej atmosferze powozu, w której cudzołożne szepty, śmiechy, pocałunki zdają się drzemać wśród zagięć zniszczonego sukna okrywającego poduszki.

— Gdzie dziś pojedziemy? — pyta koteczek.

— Gdzie chcesz... — odpowiada Lena — byle nie do Marcelina...

— Masz racyę, kuchnia tam wcale nieszczególna...

— O, tak! bordeaux niepodobne do picia...

I znów zaczyna grać ze sobą komedyę, tych dwoje ludzi, którzy się poznali pod cieniem drzew Saskiego ogrodu i nic prawie nie wiedzieli o sobie ani o swej pozycyi socyalnej.

Ona — miała w sobie przewrotnie popsutą krew semitki, wiecznie niezadowolonej ze swego otoczenia, obnoszącej w czarnych oczach i pełnych kształtach trzydziestoletniej kobiety — chęć nieprawych rozkoszy i zakazanych wycieczek. Pozowała jednak przed nim na „damę“ — wykwintną i wytworną — pragnęła mu imponować koronkami wziętemi na kredyt i francuzczyzną zapożyczoną z „Rozmówek“ pani Bocquel.

On — dokładał wszelkich usiłowań, aby ujść w oczach tej wykwintnej damy za człowieka bogatego, prowadzącego dom na wielką skalę. Olśniewał ją szpilkami u krawatów, opoponaxem, jasnemi garniturami i znajomością gabinetów restauracyjnych, po których włóczyli się często, siedząc do

późnej nocy i rozstając się pełni niesmaku i chęci ponownego zejścia się, aby nawzajem udawać przed sobą wytworne maniery i... namiętne porywy.

Kareta wjechała teraz w ulicę Mokotowską i powoli skręcała na lewo.

Wozy z beczkami zastąpiły jej drogę, woźnica wstrzymał konie na chwilę.

Koteczek wychylił głowę.

— Cóż tam? dlaczego stajesz?

Nagle cofnął się w głąb powozu.

Towarzyszka mimowoli spojrzała w otwarte okienko.

Na chodniku pomiędzy gromadką bosych dzieci czekających na opróżnienie ulicy, stała ciemno, ubogo ubrana kobieta — w zniszczonym kapelusiku na pochylonej głowie.

W tej chwili kobieta ta z wyrazem zdumienia na pożółkłej twarzy wpatrywała się w okienko karety, a z nawpół otwartych ust zdawał się ulatywać jakiś głos stłumiony.

Pani Lena odwróciła się i spytała szybko:

— Patrz!... ta kobieta dziwnie tu spogląda, czy może znasz ją?

Lecz mężczyzna nie ruszył się nawet, przytulony do kąta karety, nikczemny, nędzny w tej trwodze, jaka zwykle ogarnia każdego z nich na widok zdradzanej kobiety.

— Siedź spokojnie! — wyrzekł — to... szwaczka mojej żony!...

Kareta ruszyła wreszcie z miejsca, obryzgując błotem stojącą wciąż na chodniku kobietę.

Ona patrzyła jeszcze długą chwilę, zdumiona, przerażona — powtarzając cichutko:

— Koteczek? koteczek?

* *
*

Lampka przed Matką Boską dopalała się prawie, a nikt nie myślał o dolaniu oliwy.

Cicho było bardzo w sypialnym pokoiku. Obadwa łóżka małżeńskie były próżne, choć już druga wybiła na kuchennym zegarze.

Józia, bosa i w koszuli, siedziała skulona na oknie, czekając na powrót męża.

Była bardzo wzburzona, niespokojna, smutna. Wszakże to wracając od fanciarki dostrzegła w karecie obok jakiejś ładnej kobiety mężczyznę — tak bardzo podobnego do koteczka!

Lecz cóżby jej koteczek robił w karecie, o tej porze, i to jeszcze z jakąś damą?... A może to dyrektorowa biura spotkała go i wzięła na przechadzkę...

Szukała teraz w swej biednej głowie rozmaitych kombinacyj, potykając się co chwila o jakąś myśl zbyt trudną...

Nie — stanowczo, zrozumieć tego nie mogła.

By mąż ją zdradzał — nie przyszło jej nawet przez głowę, jej koteczek, zkądże znowu?

Zanadto czystą, niewinną była w swym zastoju

moralnym; zdradzać? — tak!... tak! to istnieje w książkach, na scenie — ale w życiu!...

Gdy wróciła od fanciarki, policzyła bieliznę, pocerowała skarpetki, zrobiła rachunek ze służącą, zadysponowała obiad, a teraz, posławszy łóżka, usiadła w oknie, czekając na męża.

Noc zapadła, noc ciemna, wietrzna, chłodna. Z zacienionego dziedzińca, po zamknięciu bramy, wzbił się w górę silny zaduch wylewanych przez dzień cały nieczystości.

Ona — otworzyła lufcik i przechyliła swą biedną, znękaną głowę. Smrodliwe powietrze owiało ją. Ona — nie czuła tego zaduchu, przyzwyczajona do tej atmosfery, którą wciągała w siebie nocami całemi. Przechyliła głowę i patrzyła wciąż w czarną przepaść podwórka.

Czekała.

Lecz on nie powracał, rozkoszując się w tej chwili wonią rozkwitłego bzu w podmiejskim ogrodzie i ciepłemi wargami kochanki, z których zbierał krople wina i słodycz kompotowego syropu.

Siedzącej w lufciku kobiecie wiatr rozwiewał rzadkie włosy i ziębił plecy. Ona — skurczyła się jeszcze bardziej, podsuwając pod siebie chude, zżółkłe nogi.

Jeść się jej chciało, obejrzała się na kredensową szafkę majaczącą w półcieniu. Była tam wprawdzie pieczeń pozostała z obiadu, ale koteczek dysponował barszczyk na jutrzejszy obiad, z pieczeni będą uszka... nie można więc poruszyć, nie można!...

Józia zwinęła się teraz prawie w kłębek i głowę smutnie

zwiesiła.

Jakoś jej tak smutno! tak bardzo, bardzo smutno, jak nigdy nie było!

Dlaczego?

Wszak on wraca tak codziennie, wraca późno a ona czeka nań i zimą i latem skurczona przy szybie, pełna niewytłomaczonej chęci ujrzenia go powracającego.

Zegary miejskie biją w pół do trzeciej.

Na twarzy Józi płyną dwie wielkie, gorące łzy — zamiast serca, czuje że jej się otwiera rana... rana ta piecze, boli, pali jakby zarzewie... A wynędzniałe usta szepczą:

— Boże!... niech koteczek wróci!...

Jej koteczek.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Gabriela Zapolska](#).*

III.

Kozioł ofiarny.

Pan Wentzel zmarszczył brwi i położył kanciastą linię obok siebie.

— Proszę o spokój! — wyrzekł ochrypłym głosem.

— Oko brandeburskie! — odpowiedział natychmiast Julusiek.

— Z perską źrenicą! — dorzucił Maryan, pakując ręce w kieszenie od spodni.

Pan Wentzel podniósł swą spiczastą głowę, pokrytą najeżonym włosem i spojrzał na porozkładane na krzesłach dzieci.

— Proszę o spokój! — powtórzył a wargi wybladłych ust drżały mu jak w febrze.

— Patrzcie!... panu „Wentzlemu“ spuchła z lewej strony twarz — zawołał Julusiek, mrużąc powieki.

— To od tych papierosów, które pokryjemu pali a nam nawet zaciągnąć się nie da — odparł flegmatycznie Maryan, obserwując z ironią wychudłe policzki nauczyciela.

Panu Wentzlowi krew uderzyła do głowy.

— Nie palę papierosów — wyrzekł energicznie — nie wmawiajcie we mnie złych czynów, które sami spełniacie.

Julusiek wzruszył ramionami. Maryan wpakował ręce jeszcze głębiej w kieszenie.

— Nie palisz pan? — zapytał, wydymając czerwone i pełne policzki — phi!... to taka prawda, jak to, że pan

atramentem dziur w butach sobie nie czernisz... Zaprzecz pan temu!

— Zaprzecz pan temu! — zaskrzeczał jak mały psiak Julusiek i w ekstazie tryumfu usiadł na stole, gdy tymczasem Maryan wciąż kołysał się na krześle, patrząc z pod oka na nauczyciela.

Pan Wentzel był przybity.

Rzeczywiście, nie dalej jak wczoraj, smarował rano bielące się wśród czarnej skóry butów skarpetki... smarował atramentem, aby nie przeświecały zanadto, gdy wejdzie do sali jadalnej lub salonu.

Milcząc, ujął w rękę jedną z ciemno oprawnych książek, których stosy leżały na stole.

— Zacznijmy wykłady od „Historyi świętej“ — wyrzekł cichym głosem.

Lecz Julusiek pragnął nasycić się swym tryumfem i cały wlazł na stół, strącając zabłoconemi nogami książki i zeszyty na ziemię.

— Wziąłeś pan patyk... o! tak!... umaczałeś pan w atramencie i smarowałeś pan buty...

Pan Wentzel pobladł jeszcze bardziej.

— Proszę zleźć ze stołu i usiąść przyzwoicie, inaczej przerwę lekcyę...

— Wielka będzie szkoda... — mruknął Maryan.

Julusiek odsunął się trochę i podwinął nogi pod siebie.

— Jedź pan — wyrzekł — mnie to nie przeszkadza, ja i tak mogę pańskiego bajdurzenia słuchać.

Pan Wentzel otworzył książkę i powoli zaczął przewracać kartki ozdobione rycinami.

— Skończyliśmy na Samsonie i ucięciu włosów — zaczął połykając ślinę — wiecie, że uczyniła to Dalila i...

Na twarzach chłopców pojawił się dziwny wyraz.

— Musiała to być szykowna kobieta — mruknął Julusiek, uśmiechając się rozkosznie. — Prawda, Maryan?

Lecz Maryan zwrócił się teraz ku panu Wentzlowi i patrząc wprost na twarz nauczyciela zapytał:

— Jak pan sądzi? brunetka była? co?...

— Nie wiem! — odparł nauczyciel.

— Daj pokój, Maryanie! — wrzasnął Julusiek — albo on się zna na tem.

— Hm!... — odrzekł Maryan — jest przecież mężczyzną.

— E! taki tam! — Boże się zmiłuj!....

Pan Wentzel zerwał się z miejsca.

— Cicho! — krzyknął, uderzając książką o stół — cicho!... bo....

Głos mu uwiązł w gardle.

Maryan i Julusiek, mrużąc oczy, przypatrywali mu się impertynencko.

Tyle ironii mieściło się w wyrazie twarzy tych przedwcześnie rozwiniętych dzieci, że nauczyciel najczęściej czuł swą sztuczną energię jakby zmrożoną i w głębi serca doznawał dziwnego ściśnienia, które mu dotkliwy ból sprawiało. Czuł swą bezsilność i milknął, połykając łzy i upokorzenie.

Tych dwóch malców w kraciastych kurtkach, nie dorastających mu do pasa, tyranizowało go i kark mu do ziemi chyliło.

Cóż począć miał?

Podszedł do okna i machinalnie otworzył lufcik. Świeże, wiosenne powietrze wpłynęło nagle do pokoju...

Wentzel cofnął się od okna, jakby nagle upojony.

Przymknął oczy i stał tak blady, nędzny w smudze świetlanej, która kładła żółte i białe tony na twarz jego znędzniałą.

— Możebyś pan kończył lekcyę!... — odezwał się nagle Maryan, znudzony milczeniem nauczyciela.

— To się wie — dorzucił Julusiek — pan zbijasz bąki jak jaki radca. Nic pan w lufciku nie wystoisz! Jeszcze panu oko spuchnie!

Pan Wentzel powoli odwrócił się i zbliżył do stołu. Na twarzy jego malowała się smutna rezygnacya. Usiadł na krześle i unikając spojrzenia w twarze chłopców, rozpoczął wykład:

— Wiecie, że Samson był bardzo silny, wiecie, że gdy oparł się o kolumny świątyni, ramionami wstrząsnął, kolumny w gruzy się rozsypały i dach cały runął....

— Albo to prawda — przerwał Julusiek, uśmiechając się sceptycznie.

Maryan poprzestał na ironicznem wzruszeniu ramionami.

Pan Wentzel ciągnął dalej:

— Dach cały runął, przygniatając zgromadzone tłumy. W ten sposób więc nieprzyjaciele Samsona...

— E! to taka prawda jak to, że Ewa jabłko zjadła... — przerwał znów Julusiek.

— Pokonani zostali... — brzmiał głos nauczyciela.

Teraz Maryan poruszył się na krześle.

— A Adam ogryzkiem się udławił.... — wyrzekł śpiewającym głosem.

I gdyby nie Dalila, która...

Lecz już słowa pana Wentzla brzmiały jedynie chyba dla niego samego. Dzieci podbudzone w swej przekornej wesołości, jak piłkę odrzucały sobie wzajemnie, legendy podawane im przez nauczycieli za fakta. Dla nich, dla tych rozbudzonych przedwcześnie umysłów nie istniał już żaden urok naiwnej wiary — ze śmiechem i drwinami szarpali treść Pisma, nie mogąc jeszcze zrozumieć przenośni.

Pod gradem tych słów wyziewanych przez drobne dziecięce usta, które zda się stworzone były do szeptania modlitwy — pan Wentzel siedział przybity, bezsilny — z głową na piersi zwieszoną. Codziennie powtarzało się to samo.

Codziennie nauczyciel i jego słowa były przedmiotem szyderstw, żartów i śmiechu.

Julusiek leżał teraz już na stole, wywijając z radości nogami, Maryan napawał się spokojnym tryumfem i pełen nieopisanej błogości wydymał usta do niebywałych rozmiarów.

— Jak tam było z tym Noem? Opowiedz pan, panie Wentzel!

— Albo z tym Dawidem!

— A Zuzanna? co?...

Płomienie przebiegły zmysłową twarz Maryana.

— Tak! tak!... Zuzanna!... to pyszny kawał!...

I nagle, ni ztąd ni zowąd, rozlega się z piersi dzieci wrzaskliwy śpiew:

„Hopsztynder!.. Madaliński
Fiuta!... Z kopyta!...
Szara ciuch, ciuch! tańczy sobie
Z Barabaszem mazura!...“

— Proszę o spokój!... — jęczy błagalnie pan Wentzel.

„Hej kolęda!... kolęda!...
Podobał się Jewie! jeździ na cholewie
A boso go znać!... znać!... znać!...“

Pan Wentzel głowę ukrył w dłonie.

„A boso go znać!...“

Lecz nagle drzwi się otwierają i dwie postacie kobiece ukazują się w progu.

— Co się to dzieje? — pyta pani domu, chuda, płaska blondynka — nosząca na schylonych ramionach fałdziste szaty wdowie.

— C’est atroce! — odzywa się druga, odpinająca żwawo guziki zniszczonego płaszczyka.

— Panie Wentzel, jak pan możesz pozwolić na coś podobnego?!

Pan Wentzel powstał już z krzesła i w milczeniu układa książki i zeszyty. Czuje, że wszystko, co powie na swoje usprawiedliwienie, na nic się nie przyda.

W przekonaniu matki — „dzieci“ są trochę

rozpuszczone... ale ostatecznie można na nich lekarstwo znaleźć i do posłuszeństwa doprowadzić.

Wprawdzie ona sama nigdy dokazać tej sztuki nie mogła, ale... przecież... pan Wentzel jest mężczyzną! Powinien umieć nakazać szacunek dla swoich słów i osoby.

Więc — słodko-kwaśnym głosem mówi to wszystko a słowa jej jak uderzenia bicza smagają zbolałą głowę nauczyciela.

Tak! tak!... pani ma zapewne racyę — każdy inny na jego miejscu poradziłby sobie z pewnością, tylko on! on! nie wie, nie umie poskromić swych uczniów, nakazać ciszę i potrzebny spokój.

— Uważasz pan... — ciągnie dalej pani Szymczyńska a głos jej płynie łagodnie, jak szmer strumyka — Julusiek i Maryan są dzieci wyjątkowe, należy więc z niemi postępować w wyjątkowy sposób. Tymczasem pan!

Wyjątkowe dzieci z niezrównaną ironią spoglądają na pana Wentzla, który zmieszany, drżący, spłoniony — szorując nogami po podłodze, ustępuje przy stole miejsca guwernantce, która, wytarty płaszczyk ostrożnie na łóżku Julusia złożywszy, przystępuje do krzesła z bardzo wojowniczą miną.

Matka tymczasem zachwyconym wzrokiem ogarnia pełne policzki Maryana i żółtą głowę Juluśka, który zdecydował się wreszcie zsunąć ze stołu i usiąść na poręczy krzesła.

— Tak! tak! wyjątkowe dzieci! — powtarza machinalnie a po bladych jej ustach przebiega uśmiech zadowolonej macierzyńskiej próżności.

Pan Wentzel pochyla pokornie głowę i odwróciwszy się, drżącemi rękami szuka w pudełku zastępującem mu szafę, czystej chustki i swej wytartej portmonetki. Pudełko to stoi pod jego łóżkiem, biednem, smutnem posłaniem opuszczonego wyrobnika, narzuconem dla decorum szafirową kapą, stanowiącą własność pani domu, którą skromny kocyk biednego chłopca raził i harmonię przyzwoitego umeblowania dziecinnego pokoju psuł zupełnie.

W pudełku, pan Wentzel — nie znajduje chustki, ale za to wydostaje zdechłą mysz, uczepioną przy zameczku portmonetki, w której kilka miedziaków się kołacze. Jest to sprawka „wyjątkowych“ dzieci, które duszą się ze śmiechu na widok bladości, pokrywającej nagle twarz pana Wentzla.

Wiedzą o tem, że p. Wentzel boi się konwulsyjnie myszy i udanie się rozkosznego figla — uczuciem błogości napełnia ich serduszka.

Lecz siedząca przy stole francuzka marszczy brwi i groźnie podniosłszy rękę do góry, woła ochrypłym głosem:

— Attention, sales gamins! ou je vais vous ficher des claques!

Chłopcy milkną i kołyszą się na krzesłach z mniejszym niż zwykle zapałem. Matka zaś przesyła dyskretny półuśmiech w stronę francuzki, która prześlicznym żargonem z Montmartre — rozpoczyna wykład greckiej mitologii.

I powoli fałdzista suknia matki-wdowy znika we drzwiach, z po za których dolatuje wystukiwane na fortepianie jakieś „Réverie“ Aschera.

Pan Wentzel tymczasem szamocze się ze zdechłą myszą, starając się odczepić ją od portmonetki. Pot pokrywa mu skronie, wyraz wstrętu maluje się w jego smutnych, wielkich oczach.

Trwa to długą chwilę — dzieci ciągle z pod oka obserwują nauczyciela, tryumfując wewnętrznie.

Wreszcie Julusiek dłużej wytrzymać nie jest w stanie.

— To ci pan Wentzel zdeseniał!... — woła, podrywając się na krześle.

— Jak karaluch w tataraku!... — dorzuca śpiewająco Maryan.

Lecz francuzka uderzeniem pięści w stół, przerywa wybuchy radości miłych chłopczyków.

— Taisez vous tas des salauds! — I nagle, sięgając do bocznej kieszeni sukni, wydobywa dość duży rewolwer, którego otwory pozaklejane są umiejętnie kulkami z chleba.

— Na! — mówi, kładąc rewolwer na stole — j'espère, que vous allez vous tenir tranquilles... autrement — je tire!...

I dalej ciągnęła wykład przy wzorowej ciszy ze strony obu chłopców, po których twarzach przemknął nawet cień szacunku.

Pan Wentzel tymczasem uporał się z myszą i wziąwszy ze stolika wytarty i zrudziały kapelusz, gotował się do wyjścia. Z rodzajem zazdrości spojrzał na zniszczoną twarz francuzki i na leżący na stole rewolwer.

Tak! widocznie inni ludzie posiadali dar wpływania dodatnio na te... wyjątkowe dzieci — on, jeden tylko nie, on jeden!...

Stłumiwszy westchnienie, ujął cicho za klamkę i wysunął się z pokoju.

— Junon dévorée par la jalousie, épiait Jupiter... — mówiła francuzka, wykrzywiając przytem swą twarz nakształt maski klowna — et Jupiter aimait Jo... — ochrypłym głosem.

Zagłębiła się teraz w miłostki Jowisza z całą lubością bulwarówki; po jej ustach igrał od czasu do czasu uśmiech a ręka machinalnie poprawiała rzadką na czole grzywkę.

Julusiek, trochę znudzony, gonił czasami migające po suficie słoneczne plamy i usiłował zwinąć język w łuk, zwany „klops“. Tylko Maryan, zasłuchany w słowa francuzki, ślizgał się wzrokiem po jej piersi rysującej się dość wyraźnie pod opiętym stanikiem.

Patrzył, oczy mrużył i usta wydymał...

* *
*

— Chwilkę, panie Wentzel, proszę tylko o krótką chwilkę!...

I Ewelinka, powstawszy od fortepianu, potrząsnęła głową ubraną w całe pęki loków.

— Gdzie pan uciekasz? Nigdy niemasz czasu... a ja tu sama tak siedzę!...

Ostatnie słowa podkreśliła znacząco powłóczystem spojrzeniem.

Pod wpływem tego spojrzenia pan Wentzel pobladł jeszcze bardziej, niż na widok myszy.

O! gdyby wiedział, że Ewelinka obecnie „marzy“ w salonie i fortepian... „gniecie“, jak mówił Julusiek — byłby z pewnością umknął przez kuchnię, choć i tam kucharka witała go niedwuznacznem mruczeniem i dowodzeniem, że „rosół się jej utrzęsie w garnku, skoro choroba pana Wentzla *bez* kuchnię niesie“...

Lecz pan Wentzel stokroć wolałby już narazić się na gniew kucharki, niż poddać się magnetycznym spojrzeniom Ewelinki, dopełniającej w ten sposób pensyjnej edukacyi i probującej siły swych wdzięków na nieszczęsnym nauczycielu swych braci.

— Zagram panu Aschera... — wyrzekła, sznurując dość duże usta — przewracaj mi pan kartki...

Pan Wentzel rozpaczliwie zaczął przestępować z nogi na nogę.

— Chcę iść... na pocztę — wyjąkał cichym głosem.

— Poczta nie ucieknie — szeptała panna, przechylając się w łuk, dla uwydatnienia wypukłości bioder — a wreszcie, ja proszę!...

Ostatniemu słowu towarzyszyło znów wymowne spojrzenie.

W chorej piersi pana Wentzla serce zabiło gwałtownie, krew uderzyła mu do głowy i czerwonym płomieniem oczy zasłoniła.

Ewelinka uśmiechała się zadowolona. Chciała doświadczyć czy „powłóczyste“ spojrzenie „działa“ i przekonała się, że istotnie jest to dobry lep i niekosztujący zbyt wiele zachodu.

Lecz podbudzona w swych doświadczeniach

kokieteryjnych, pragnie dalej prowadzić rozpoczęte dzieło.

— Pan mnie unika, panie Wentzel — zaczyna znowu, grając dość fałszywie „nokturno“ — pan mnie unika, o! ja to czuję!...

Pan Wentzel nie śmie zaprzeczyć. Stoi jak słup soli, zaciskając konwulsyjnie pięści. W gardle czuje dławienie, usta mu drżą nerwowo.

Tymczasem dziewczyna przechyla głowę i mrużąc lekko oczy, wpatruje się w swą ofiarę.

— Pan odemnie ucieka, a ja cierpię!...

„Nokturn“ rozpływa się w przyciszonym akordzie. Ewelinka z wdziękiem opiera głowę o pulpit i pozostaje w tej pozie chwil kilka, żałując, że nie może widzieć samej siebie i ocenić w całej malowniczości sytuacyę, w której się znajduje.

Pan Wentzel tymczasem mieni się na twarzy wszystkiemi kolorami tęczy.

Boże mój! ona... przez niego cierpi, a on stoi jak wkuty w dywan, nie mając siły, aby powiedzieć słowo na swoje usprawiedliwienie!...

Ewelinka obserwuje go z pod oka.

Cieszy się serdecznie rozpaczą wyrytą na chudej twarzy chłopaka.

Cierpi! mężczyzna cierpi z jej powodu!

O radości!

Nie wie jednak jak wybrnąć z tej sytuacyi. Czy, podawszy rękę, zmusić go do uklęknięcia, czy oddalić się, jak „senne zjawisko“, pozostawiając po sobie „szmer jedwabnej szaty“...

Wybiera to drugie, odkładając tryumf zupełny na później i zerwawszy się z wdziękiem z taburetu, przebiega salon z szelestem świeżych spódniczek a odwróciwszy się na progu rzuca osłupiałemu Wentzlowi dwa słowa:

— Do wieczora!...

Lecz scena ta ma świadka w osobie matki-wdowy, która suwa się jak cień po całem mieszkaniu, udając gorliwe wypełnianie swych obowiązków.

Przed wrytym w ziemię Wentzlem zjawia się teraz nagle surowa, sztywna, pełna godności.

— Co pan tu robisz, panie Wentzel? — pyta majestatycznie — proszę się nie zapominać! nie za-po-mi-nać!....

I odwraca się, jakby z jednej sztuki wykuta, owijając nogi nieszczęsnego nauczyciela w fałdy swej długiej szaty.

Pan Wentzel skłania się nizko i cofa się tyłem w stronę przedpokoju. Otwierając drzwi, słyszy brzęk szkła i odwróciwszy się, dostrzega Justysię, pokojówkę, strącającą szczotką pogruchotane kinkiety.

— Wszystko przez pana — mruczy pokojówka — szarpnąłeś pan drzwiami, że się we mnie wszystko zatrzęsło...

Pan Wentzel na palcach sunie przez przedpokój.

— Czysto jak zmora, albo hałasuje, albo milczkiem lezie...

Pan Wentzel przy drzwiach prowadzących na schody podnosi zasuwkę i ujmuje klamkę.

Justysia oparta na szczotce, patrzy z pogardą na jego wytarty surducik i wązkie ramiona.

— To ci mężczyzna! — szepcze, podciągając nosem. — Ni do Boga ni do ludzi...

Pan Wentzel gorączkowo zaczyna zbiegać po schodach.

Tymczasem w pokoju Ewelinki cicho odbywa się scena. Pani Szymczyńska uznaje za stosowne przestrzedz córkę przed niebezpieczeństwem, na jakie się naraża, pozostając sam na sam z mężczyzną.

Lecz Ewelinka smaruje sobie nos kremem Simona i pogardliwie wzrusza ramionami.

— Z jakim mężczyzną mnie widziałaś? — pyta, odymając usta.

— Z panem Wentzlem!...

— A!...

— No... zaprzeczysz temu, że nie byłaś z nim przed chwilą... w salonie — mówi, jąkając się matka, której zimna krew Ewelinki i jej wzgardliwe miny prawie od chwili urodzenia córki imponują i pewność siebie odbierają.

Ewelinka teraz pudrem Simona bieli się na potęgę.

— Byłam... — odpowiada wreszcie — byłam, ale taki p. Wentzel przecież się nie liczy...

— Przecież jest mężczyzną...

Ewelinka spojrzała na matkę z litością.

— Mężczyzną?... to nędzna imitacya — nie żaden mężczyzna!...

I poszła odwijać z cienkich obsłonek mydło Simona, mające własność „udelikatnienia naskórka“.

* *
*

„I ftobie jednym czała nasza nadzieja, synu najmilszy, com cię własnemi piersiami wy karmiła i sboleniem sercowem wyhodowała“...

Pan Wentzel rękę przesunął po oczach, bo jakaś mgła wilgotna źrenice mu przysłaniać poczęła. Ten kawałek grubego, ordynarnego papieru, zakreślony krzywem i niewprawnem pismem, szarpie mu duszę na kawałki.

Odebrał przed chwilą z poczty ten list od matki, ubogiej sklepikarki w małej podgórskiej mieścinie, gdzie i on spędził swe dziecinne lata. Gdy listy przychodziły dawniej do domu pani Szymczyńskiej — „wyjątkowe“ dzieci na dobrze bawiły się „koszlonami“, z jakich złożony był adres.

Od pewnego więc czasu pan Wentzel odbiera listy matki z biura pocztowego i siada w małym ogródku, otaczającym gmach pocztowy, dla odczytania i odcyfrowania hieroglifów, z jakich się zwykle listy te składają.

I teraz siedzi na wilgotnej ławce, tuż pod krzakiem bzu, który dopiero pączki wypuszczać zaczyna. Dokoła, kilka chudych drzewek wznosi swe bezlistne gałęzie, pies jakiś błąka się po trawnikach, grzebiąc łapami w czarnej ziemi, poprzecinanej wązkiemi paskami zieloności.

W powietrzu unosi się ciepła wilgoć, która piersi smutkiem tłoczy i moc wspomnień nasuwa. Pan Wentzel raz jeszcze powoli list przeczytał, poczem pochyliwszy na piersi głowę myśleć począł.

W nim jednym cała nadzieja!

Cała nadzieja tych dwojga starców zgiętych od pracy, nędzy i smutku! Jak w tęczę, tak patrzą w niego ci rodzice, którzy, odmawiając sobie kawałka mięsa, chwili spoczynku

— do szkół go wysłali i teraz czekają plonów z tej mozolnej, ciężkiej pracy.

On wie, on to czuje, że jemu ustawać w pracy niewolno, że wszystko, co znosi w domu pani Szymczyńskiej nadal znosić powinien, bo kąt, w którym stoi łóżko jego, ma dach nad głową, bo łyżka strawy, która mu nieraz przez ściśnięte gardło przejść nie może — trzyma go przy życiu — jego i tamtych dwoje!...

I widzi ich w czarnej jamie sklepika pomiędzy workami kartofli, beczką nafty, pękami drzazg, widzi ich schylone postacie, słyszy kaszel ojca, stękanie matki; woń stęchlizny i wilgoci owiewa do koła...

Biedni! biedni starzy!...

Lecz on? On sam, czyż nie cierpi, czyż te upokorzenia, te tortury, które codziennie z Julusiem i Maryanem przebywa, te noce spędzane bezsennie nad książką, te ranki, wśród których znużone ciało domaga się chwilki snu, te zaparcia się wszelkich uciech młodości, uśmiechów, swobodniejszej myśli!... czyż to się zliczyć daje?

Zresztą, dość spojrzeć na niego, gdy tak siedzi nędzny i blady, w jasnych promieniach wiosennego słońca. Twarz ma żółtawą z zielonawym, prawie trupim na skroniach odcieniem, piersi wklęsłe, plecy wypukłe, nogi wychudłe.

Jest brzydki, nędzny, śmieszny — wie o tem, czuje to i jest bardzo nieszczęśliwym.

A jeszcze w dodatku serce mu bije gwałtownie i coś się przed nim majaczy, jakiś uśmiech dziewczyny, jakiś akord „nokturna“ zasłyszanego przed chwilą...

Wszystko to gnębi go i dręczy nad wyraz.

Ciasna klatka piersiowa niemoże pomieścić tylu wrażeń, które razem z ciepłą wonią wiosenną do jego piersi się cisną.

Coś go dławi w gardle, oddech mu tamuje. O! ta wiosna!... czyż ona istnieć powinna dla takich, jak pan Wentzel, nędzarzy?!...

Pies, plączący się po trawniku, zbliżył się teraz do ławki i przed nogami Wentzla przesuwać się począł.

Był tak jak i Wentzel nędzny, wychudły i oddychał ciężko.

Chłopiec nachylił się nad zwierzęciem i brudne jego kudły delikatnie gładzić począł.

Bezdomne zwierzę oparło łeb o kolana człowieka, wpatrzyło się w bladą twarz, pochyloną nad niem i nagle, przeciągle zawyło.

Wówczas z ciemnych, smutnych oczów pana Wentzla stoczyły się dwie, wielkie łzy...

* *
*

Gdy „wyjątkowe“ dzieci weszły do salonu wraz ze swoim nauczycielem, kilkanaście osób na wzór manekinów zapełniało fotele i kozetki. Był to jour fixe i pani Szymczyńska uważałaby sobie za straszne uchybienie, gdyby przynajmniej ze sześć brzydkich, jak noc, panien, takaż ilość wychudłych mężczyzn i odpowiednia liczba mam, nie wynudziła się wśród ścian jej salonu.

Pan Wentzel wprowadzał zwykle swych uczniów, drżąc na myśl wystawienia na światło licznych kandelabrów, wyplamionego tużurka i gumowych kołnierzyków.

Była to dla niego najcięższa chwila w całym tygodniu.

Zwykle Maryan i Julusiek, ukłoniwszy się gościom, zwracali się z dowcipnemi uwagami w stronę swego kozła ofiarnego.

Lecz dziś pan Wentzel był stokroć więcej zmieszany niż zwykle. List matki, poranne przejście z panią domu a wreszcie scena z Ewelinką — odbierały mu resztę przytomności.

Ewelinka w gronie panien rozpoczęła właśnie zajmującą rozmowę o emancypacyi kobiet, pragnąc ją oprzeć na całkiem nowym gruncie, bo na darwinowskiej przemianie gatunków. Ewelinka lubiła popisywać się ze swą „głęboką wiedzą“, nie zaniedbując przytem powłóczystych spojrzeń.

Wypróbowała je rano na panu Wentzlu, była więc pewną swego i gradem ognistych spojrzeń obsypywała młodziuchnego blondynka, który jak wiśnia rumienił się i obrywał guziki u rękawiczek. Pan Wentzel, wciśnięty w kąt, stał, opierając się plecami o ścianę.

Po nad nim, płonęły świece kinkietu i oblewały go złotawym blaskiem i kroplami stearyny. Maryan zajął jedno z lepszych miejsc, tuż obok dobrze wydekoltowanej mężatki i włożywszy ręce w kieszenie, patrzył i usta wydymał.

Julusiek zatrzymał się chwilę przed panem Wentzlem.

— Cóż pan tak tkwi koło ściany? — Niemoże pan usiąść?...

Pan Wentzel obejrzał się za fotelem, czując, że parę osób zwraca na niego uwagę.

W pobliżu właśnie stał wspaniały fotel obrzucony makatą.

Pan Wentzel osunął się na niego machinalnie.

Julusiek wzruszył ramionami.

— Na fotelu? — zaskrzeczał, podskakując na jednej nodze — jak jaki obywatel?... niemożesz pan na krześle?...

Osoby siedzące bliżej zaczęły się uśmiechać.

Julusiek uczuł, że odnosi sukces i podniósł głowę z prawdziwym tryumfem.

Pan Wentzel zacisnął usta i nie śmiał oczów oderwać od ziemi.

Wniesiono herbatę.

Julusiek porwał z tacy filiżankę i zbliżył się z nią do nauczyciela.

— Napij się pan herbaty! — mówił, pakując się na kolana Wentzlowi — wyglądasz pan jak śmierć angielska... pij pan...

I potrącił filiżankę, wylewając gorący płyn na ręce i tużurek Wentzla.

— Potem powiedzą, żeś się pan u nas zagłodził... — dodał, wykrzywiając się jak stary pajac.

Pan Wentzel ujął filiżankę i oglądał się za łyżeczką.

— Czego pan szuka?...

— Łyżeczki!

— A to po co?

— Zamieszać!

— A niemożesz pan palcem?...

I zlazłszy z kolan nauczyciela, „wyjątkowe“ dziecię zmieszało się z tłumem gości, depcząc po jedwabnych trenach dam i lakierkach mężczyzn.

Pan Wentzel pozostał w swoim kąciku z filiżanką herbaty w ręku.

Przed nim jakaś tęga brunetka prezentowała swą pełną szyję w oświetleniu płynącem z góry. Jej obnażone ramiona, fałda ciała na karku, fałda pełna tajemniczego cienia, mieszała pana Wentzla i napełniała jakąś bojaźnią. Sam nędzny i chudy lękał się dobrze rozwiniętego kobiecego ciała.

Zapach, wydzielający się z sukien brunetki, odurzał go do reszty.

Przytem głos Ewelinki, donośny, trochę nosowy, jej śmiech nerwowy, nadto dobrze „ułożonej“ panny, wstrząsał mu serce.

Uczuł się blizkim zemdlenia.

Nagle, z tego pół snu zbudził go skrzeczący głos Juluśka.

— Czyś się pan kiedy kochał?

To wyjątkowe chłopię w ten sposób interpelowało rumianego blondynka, siedzącego obok Ewelinki. Mimowoli, rozmowy ucichły. Julusiek miał własność śmieszenia całego towarzystwa, oczekiwano więc na coś bardzo dowcipnego.

Malec uczuł się panem sytuacyi.

Potrząsnął żółtą czupryną i rozstawił szeroko nogi.

— No! powiedz pan, czyś już się kochał?...

— Nie... — wybąknął blondynek — jestem jeszcze zamłody...

Julusiek szeroko otworzył oczy.

— Phi!... — skrzeknął — a pan Wentzel młodszy od pana a już się kocha...

Wszystkie oczy zwróciły się teraz ku nauczycielowi, który otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć, lecz głosu mu zabrakło.

— Jabym panu powiedział w kim — ciągnął dalej Julusiek — ale uprzedzam pana, że oni mnie zaraz za drzwi wyrzucą, bo ja prawdę powiem! O! Jewelinka i pan Wentzel, to się mają ku sobie...

Purpurą oblała się twarz Ewelinki.

— Panie Wentzel! — zawołała, drżąc cała ze złości — proszę Julka wyprowadzić i zamknąć się z nim w dziecinnym pokoju...

Pan Wentzel podniósł się, czepiając poręczy fotela.

Żyły mu na skroniach nabiegły, wyglądał jak pijany.

Chciał podejść do Juluśka, lecz malec szedł już ku drzwiom, dumny, zadowolony z uczynionego wrażenia, mrucząc ciągle:

— A co? Niemówiłem, że gdy powiem prawdę, to mnie za drzwi wyrzucą?!

* *
*

W dziecinnym pokoju pali się niewielka lampa, przysłonięta zielonym abażurem. Julusiek i Maryan zdaje się śpią spokojnie w swych łóżkach, ponakrywani stosem kołder i kołderek.

Koło stołu siedzi pan Wentzel, kurcząc pod krzesło nogi w zaplamionych atramentem skarpetkach. Przed nim leżą nożyczki, gruba igła, motek nici i kilka guzików. Pan Wentzel zabrał się do łatania swej codziennej kurtki i jakoś mu idzie niesporo. Kłuje się w palce, ściegi daje monstrualnych rozmiarów. Miał zamiar sprawić sobie nową kurtkę na wiosnę, ale namyślił się — zrobi inaczej. Pieniądze te pośle rodzicom, właśnie matka pisała, że sklepik nic nie przynosi, ojciec coraz słabszy...

Pan Wentzel matce odpisał, guldeny w list włożył i teraz, szyjąc, spogląda z rozrzewnieniem na kopertę, która za dni parę w zczerniałych od pracy rękach matki będzie.

I wśród tej ciszy nocnej, w wyobraźni swej widzi pomarszczoną twarz ojca, wybladłe lica matki, którzy z radością nad listem się pochylą i sylabizować literę po literze będą.

Biedni! biedni starzy!...

Pan Wentzel prawie uśmiechać się zaczyna. Na chwilę zapomina o swej nędzy, ciesząc się, że radość innym sprawia.

Nagle, jakby na komendę, z dziecinnych łóżek podnoszą się dwie rozczochrane głowy i rozlega się wrzask, od którego pan Wentzel drżeć i blednąć poczyna.

„Hopsztynder Madaliński
Fiuta! z kopyta.
Szara ciach, ciach!.. tańczy sobie
Z Barabaszem mazura!
Ej kolęda!... kolęda!...“

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Gabriela Zapolska](#).*

IV.

K u n d e l.

— Cóż u dyabła starego? Dlaczegóż nie mam i ja zrobić karyery? — zawołała Resia, ciskając obszarpaną książkę na ziemię.

Zerwała się z obdartej sofy a pociągnąwszy falbaną szlafroka kawał sprężyny i pęk siana, poskoczyła ku oknu.

Ładnie tam było na dworze, choć trochę jeszcze chłodno. Resia nieuczesaną głowę wytknęła przez okno a wiatr wiosenny rozwiewał jej kręte, czarne włosy. Ona od czasu do czasu dmucha silnie, chcąc odpędzić natrętne kosmyki, które kręciły się koło jej wybladłych warg lub czepiały się długich rzęs i wzrok zasłaniały.

Była to jeszcze młoda dziewczyna, pysznie zbudowana, brudna i pokryta piegami. Stanowiła najwytworniejszy okaz wesołych cór miasta — i odznaczała się szczytną głupotą, dobrem sercem i zamiłowaniem do pieczonej gęsi.

Lubiła przytem pieniądze (była żydówką), nowe buciki, karmelki i zwykle w zimie, o szarej godzinie, piekła sobie na trzech patyczkach jabłka, kiwając się i mrucząc jakąś monotonną piosenkę. Umiała czytać, lecz za to nie umiała pisać, jadła chleb ze szmalcem na obiad a potem, nie umywszy rąk, nacierała się „chyprem“.

Paliła papierosy i czesała się raz na tydzień, była antisemitką w całem słowa znaczeniu a na kwestyę emancypacyi kobiet nie zapatrywała się wcale.

Dnie całe leżała na swej sofie, paląc papierosy, dopiero z

nadejściem zmroku budziła się ze swej bezczynności.

Wstawała wtedy, mrucząc i plując po kątach i szczoteczką od zębów czyściła buciki a bieliła twarz kredą w braku pudru. Potem — usiadłszy przy oknie, czekała na... Kundla.

* *
*

Kundel ten był obecnie jej wielką miłością. Był to mały, potwornej brzydoty chłopak, syn jednego ze znaczniejszych urzędników miasta. Przysłowiowo brzydki, był dziwnym okazem jakiejś brutalnej zuchwałości i bezczelnej arogancyi, któremi w domowem zaciszu uzyskał słodkie miano... Kundla. Wielka jego głowa, pokryta rozwichrzoną, olbrzymią czupryną, miała kształt prawie czworograniasty; wyraz małych oczek i ust wydętych, obrosłych sterczącym, rudawym włosem, znamionował upór, przewrotny spryt i jakieś niczem nieukrócone zuchwalstwo. Trzymał zwykle ręce w kieszeniach od spodni i nosił małoruskie koszule, najczęściej rozpięte na piersiach. Mówił powoli, zacinając się na syczących spółgłoskach i miał zupełnie odrębny sposób wyrażania się, który trwogą przejmował słuchaczów.

W domu był postrachem matki i sióstr, dwóch młodych dziewczynek słodkich i nieśmiałych, tulących się do kątów, gdy Kundel — podczas nieobecności ojca — zjawiał się w salonie lub jadalni. Matka sama podnosiła ku niemu błagalnie oczy, w których nierzadko przewijała się łza..

Lecz Kundel urągał wszystkiemu. Mówił że jest „wyższy nad świat cały“ i rozwalając się na kanapie przetrawiał, ziewając, resztę nocnych pochulanek i pochłoniętego piwa. Zrodzony z rodziców szczytnie „bürgerskich“ — według jego słów własnych, niewiadomo zkąd rozwinął w sobie naturę nocnego włóczęgi i junakieryę bursza. Całe dnie włóczył się w przydeptanych pantoflach po czyściuchnych pokojach, wytrząsając popiół z fajki na dywany lub fotele. Gdy mu ktokolwiek zrobił jaką uwagę, odpowiadał chrapliwym głosem:

— Odsuń się, bo cię psom oddam na pożarcie a krwią twoją drzwi mego przedpokoju pomalować każę!

Miał lat dwadzieścia i skończył dwie klasy. Nie było siły ludzkiej, któraby go skłoniła do powrotu do szkół. Uczył się „prywatnie“ — doprowadzając zwykle nauczycieli do rozpaczy, lub do dzielenia z nim nocnej rozpusty.

Życie nie miało dlań już żadnych tajemnic, zakosztował wszystkiego i od lat pięciu czepiał się spódnic kobiecych, pełen przewrotnej żądzy, z której sobie doskonałą zdawał sprawę.

Doszedłszy do lat piętnastu, był przeżytym i znudzonym starcem, gdy wracał do domu nad ranem, twarz jego miała odcień ziemisty a oczy czerwone i spuchłe.

Ręce mu drżały, kąciki ust miał wiecznie zaślinione. Gdy siadał do obiadu, nieumyty, nieuczesany i wyciągał trzęsące się palce po wino lub cytrynę, cieszył się widocznie z nerwowego drżenia, które mu ramię targało.

— Łapcie mi się trzęsą! co? — pytał, spoglądając tryumfalnie po obecnych, którzy, wzruszając ramionami,

zdawali się zapominać o jego obecności.

Przyzwyczajono się bowiem w domu do tego Kundla — na wpół pijanego, uważającego jadalnię rodziców za przedłużenie lokalu knajpowego. Jeden tylko ojciec umiał poskromić tę ohydną zuchwałość. Przy nim Kundel zapinał na piersiach koszulę, schodził do obiadu o właściwej porze i zamieniał tradycyonalne pantofle na głębokie kalosze. Gdy spodziewano się gości, Kundel obcinał paznogcie u lewej ręki i usiłował zaprowadzić porządek we włosach. Był to rozkaz ojca, rozkaz wypowiedziany dobitnie, urywanym suchym głosem.

Głos ten oddziaływał na chłopca przynajmniej drobiazgowo i pozornie.

— Stary ma fajgle, trzeba go nabrać!

A „nabierania“ tego, więcej aniżeli zwykłej zuchwałości bała się szczególniej matka.

Kundel bowiem, znając słabą stronę ojca, gdy zbyt wiele narobił długów i za często był proszony do cyrkułu — stawał się nagle melancholijny i uczuwał potrzebę poprawy. Pragnął wtedy czystej bielizny, mydła, książek naukowych i trochę szacunku ludzkiego.

Wchodził do pokoju ojca na palcach, ucierał nos chustką, sługom pozwalał przejść spokojnie a siostry głaskał po głowach, nazywając je pieszczotliwie „małpiszonami“.

Dozwalał sprzątać w swoim pokoju i przewracać materace na drugą stronę, fajkę ostentacyjnie zawieszał na gwoździku i palił damskie papierosy, mówił cieniuchnym głosem, dobierając słów a oglądając lampę, deklarował, że „już się wszystko skończyło i on, Dyńdzio, zabiera się do

pracy...“

Ojciec zwykle, z początku, sceptycznym wzrokiem śledził zmianę w postępowaniu syna. Powoli jednak dawał się łudzić nadziei. Kto wie — może wreszcie coś się zbudziło w tej głowie mózgu pozbawionej, w tem sercu zda się zatopionem w kale rozpustnych uciech.

— Patrz, duszko — mówił do żony, która z robótką w ręku dozorowała zabawy dwóch dziewczynek, — ot zdaje się, że tam na górze jakiś porządek panować zaczyna...

Dyńdzio zajmował dwie facyatki położone na drugiem piętrze, i domowi, chcąc unikać wymówienia imienia najstarszego z rodu, nazywali locum Kundla „górą“.

Matka jednak wzruszała ramionami.

— Pewnie coś nabroił lub chce coś uzyskać — mówiła smutnym głosem.

— No!... kto wie! kto wie! — protestował ojciec, — może się wreszcie upamięta i przestanie zatruwać nam życie.

Matce łzy stawały w oczach.

— Daj Boże! — odpowiadała wzdychając.

Lecz nie łudziła się wcale.

Wiedziała co znaczy to „upamiętanie“. Wszakże i ona niejednokrotnie została w ten sposób przez syna zwiedziona. Nawskróś religijna, mająca w sobie ślepą wiarę i poszanowanie praktyk religijnych, konfesyonałem, kazaniem chciała wpłynąć na rozhukanego chłopca. Kundel odrazu zrozumiał, że z tej naiwnej i pełnej adoracyi duszy — może wyciągnąć dla siebie korzyści.

I powoli wprowadził system dziwny a przyjęty przez

matkę, która w żarliwości swojej stała się źródłem wyzysku.

Każdą wysłuchaną mszę, każdą spowiedź, otrzymane rozgrzeszenie, odprawioną pokutę, każdą bytność na kazaniu — opłacała pewną umówioną kwotą pieniędzy.

Gdy Kundel zanurzył swój rozczochrany łeb w cienie konfesyonału, biedna kobieta padała na kolana, modląc się żarliwie o „oświecenie nieszczęśliwego“.

Lecz ten „nieszczęśliwy“, plotąc księdzu niestworzone brednie, wyjawiając wątpliwości, od których włosy spowiednikowi stawały po prostu na głowie, obliczał w myśli, ile to nocy bezsennych za otrzymane od matki pieniądze w murach knajpy przepędzi.

I długo włóczył się tak po kościołach, będąc postrachem księży, którzy zobaczywszy przystępującego do kratek Kundla, czuli krew bijącą im do głowy. Na mszach porannych widzieć go można było drzemiącego obok rozmodlonej matki — z oczyma zaczerwienionemi jak u królika, z rękami brudnemi i koszulą pomiętą.

Czasem, wpadłszy w dobry humor, „fiksował“ jaką „zamodloną“ dewotkę, lub gasił świece defilującemu bractwu.

Wreszcie matka zrozumiała, że każda spowiedź Kundla, każda msza jest tylko dla chłopca źródłem wyzysku a pieniądze otrzymywane dają mu możność do pogrążania się w coraz większej rozpuście. Zamknęła kieszeń i od tej chwili, gdy Kundel zapowiadał poprawę, wiedziała czego się trzymać w takich razach.

Ojciec łudził się jeszcze. Gdy Dyńdzio z wielką pompą

wchodził do jego kancelaryi i zabierał librę papieru, kilka piór i pakę bibuły, ojciec pytał go, w jakim celu bierze te foliały.

— Idę pracować — będę robić notatki z „Naukowych podstaw krytyki literackiej“ Hennequina, lub ocenię którą z tragedyj Sofoklesa — odpowiadał Kundel, stawiając ostrożnie nogi obute w stare kalosze, które jak dwie plamy rozlewały się na jasnem tle dywanu.

— Sofoklesa? — pytał ojciec.

— Hm!... tak, jeśli będą tego warte. Nie wiem jeszcze. Być może, iż sam coś napiszę, bo coś mi się w głowie... kiełbasi! Zresztą pracować będę do rana. Dobranoc ojcu!

I wychodził powłócząc nogami, a zamknąwszy drzwi za sobą, uśmiechał się złośliwie:

— Stary jest wzięty... pojutrze można się lansować — a beknie i to dobrze!

* *
*

Lecz Kundel miał także w głębi duszy swojej kącik poetyczny, w którym rosła błękitna niezabudka sentymentalizmu. Kundel był kochliwy i jak wszyscy „przeżyci“ — w miłościach swoich dążył do ideału. Ideał to był zupełnie odrębny od ideału Danta i Petrarki, lecz mimo to nie przestał być ideałem, w którym Dyńdzio czerpał natchnienie i siłę do życia. Dyńdzio cieszył się takim wstrętem mieszkanek miasteczka, że dość było dla kobiety ujrzeć na ulicy Kundla, aby mieć humor popsuty na dzień

cały.

Kundel nie martwił się tem wcale. Nienawidził kobiet dobrze ubranych i jako tako wychowanych. W knajpie, po opiciu się odpowiednią ilością piwa — brutalnie zdzierał z każdej „damy“ kryjące obsłony i z cynizmem najwyższym obrzucał ją wyrazami pogardy i szyderstwa. Dla niego istniała tylko „natura“ w postaci rozczochranych dziewczyn, którym jego małoruska haftowana koszula imponowała a plugawy żargon przypominał ciemne zaułki, wśród jakich młodość spędziły.

Do takich więc „ideałów“ Dyńdzio pisywał ody, maczając palec w piwie i kreśląc słowa na marmurze stołu. Gdy blady świt kładł im wszystkim na czoła zielonawe, trupie tony — Kundel deklamował:

Niekiedy blada Wenus z mdławym blaskiem w oku
Schodzi tu na ziemię w latarnianym zmroku.

Dziewczyny zanosiły się od śmiechu.

Ten Kundel! a niechże go! a to je wyzywał. Lecz on przygasłemi oczami spoglądał na nie, jakby ze smutkiem i sącząc z kufla resztki piwa, bełkotał:

I uniesioną suknię wpół rozmyślnie szasta,
Ukazując światu brudnych pończoch parę...

Zwykle Dyńdzio kochał którąkolwiek z tych dziewczyn, kochał po swojemu, tyranizując i maltretując bez litości. Gdy przyszła kolej na Resię, Kundel odmienił swój system postępowania. Resia przypadła mu do gustu i cygańska

natura kobiety zlała się wybornie z brutalnem usposobieniem chłopca. Podbita jego trywialną a chwilami znów sentymentalną namiętnością, Resia zachwycała się Dyńdziem i dozwalała mu na wszelkie wybryki.

Były chwile, w których Kundel nazywał Resię „nikczemną żydówką“ — po to, aby po kwadransie nadawać jej miano Fryny i wycinać z jej wykoszlawionych bucików greckie sandały. Poczem mówił jej wiele o potrzebie kształcenia umysłu i obiecywał dać jej nauczyciela angielskiego, gimnastyki i gry na cytrze. Najczęściej następowała później mała nauczka moralna, w której „Kundel“ wykładał zdziwionej i drapiącej się w łydkę Resi, że są pewne warunki, z któremi szanująca swą godność kobieta liczyć się powinna a właśnie ona zdaje się urągać społeczeństwu i w skutek tego może doznać w przyszłości zmartwień i upokorzeń. On, Dyńdzio — jest wprawdzie wolny od przesądów i bez kwestyi „szanuje“ w niej kobietę, ale właśnie dla tego pragnie, aby cały świat ją szanował. Gdy Resia opornie przyjmowała podobne słowa i w trakcie podobnej perory oddawała się sportowi dłubania szpilką w uchu, Kundel dla poparcia swych argumentów uderzał ją pięścią w głowę, co wywoływało oczekiwany skutek.

Kundel obdarzał Resię prezentami i od czasu do czasu znosił do mieszkania swej ulubionej najdziwaczniejsze przedmioty pochwytane na kredyt po sklepach, w których przez wzgląd na rodziców kupcy nie śmieli Dyńdziowi czegokolwiek odmówić. W ten sposób Resia posiadała siedem par szelek, cztery pary kaloszy, trzy spluwaczki,

cztery brzytwy, jedenaście pędzli do rozrabiania mydła i olbrzymi teleskop. Żywiła się przeważnie sardynkami, rodzynkami, paloną kawą, pieprzem tureckim i musztardą. Nauczyła się palić papierosy a nawet żuła tytoń jak stary turkos.

Tego rodzaju wspaniałe „utrzymanie“ zaczęło jednak powoli niewystarczać Resi. Kundel imponował jej ciągle — zapewne — a nawet teraz kiedy wymyślał światłocienie i opowiadał, że użyje ją do „plein-air’u“, od którego świat „zdesenieje“, Resia zapominała o pieczeniu jabłek i cała zasłuchana kucała u kolan Dyńdzia wyciągniętego niedbale na koszlawem krzesełku. Ale... Dyńdzio od pewnego czasu przynosił już same słoiki musztardy, a w dzień urodzin Resi obdarzył ją męzkiem siodłem, więc dziewczyna powoli zaczynała się niecierpliwić. W dodatku Dyńdzio, w celu rozświetlenia umysłu swej Fryne i uczynienia z niej Lais miasta — przynosił znudzonej dziewczynie tłomaczenia rozmaitych francuzkich romansów, w których imaginacya autorów wraz z potwornością fabuły walczyła o lepsze. Resia czytała te opisy wonnych buduarów wypikowanych atłasem, tonących w półcieniu sypialni, nocnych lamp kryształowych migocących w przestrzeni.

Dyńdzio dopełniał reszty. Wieczorem puszczał wodze swej sentymentalności i tak we dwoje wśród brudu, porozlewanej wody, połamanych grzebieni i dziurawych krzeseł, galopowali myślą w sferę woni, połysku jedwabiu i bladych barw abażurów.

Wreszcie doszło do takiego naprężenia sytuacyi, iż Resia, zjadłszy dwa słoiki musztardy i trzy stare bułki,

włożywszy spódnicę praną przed pięcioma miesiącami — zeskoczyła z sofy i stanąwszy w lufciku powiedziała z mocą:

— Muszę zrobić karyerę!...

* *
*

Kiedy te słowa posłyszał wieczorem, Kundel roztworzył szeroko oczy i wydął wargi.

— Tego ci się zachciewa? — zapytał.

Lecz Resia dnia tego nie była usposobioną do żartów.

Zmarszczyła brwi, zatopiła popękane z odmrożenia ręce w rozczochrane włosy i nie odpowiedziała ani słowa.

— Cóżeś się tak nadęła jak pluskwa w maśle? — pytał Dyńdzio.

Milczenie.

Dyńdzio począł się niecierpliwić.

— Chcesz zrobić karyerę, a cóż to... mała karyera, jaką masz teraz?

Resia wykrzywiła usta.

— O jej!... — wyrzekła wreszcie, — co mi z tego. Mieszkam jak śledziarka... a czem żyję, to już wstyd powiedzieć...

Dyńdzio machnął ręką.

— To wszystko marność, widzisz serce to grunt...

Resia zamilkła i znów kiwała się długą chwilę, wpatrzona w odrapane ściany swego pokoju.

— Chciałabym — zaczęła znów powoli — chciałabym

mieć dywan na podłodze i atłasową kołdrę, i samowar na szafie, i komodę, i firanki, i taką lampę u sufitu z kolorowem szkiełkiem. Aj, aj! o!... tobym chciała mieć!...

Cmoknęła ustami i znów zakołysała się, obejmując nagiemi ramiony swe kolana ledwo okryte cienką spódnicą.

Słaby blask płonącej na stoliku świeczki żółtawą linią oznaczał jej kontury. Miała w tej niedbałej pozie, w tym skurczu całej postaci, coś z owych żydówek tkwiących w piasku pustynnym.

— Och ty puchu marny! — wyrzekł wreszcie z pogardą.

Resia wzruszyła ramionami.

— Żebym ja puchem była — to dawnobym z siebie pierzynę zrobiła — wyrzekła sentymentalnie.

— Więc bogactw ci się zachciewa, ty kruku żydowski? — ciągnął Dyńdzio, — bogactw? Wschodniego zbytku? Nie wystarcza ci skromny dobrobyt, jakim cię otoczyłem? Dobrze — poznasz więc udrękę bogactwa! Pęknę w czternaście kawałków, jeśli od dziś za miesiąc, ty cholero azjatycka, nie będziesz mieć tu dywanów... dzieł sztuki i twego samowara bydlęcego na szafie!...

Resia spojrzała na Dyńdzia z niedowierzaniem.

— Dyabeł wie czy to będzie, a tymczasem możebyś jutro mi coś przysłał do zjedzenia, bo ta musztarda już mi łokciem wyłazi!...

— Cicho, córo Izraela! jutro ci przyślę trzy funty mydła, bo ojciec mi kredę na mydło otwiera. Pojutrze u nas goście, więc powiadają, że się umyć trzeba...

Resia przysunęła się do krzesła Dyńdzia, nie wstając z klęczek.

— Ty i tak ładny, Kundlu! — wyrzekła, mrużąc oczy i przeginając się jak kotka.

— To się wie! — odparł Kundel, wyciągając swe brudne ręce i kładąc je na wspaniałych ramionach klęczącej u stóp jego żydówki.

* *
*

W miesiąc później rodzice Kundla wyjeżdżali na letnie mieszkanie.

W domu pozostawał Dyńdzio i stary stróż.

Ojciec po dwutygodniowym na wsi odpoczynku miał powrócić do miasta i objąć nadal swe zajęcia biurowe.

Rano odjechali wszyscy, odprowadzeni nawet na pociąg przez Dyńdzia, który od tygodnia zachowywał się przyzwoicie, prawie bez zarzutu.

Nawet matka zaczęła się łudzić możliwością poprawy. Chciała mu na samem wyjezdnem zaproponować spowiedź, ale cofnęła się i postanowiła czekać.

Kto wie, co się w tej mózgownicy gnieździło.

Za to ojciec dał się unieść złudzeniu. Przestał nazywać syna „Kundlem“ a natomiast mówił mu dobitnie „Dyonizy“! — lub „Synu“! Dał mu trochę pieniędzy, otworzył kredyt u krawca na dwa garnitury letnie i na wyraźne żądanie Dyńdzia sprawił mu pół tuzina koszul z poczwórnemi gorsami. Lecz zdziwienie całego domu dobiegło szczytu, gdy Dyńdzio zażądał fularowych chustek

do nosa, szkockich skarpetek, „Encyklopedyi“ Orgelbranda i pasty do zębów. Czemprędzej udzielono mu żądanych przedmiotów i Kundel ostentacyjnie wycierał teraz nos w olbrzymie kolorowe fulary, które zawsze wyglądały mu ze wszystkich kieszeni ubrania.

Skarpetki nosił także — wprawdzie w kieszeni, ale był to już stanowczy zwrot ku lepszemu, i gdy pociąg ruszył, ojciec wychylił się raz jeszcze, aby spojrzeć na Kundla stojącego przykładnie na peronie pomiędzy posługaczami i urzędnikami kolejowymi.

— Stoi a nawet zdjął kapelusz i ku nam powiewa!... O!... teraz, wyciągnął chustkę i ciągle macha!... — mówił biedny ojciec do cisnącej się gromadki, — doprawdy, wygląda jak porządny człowiek.

— Kto wie! — szepnęła matka, — może Bóg go wreszcie raczy... — i ręką opiętą w ciemną rękawiczkę, kreśliła w powietrzu znak krzyża... ot... matka!

Tymczasem Dyńdzio, postawszy jeszcze chwilę na dworcu, schował płachtę do kieszeni i szybko skierował się ku domowi.

Wszedłszy do mieszkania, zamknął drzwi na klucz i zaczął systematycznie zdejmować ze ścian obrazy. Zdjęte składał na ziemi jedne na drugich, nie zważając, że ramy wpijają się kantami swemi w płótna i kaleczą cenne oryginały i dobre kopie skrzętnie przez ojca zbierane.

Potem przyszła kolej na dywany.

W gabinecie ojca było kilka wschodnich makat, miękich, o wytwornych gustownych odcieniach. Makaty te Dyńdzio zerwał ze ścian i nie składając zwalił na obrazy. Poczem

rzucił się ku portyerom. Oberwał je wraz ze strzałami, na których były zawieszone. Jedna ze strzał, spadając, uderzyła go boleśnie w głowę, lecz on potarł tylko czuprynę i rzucił się do łóżek zdzierać kołdry i poduszki.

Z tualetki matki porwał dwa kryształowe flakony, weneckie lustro, z małego saloniku japońskie maski, sztylety i dwa wypchane ibisy. Z kuchni zwlókł durszlak, patelnię, wałek do ciasta, samowar olbrzymi, mogący pomieścić do czterdziestu filiżanek, worek do piasku, kawał wosku od podłóg i dwie żelazne dusze. Pomieszał to wszystko z fajkami ojca, poduszką haftowaną, dziełem rąk sióstr, z koszykiem do robót matki, gustowną szyfonierką, zerwaną ze ściany i malowaną paterą na bilety wizytowe.

Dopełniwszy tego dzieła, zwaliwszy jeszcze na całą kupę tych przedmiotów cztery wyzłacane krzesełka, wschodnie lustro, dwa pufy fortepianowe, prześliczną lampę, biuścik śmiejącego się dziecka, świecznik mosiężny żydowski i kilkanaście sztuk srebra stołowego, usiadł Dyńdzio na tem wszystkiem i pogwizdując oczekiwał zmroku.

* *
*

Gdy zmrok nadszedł, dwóch wynajętych posłańców przeniosło na tragach wszystkie te przedmioty do mieszkania Resi. Tragi eskortował Kundel, kroczący z dumą i spoglądający z góry na przechodzących. Wszyscy usuwali mu się z drogi, tylko stary stróż mruczał, otwierając bramę, lecz przed podniesioną laską panicza schował się

czemprędzej do swej izdebki.

Posłańcy śmieli się, dochodząc do mieszkania żydówki. Znali oni dobrze Kundla i wiedzieli, że „panicz znów coś ukuł“.

Zapłaceni z góry, wrzucili wszystkie sprzęty do pokoju i życząc „dobrej nocy“ — odeszli, śmiejąc się bezustannie.

Kundel zabrał się teraz do urządzenia pokoju Resi, która otworzywszy szeroko oczy, przykucnęła na ziemi, oszołomiona widokiem tylu nieznanych dla niej przedmiotów.

Wreszcie, ośmielając się powoli, wyciągnęła z pomiędzy portyer poduszki i oszalała z radości, poczęła je ciskać po pokoju.

— Z puchu! aj, aj!... z puchu! — wołała, gniotąc je w ręku i zanurzając twarz w szeleszczącą jedwabiem pościel.

Na widok samowaru chwilę zamilkła, poczem podszedłszy ku niemu, z szacunkiem przyklękła i twarz swą rozpaloną do chłodnej blachy przykładać poczęła.

— Same księżne takiego nie mają! — szeptała drżącym ze wzruszenia głosem.

Tymczasem Dyńdzio na brudnych odrapanych ścianach rozwieszał obrazy, wbijając z energią przyniesione w kieszeni haki. W braku młotka posługiwał się marmurowym przyciskiem przedstawiającym uśpioną Dyanę. W mdłym blasku świecy zamajaczyła „Elegia“ Siemiradzkiego, energiczna „Głowa starca“ Kotsisa i zabieliło się ciało „Najady“ Hennera.

Ostatni obraz zwrócił uwagę Resi.

— Goła! — wyszeptała, chichocząc się cicho.

Lecz Dyńdzio pracował ciągle.

Portyery wisiały krzywo, zakrywając drzwi wejściowe. Połowa tkaniny leżała na ziemi, maczając się w strudze wody, płynącej z rozbitego dzbanka.

Na podłodze Kundel porozrzucał makaty, a rozsypane pod niemi węgle trzeszczały za każdym krokiem. Stara sofa została nakryta gobelinem, przedstawiającym Pallas Atene, a złocone krzesełka stanęły dokoła stołu pokrytego batystową kapą ściągniętą z łóżka jednej z siostrzyczek.

Durszlak, patelnię, wałek do ciasta — Resia poustawiała na komodzie wraz z flakonami kryształowemi i weneckiem lustrem.

Zbytkowne wydanie „Pana Tadeusza“ poszło dla braku miejsca pod szafę. Ten sam los spotkał wyborną kopię z Ary Scheffera i śliczną broń gallo-romańską.

Wreszcie na łóżko Resi, rzucono poduszki oszyte cienką, nicianą koronką i na ciemnem z brudu prześcieradle rozłożono atłasową pąsową kołdrę — jeszcze wyprawną matczyną.

Wreszcie Kundel zatarł ręce i czując się znużony, zasiadł z nogami na sofce, znacząc ślady błota na twarzy Pallady.

— Masz... coś chciała — wyrzekł dobywając z kieszeni fajkę i zapalając ją ze smakiem.

A Resia, leżąc na ziemi, z włosami rozczochranemi, z policzkami rozpalonemi tarzała się wśród makat, dotykając co chwila ręką samowaru i żydowskiego świecznika, który o mało ją nie wprawił w szaleństwo.

— Aj! aj!... takie bogactwa!... — mruczała cmokając.

* *
*

W trzy tygodnie później, inna odbywała się scena.

Ojciec Dyńdzia, powróciwszy do miasta, z najwyższem przerażeniem dostrzegł spustoszenia poczynione w mieszkaniu. Co więcej — Kundel od chwili powrotu ojca wcale się w domu nie pokazał. Zawezwana telegraficznie matka przyjechała i z pomocą stróża i owych posłańców odkryła miejsce, w którem mieściły się wyniesione z mieszkania przedmioty. Również domyślono się, że tam a nie gdzieindziej kryje się zapewne Kundel, obawiając się skutków swego zuchwalstwa.

Rozpoczęło się parlamentowanie.

Kundel, zaatakowany listem ojca, zagroził w razie użycia środków represyjnych, strzeleniem sobie w łeb.

Serce rodziców zadygotało, postanowiono obniżyć kamerton i matka zaproponowała listownie ugodę pokojową.

Kundel odpowiedział zimno i spokojnie, że po głębokim namyśle przychodzi do przekonania, iż rodzice nigdy nie zechcą go uważać za dojrzałego mężczyznę, który wie co robi i za każdy swój krok przed Bogiem i honorem odpowie. Że znudzony bezczynnością, powróciłby może na łono rodziny, ale tylko w tym razie, jeśli zapewniona mu zostanie stała miesięczna renta i za zwrócenie zabranych przedmiotów pewna suma pieniężna.

Kilka dni ciągnęły się te pertraktacye pokojowe, a w miarę czasu rosły pretensye i zuchwalstwa Kundla. Matka

płakała po kątach a ojciec targał wąsy, patrząc na opustoszałe ściany, w których tkwiły gdzieniegdzie haki lub zwieszały się porwane liny.

Wreszcie dnia jednego zajechała z hukiem przed dom dorożka i wysiadł z niej Kundel, rozczochrany, obdarty, wychudły. Na samym wstępie uderzył w głowę stróża, który go zdradził i wyjąwszy z dorożki „Elegię“, niebieską szklaną miednicę i potrząsając włosami, które w przeciągu tych tygodni paru doszły do potwornych rozmiarów, wyrzekł:

— Jestem! zrobiłem co mi nakazano. Ponieważ jednak na tem wszystkiem ucierpiała najwięcej szacunku godna kobieta — muszę wynagrodzić jej krzywdę i prawdopodobnie się z nią... ożenię!

A spojrzawszy tryumfalnie na zgnębionych temi słowy rodziców, wyszedł, powłócząc nogami i pakując ręce w kieszenie.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Gabriela Zapolska.*

V.

O ś l i c a.

Gorączkowo Honorka zaczęła spowijać kwilące cichutko dziecko.

A wyciągając długi — na trzy łokcie powijak, mówiła ochrypłym głosem:

— Chodzi! chodzi! synulku!... pójdziemy na wesele twojego ojcaszka! Chodzi synulku, pójdziemy mu drużbować, ale nie ołtarz mu sprawimy, ni jakie weselenie, jeno łaźnię gorącą, że aż mu w piętach postygnie!

Stojąca obok barłogu, na którym leżało dziecko — kuma Kazimierzowa zaczęła nagle szlochać.

— A bezbożnik! wydziwiacz, rozbijaka! taką ci uczciwą dziewczynę z dobrej drogi sprowadził i teraz nijakiej pamięci o niej niema!...

Honorka szarpnęła silnie powijak.

— On ci pamięci o mnie niema, ale ja go za to w pamięci mam i niech mi Pan Jezus i Matka Najświętsza ręce i nogi poułamuje, jeśli ja go do ołtarza dopuszczę!... Bezemnie i bez tę dziecinę przejść musi!...

— Prawdę masz! — przytakiwała kuma, obcierając łzy płynące gradem po tłustej i czerwonej twarzy — już ci takiej krzywdeczki to i Trójca Święta nie daruje. Ty się o swoje upomnij, Honorka, w twarz mu napluj — od młodej odciągnij a swego nie daruj!

— I nie daruję! — powtórzyła, zacinając zęby dziewczyna.

Wzięła duży szmat barchanowy, który się suszył koło pieca i przytrzymawszy jeden koniec w zębach, dziecko nim owijać poczęła.

Obracane jak piłka chłopię, żałośnie płakać poczęło.

— Cicho, psiakrew, chorobo jedna! a bodajżeś się zadławił własnym ozorem, ty kundlu zatracony! A bodaj cię mór wydusił! — wybuchnęła Honorka, drżąc prawie cała od wewnątrz tłumionej rozpaczy. I wstrząsnęła dzieckiem tak silnie, że aż jęknęło, jak dławione szczenię.

Wówczas kobieta przypadła twarzą do barłogu i gryząc koc w nadmiarze rozpaczy wołała:

— A nie jęcz ty nad moją biedną głową — sieroto nieszczęśliwa... bo jeszcze mnie w zbrodnię jaką zepchniesz.

Kuma Kazimierzowa pochyliła się nad klęczącą kobietą.

— A dajże spokój, Honorko, dziecku i nie wydziwiaj się nad tym robakiem!

— Bez niego to wszystko, bez niego!

Kazimierzowa wzruszyła ramionami.

— Oj ty oślico! — wyrzekła z powagą — jakto: bez niego te rzeczy się dzieją? Czy to on ci się kazał z tym pędziwiatrem wdawać? A toć jego robaka na świecie wtedy nie było, jakeście się złazili to w piwnicy, to w komórkach!

I odebrawszy dziecko z rąk Honorki, sama je spowijać i ubierać zaczęła.

— Nie w tem rzecz, aby nad niewiniątkiem pomstować — ciągnęła nosowym, monotonnym głosem — ale w tem, rzecz, ażeby na czas do kościoła trafić i panu młodemu drogę mądrze zajść. — Słyszysz?

Honorka klęczała wciąż koło tapczana, mnąc w wychudłych rękach potargany i zniszczony kocyk. Z małego okienka umieszczonego wysoko w ścianie, tuż po nad posłaniem, płynęła jasna struga światła i biła wprost na twarz dziewczyny zniszczonej słabością i zgryzotą, która jej duszę szarpała.

Nie odpowiedziała wprost na zapytanie kumy lecz ściągając brwi, przez ściśnięte zęby wyszeptała:

— Nie daruję! nie daruję!...

Kazimierzowa skończyła ubieranie dziecka i zdjąwszy z kołka ciemną chustkę na plecy Honorki narzuciła.

— Chodzi! — wyrzekła — chodzi, już czas!

Po twarzy dziewczyny przemknął, jakby cień przestrachu. Przymknęła oczy i pozostała chwilę nieruchoma, jakby do tapczanu przykuta. Kuma już stała owinięta w chustkę, gotowa do drogi, huśtając lekko kwilące dziecko.

— Honorko! cóżeś tak przykucła? Jak chcesz szkandał zrobić — to duchem nam iść trza. Już czas!

— Chwilę jeszcze, kumo! — prosiła Honorka — czegosić mnie teraz lęk ogarnia!

Kazimierzowa żachnęła się z gniewu.

— A ty oślico cholerna! — zawołała, kładąc dziecko na tapczan — ty nad tym robacząt kiem nijakiego „litosierdzia“ niemasz! Toć na całe już życie przepadło ci wszystko, boć „hunor“ i cnotę w oczach ludzkich ten zgniłek ci odebrał a dzieciaka na rękę ci rzucił i troskać się o niego kazał. Jak się „obżeni“ tyle już prawa do niego nie masz! Już ci ni Bóg, ni ksiądz żadnej sprawiedliwości nie da. Jak żeniaty,

to od wszystkiego ochronny! Ale ty od pędraka byłaś oślicą i słusznie cię nieboszczka matka tak przezwała! No! czy to nie oślica? — kiedy jeszcze może co na swą stronę wyciągnąć... to kuca i mówi, że boja ma! Oj oślica ty! oślica!..

Honorka podniosła się z ziemi i, schwyciwszy dziecko na rękę, ku drzwiom szybko posunęła.

— Chodźmy! — wyrzekła krótko, drzwi od stancyi kopnięciem nogi otwierając.

Oczy jej się świeciły, usta miała znów zaciśnięte i zębami przygryzione.

— Nareszcie! — zamruczała kuma, zamykając drzwi na kłódkę — aby go tylko dobrze po mordzie sprała i publikę zrobiła!...

* *
*

Nieszpory się skończyły, lecz świece przy wielkim ołtarzu gorzały wciąż, oblewając żółtym, migocącym blaskiem zczerniałe płótno, z którego bieliło się ciało Jezusa zawieszonego na krzyżu.

Pomiędzy „wiernymi“, przepełniającymi lakierowane ławki, zapanował ruch i ożywienie wielkie.

Jedna „siostra“ — zapytywała drugą — dlaczego nie gaszą świec, skoro już wszystkie piękne pieśni zostały wyśpiewane.

— Zdaje się ślub jeszcze będzie — doszedł szept z ławek

zajmowanych przez mężczyzn.

Kobiety wdzięcznie pochyliły głowy.

— Dziękujemy! dziękujemy! — a czyj!

— Subiekta z cukierni i córki kolejnika!

Wszyscy zaszemrali zadowoleni.

Warto zostać, taki ślub, to już parada. Kolejarze wiadomo, lubią wszystko z pompą — a taki subiekt z cukierni to „osoba“.

Tymczasem kościelny wyniósł dwie poduszki i przykląkłszy, układać je począł na stopniach.

— Poduszki! — zaszemrano na ławkach.

Lecz znów mężczyźni udzielają informacyj bliższych co do osoby pana młodego.

Kobiety składają z westchnieniem książki i owijając na rękach długie różańce, wyciągają szyje — ciekawe, żądne wiadomości o tych ludziach, którzy za chwil kilka, jak papugi, powtarzać będą słowa sakramentalnej przysięgi.

— Więc cóż? cóż — pyta jedna przez drugą.

Pan młody — tak! — zapewne, człowiek bardzo uczciwy, porządny, uczony nawet — zdolny, ma jakieś oszczędności. Kto wie! może niedługo założy i cukiernię. Z takiemi jak on „głowaczami“ to wszystkiego spodziewać się można.

Kobiety kiwają głowami, nagle spoważniałe, jakby ta dobra opinia, którą się cieszy ów subiekt, przejęła je szacunkiem i powagą. Kościelny wnosi kropidło i naczynie z wodą święconą.

W ławkach powstaje znów szmer.

— Kropidło!... patrzcie kropidło!..

Ale już dwa ścieśnione szeregi ustawiają się wzdłuż ławek, tworząc rodzaj alei bramowanej ludźmi. Aleja ta, od balustrady przeciąga się aż ku drzwiom głównym, które zakrystyan w tej chwili na oścież otwiera. Turkot powozów, hałas uliczny, cały szum letniego, niedzielnego popołudnia wpada nagle w wilgotną ciszę kościoła.

Przez kolorowe szyby wpadające promienie słońca kładą kolorowe plamy na głowach i grzbietach ludzi.

— Przyjechali! przyjechali! — dochodzi wołanie z tłumów zalegających stopnie perystylu.

Jest to jednak fałszywy alarm.

W progu kościelnym ukazuje się drużba w świecącym cylindrze i jasnem palcie narzuconem na ramiona. Dumny jest i wąsy ma podfryzowane żelazkiem fryzyerskiem. Stojąc w progu kościoła ogarnia jednym rzutem oka całą przestrzeń. Mrużąc oczy, zda się chce policzyć świece płonące na ołtarzu, poczem szybko, zaaferowanym krokiem przebiega wązkie przejścia pozostawione wśród tłumu.

— Drużba! drużba! — szemrze tłum, popychając się i wyciągając szyje za znikającym we drzwiach zakrystyi mężczyzną.

Znów nowy napływ ciekawych tłoczy się pomiędzy bocznemi filarami kościelnej nawy. Pełno już jest i gwarno, kobiety półgłosem powtarzają sobie plotki o rodzinie panny młodej. Plotki te wyrastają z pod ziemi; służą do zabicia czasu i skracają nudy oczekiwania.

Koło drzwi wchodowych słychać przyciszone uśmiechy. Jakiś żartowniś opowiada dziwy o samej pannie młodej. Ależ tak — podobno jakiś hrabia dołożył do posagu kilka

tysięcy — ot! z przyjaźni dla ojca.

— Hrabia dla konduktora?

— Co pan chcesz, dziś takie czasy...

I śmiechy zaczynają się w najlepsze, starsze kobiety sznurują usta i spuszczają oczy.

Takie nieskromności w świętem miejscu, nie! — ci mężczyźni już żadnej wiary w sercach nie mają!

Lecz śmiechy milkną, bo w progu pojawia się nagle Honorka z dzieckiem na ręku, w asystencyi Kazimierzowej.

Pojawienie się dwóch kobiet nie byłoby rzeczą niezwykłą, lecz Honorka, z której głowy spadła chustka, z twarzą pokrytą purpurowemi plamami z pasmami włosów potarganych nad czołem, i z konwulsyjnie zaciśniętemi wargami, wnosi z sobą jakąś ponurą grozę, która wydzielając się z jej całej postaci, każe zwrócić na dziewczynę oczy tłumu.

Kazimierzowa oddała jej przed kościołem dziecko — uznając za stosowne, aby matka z dzieckiem pojawiła się przed wszystkimi, i tak stoi teraz Honorka, cisnąc gorączkowo milczące dziecko do piersi, stoi jak przykuta w progu, podniecając się w energii i rozpaczy, która jej biedną duszę szarpie.

Oczy ma suche, bez łez, podsiniałe i z osłabienia prawie zezem patrzące.

Stoi i zda się niedostrzegać tłumu, który zbitą masą dokoła niej szemrze, z zwierzęcą ciekawością rzucając się na nową zdobycz. Lecz Kazimierzowa nie zasypia sprawy. Na widok oświeconego ołtarza oczy kumy nabiegają łzami. Poprawia chustkę i kiwa głową żałośnie.

— Tak! tak! — zaczyna z początku stłumionym głosem — przyszliśmy do Pana Jezusa po sprawiedliwość i sąd Jego najświętszy! A niechże On naszą sprawę rozsądzi i nad sierotami zmiłowanie okaże!

Tłum węchem przeczuwa skandal.

Ten i ów przysuwa się do Honorki, stojącej ciągle w progu z dzieckiem na ręku.

— A cóż to się wam krzywda jaka stała?

Kazimierzowa znów głos zabiera:

— Stała nam się krzywda ciężka, bo oto tę sierotę, co tu stoi, ten dzisiejszy pan młody sposponował, cnotę jej wydarł, żenić się przyrzekał i oto teraz z pędrakiem porzucił jak psa na rozstaju!...

W tłumie zaszemrano i uciszono się nagle. Jakieś zimno smutku i kobiecej niedoli powiało nagle nad głowami obecnych.

Mężczyźni instynktownie kurczyli się i pochylali głowy, kobiety otwierały szeroko oczy, wpatrując się w dziewczynę i w dziecko, które zdawało się być umarłem, tak leżało cicho wśród szmat i fałd chustki matczynej.

Lecz kuma nabierała coraz większej śmiałości i pewności siebie.

— A ino... nie po co my innego przyszły, ino po to, aby pannie młodej się sprezentować, publikę zrobić i nie dopuścić, aby ten wyrwipięta obżenił się na uczciwą wiarę.

— Dobrze robicie! — podparła jakaś podeszła jejmość — dobrze robicie, takiemu się przepuścić nie godzi.

— Tak! tak! — dorzucił siwy mieszczanin — zasługuje lekkomyślny człowiek na karę. Powinna go spotkać!

— I spotka — wołała kumcia, składając palce — jako ta dziewczyna przysięgała sobie, że go spierze i do ołtarza mu dostępu nie da. Co, Honorka? nie darujesz?

— Nie daruję! — powtórzyła zdławionym głosem dziewczyna.

Lecz tu i owdzie przyciszone śmiechy odzywać się zaczęły. Już i u ołtarza wiedziano, że będzie „publika“ i jakaś dziewczyna z dzieckiem ślub „aresztować“ będzie.

Uciecha więc wśród tłumu wzrosła i objawiła się dość głośno. Jakiś zmysłowy prąd przebiegł nagle zgromadzonych ludzi i usta im do uśmiechu rozchylał. Kobiety patrzyły z pod oka, sznurując usta, lecz na odsłoniętych karkach czuły wzrastającą w mężczyznach gorączkę zmysłową. Rzec można, że od stojącej na progu dziewczyny z owocem swych nieuświęconych miłostek na ręku, biegły prądy ciepła i przenikały ciała cisnącego się tłumu. W ciszę i powagę kościelnych murów, jak tony miłosnej pieśni, wpadła ta cała gama cielesnych pożądań i zdała się burzyć spokój świątyni. Siedzące w kruchcie baby pozwijały różańce w drżących dłoniach. Święty Panie! taki „szkandał“ w kościele! Tu i owdzie dowcipnisie żartować zaczynają.

Tak! tak! orszak weselny już przybył. Nawet ten rak się troszkę pośpieszył... niewiadomo czy go prosili — ot! gość nieoczekiwany dla pana młodego!

Kto wie! może młodzi będą kontenci, że przyszli ot tak — do gotowego, a może... i panna młoda ze swej strony chowa jaką niespodziankę...

Ten i ów ciśnie się przyjrzeć bliżej Honorce. Hm!...

wychudła, źle zbudowana, głowa roztargana...

Kobiety szepczą między sobą:

— Mogła się choć uczesać uczciwie, kiedy szła na publikę między ludzi.

Jakiś pan podszedł do niej i zajrzawszy jej w oczy, wyjmuje z kieszeni małą notatkę. Półgłosem zadaje dziewczynie zapytania, na które ona nie odpowiada wcale, patrząc ciągle w przestrzeń z pod brwi ostro ściągniętych. Pan ów, niezrażony milczeniem, nieodstępuje wszakże, tylko z kieszonki dobywszy ołówek, ślini go i coś w książeczce zapisuje.

— Gazetnik!... gazetnik!.. — szemrze tłum dokoła.

Kazimierzowa uznaje za stosowne przemówić:

— Nie w gazecie, ale tu na tablicy winna być wyryta opowieść o takim włóczydrągu, co uczciwe dziewczyny z dobrej drogi zmania!

— Nikt ją ta znów za łeb nie trzymał — wtrąca jakiś młody chłopak.

Kazimierzowa obraca się jak na sprężynach.

— Za łeb! za łeb!... takie niewolenie słodką mową i przysięganiem to gorsza, niż za łeb trzymanie!...

Chłopak mlasnął językiem.

— Nie trza było wierzyć!

W tłumie powstał szmer.

Nie wierzyć przysięganiu? A to coś nowego! Odkąd świat światem — Bóg przysięgania postanowił, a tych co krzywoprzysięgają ciężko karze.

— A jeszcze przysięganie sierocie? — woła tryumfująco Kazimierzowa — sierotę ukrzywdzić, to jak obrus z ołtarza

ściągnąć!

Wymowa jej i łzy kapiące po twarzy podbijają powoli wszystkich. Teraz — miejsce przed wielkim ołtarzem opustoszało zupełnie, wszyscy cisną się do drzwi wchodowych, zgorączkowani, podnieceni tą sceną, jaka wybuchnie za przybyciem państwa młodych. Tu i owdzie stają na ławkach, zwłóczą z kątów krzesła, czepiają się chorągwi. Jasna, rozczochrana głowa Honorki stanowi teraz punkt świetlany, ściągający oczy całego tłumu żądnego widowiska, łaknącego skandalu, choćby zań kobieta łzami zapłacić miała!

Honorka tymczasem stoi ciągle milcząca, niezdając się zwracać uwagi na zaciekawienie i wzruszenie, którego jest przyczyną. Wpatruje się w świece migoczące na ołtarzu i jak błyskawica tak przed nią przesuwa się rok ubiegły, w którym tyle bólu i smutku zaznała.

Widzi pana Teodora, jak z za kontuaru rzuca na nią spojrzenia które niby ukrop w jej żyły wlewają. Gdy ją państwo, u których za młodszą służyła, posyłali po sucharki do herbaty, biegła z radością a przed drzwiami cukierni stała długo, nie mogąc ośmielić się wejść i przemówić do pana Teodora, który jak święty z obrazka wydawał jej się na tle błyszczących luster zdobiących półki bufetów. Imponował jej niezmiernie, pomimo że Honorka do nieśmiałych dziewczyn nie należała wcale i niejednego „chłopa odstawiła“ wcale tęgo, gdy na udry pomiędzy nimi poszło. Lecz wobec Teodora zapominała języka w gębie i stała tak przed kontuarem, cała w płomieniach, bełkocząc i siejąc po ziemi miedziaki trzymane w garści. On mrużył

oczy, uśmiechał się, żartował — przyzwyczajony do dominowania nad kobietami, z niedbałością pięknego samca. I nawet później, gdy już posiadał ją o szarej godzinie wśród stęchlizny piwnicy lub duszącej atmosfery strychu, — Honorka — zawsze pozostawała nieśmiałą, przerażoną jego pięknością, zdławioną — z oczyma łez pełnemi, nie śmiejąc poruszyć się, uczynić jednego giestu, odetchnąć głośniej. A gdy wreszcie — porzucona, zapomniana przez swego uwodziciela, któremu oddała z jakąś pokorą klejnot swego dziewictwa, uczuła się matką — doznawała głuchej nienawiści, gniewu na samą myśl o tym człowieku. Nie napastowała go, nie chodziła za nim, urodziła dziecko, zacisnąwszy zęby — i w duszy swej zaczęła gromadzić całe morze jadu, które groziło lada chwila wylaniem.

Kuma zawiadomiła go przecież o urodzeniu dziecka, lecz piękny subjekt mruknął coś tylko i wzruszył ramionami.

Gdy Kazimierzowa scenę tę przed barłogiem położnicy odtwarzała, Honorka wlepiła w nią oczy od gorączki błyszczące.

— Łajdak! — wyrzekła przez zaciśnięte zęby.

Pierwszy to raz głośno wymówiła na niego obelgę.

Umilkła, przerażona.

Lecz powoli, podniecana przez Kazimierzową, dawała folgę swemu żalowi. Zapominała jak wyglądał sprawca jej nieszczęścia, niewidząc go tak dawno, nieodczuwała już przygniatającego wpływu, jaki wyższością swą, elegancyą i całem obejściem na nią wywierał. Rozpacz przepełniała jej

serce i wstrząsała nią całą. Widok dziecka podniecał ją. Chwilami zdawało jej się, że jest zdolna zamordować mężczyznę, który rzucał ją brutalnie o ziemię, aby później — na wiadomość o jej nędzy i cierpieniu wzruszać ramionami z pogardą. „Ścierwo sobacze!“ — mówiła, szarpiąc pazurami aż do krwi pierś swoją od pokarmu wzdętą — „zgiń! przepadnij! oślepnij! zgnij do kości!“ Zdawało się jej, że miłość, jaką miała dla Teodora, wymarła w niej oddawna, że nic, prócz żalu, gniewu i nienawiści, nic już w głębi swej duszy nie chowa.

Na wiadomość o ślubie subiekta, wybuchnęła wreszcie całą wściekłością, na jaką tylko cierpliwe i nieśmiałe istoty zdobyć się umieją.

Kazimierzowa podsunęła jej myśl wstrzymania ślubu i zrobienia publicznego skandalu. Uczepiła się tego projektu natychmiast, gorączkując się, podniecając — przeklinając bezustannie. Ani jednej łzy nie miały jej oczy, chwilami zdawała się być obłąkaną.

Teodor, którego kontury w jej wyobraźni zatarły się zupełnie, przedstawiał jej się jako zwierzę znienawidzone, wstrętne, plugawe, któremu chciała skoczyć do oczów i zdeptać za krzywdę jej uczynioną. Niewidząc go — czuła się silną, mocną, jakkolwiek coś w jej wnętrzu szarpnęło się trwożliwie, gdy kuma zawołała jeszcze w stancyi „już czas!...“

Lecz tu — w kościele, przed ołtarzem oświetlonym jarząco, w chłodnej atmosferze świątyni — jakaś moc wstępuje w nią powoli, lecz moc to jakaś dziwna, jakby boleść jej umniejszająca. Nie modli się a przecież zda jej

się, że ktoś dokoła niej szepcze modlitwy, pacierze...

Nie modlitwy to jednak szepczą dokoła, tylko żarty, uwagi, słowa ciekawości.

Tłum cały aż drży z pragnienia takiego „grubego skandalu“.

Taka rzecz nieczęsto się trafia.

Nareszcie turkot zajeżdżających kół oznajmia przybycie gości weselnych.

Nie dorożki to — ale karety przywożą państwa młodych i liczną drużynę, karety z białemi lejcami, umyte i lśniące w promieniach słońca.

— Przyjechali! przyjechali!

W tłumie powstaje nie szmer, lecz jakiś krzyk ciekawości ludzkiej.

Krzykiem tym publiczność zda się chce podniecić Honorkę do zrobienia skandalu. Jak zwierzę wygłodniałe rzuca się na padlinę, tak tłum ten chciwy wrażeń drży z radości i nieszczęśliwą do ukazania swej zranionej duszy popycha.

Wolno — z szumem jedwabiu wchodzi orszak weselny do kruchty.

Przodem idzie panna młoda, wysoka blondynka o płaskiej twarzy i kręconych włosach. Z bezczelnością niemal dźwiga koronę dziewiczą tonącą w obłokach białej iluzyi. Idzie, pewna siebie, uśmiechnięta, wysuwając naprzód watowany biust jedwabnego stanika. Prowadzą ją drużbowie we frakach i glansowanych rękawiczkach. Przed tem białem zjawiskiem, tłum usuwa się instynktownie, pozostawiając opartą plecami o filar Honorkę. Panna młoda

przechodzi próg i wolno, poprzedzana przez dziadka kościelnego, sunie do ołtarza a tren jej sukni wlokący się po ziemi pozostawia za sobą jakby smugę świetlaną...

Lecz Honorka zda się niespostrzegać nawet przejścia panny młodej. Teraz drży cała i blada jest jak opłatek. Gdy karety zajechały przed kościół, doznała nagle jakby silnego uderzenia z tyłu głowy. Tchu jej zabrakło, serce jej młotem wali...

Nagle — wśród jasności słonecznej ukazuje się sam pan młody.

Jest dziś piękniejszym niż kiedykolwiek.

Frak nowy leży na nim jak ulany, włosy zafryzowane, twarz starannie wygolona, spinki u koszuli złote i wielkie jak złotówki.

Z tryumfem spogląda w głąb kościoła na ołtarz jasno oświetlony i bawi się brelokami u zegarka.

Dwie drużki, w lekkich sukniach, z wachlarzami i włóczkowemi pelerynkami, prowadzą go, śmiejąc się ochotnie.

Oczy wszystkich zwracają się teraz w stronę Honorki...

Co to będzie! co to będzie!... czy da mu w papę? Czy po prostu nawymyśla i w oczy napluje!

Lecz — o dziwo... dziewczyna na sam widok Teodora blednie jeszcze więcej i oczy przymyka. On — nie widzi jej wcale, zajęty teraz jedną z drużek, która upuściła na ziemię koronkową chusteczkę.

I nagle — Honorka, kurcząc się i starając zniknąć z przed oczu wszystkich, zasuwa się powoli za filar — wybuchając cichym, zdławionym płaczem.

Napróżno kuma stara się ją popchnąć naprzód, napróżno osoby otaczające ją dokoła pochylają się ku niej i szepczą słowa zachęty. Ona jedną ręką ciśnie do piersi dziecko, drugą czepia się filaru, a z oczów jej płyną dwa strumienie łez gorących.

— Niemogę! niemogę! — szepcze, łkając cicho.

Organy tymczasem huczą przeraźliwie, pan młody przechodzi kruchtę i idzie pewnym, śmiałym krokiem, kłaniając się lekko znajomym, wśród tłumu.

Kuma próbuje raz jeszcze podburzyć Honorkę.

— Bój się Boga! nie bądź oślicą! despekt sobie robisz nadaremny!... wstań, leć! jeszcze czas! tyle ludzi czeka!... Honorka, nie bądźże oślicą!...

Lecz Honorka nie rusza się z miejsca. Na widok Teodora dawny lęk ją ogarnął.

Gdy stanął tak teraz przed nią piękny, uśmiechnięty, zdrów, wystrojony — gdy go poczuła znów od siebie o kilka kroków — nie! — ona nie mogła rzucić się na niego, krzycząc tak, jak to sobie ułożyła i pluć mu w twarz i dziecko pokazać. Nie! nie! raczej woli umrzeć, niż taką rzecz zrobić.

Tłum, zawiedziony w swych nadziejach, szybko zwrócił się do ołtarza, gdzie już ceremonia ślubu się zaczynała. Złocista kapa księdza migała po nad głowami ludzi. Głuchy szmer niechęci i gniewu przebiegał szeregi. Jakto? nie będzie skandalu? cóż sobie myśli ta głupia dziewczyna, zwodząc ludzi w ten sposób?... e! — kto wie — to pewnie jakaś ulicznica, to dziecko, kto wie, czy to pana młodego, skoro ona nie śmie do oczów mu stanąć...

Tak! tak!... taki porządny mężczyzna wie, co robi, jeśli porzuca. Już musiał mieć w tem swoją racyę...

Niektórzy wszakże usiłują bronić Honorkę.

— Stchórzyła!

— Rozbeczała się!

— A to głupia!

— Idyotka!

— Oślica!

— Wszystko jedno, dość, że stanąć do oczów nie śmiała. Chodźmy lepiej do ołtarza.

— Ślub szykantny!

Teraz wszyscy cisną się do ołtarza, przed którym ksiądz zamienia młodej parze obrączki. Wśród ciszy kościelnej słychać skrzeczący głos panny młodej i basowy głos księdza, mówiących na przemiany przysięgę małżeńską:

— Ja — ja, Stanisława, Stanisława, biorę — sobie — sobie...

Koło filara, po za który ukryła się Honorka, zrobiła się pustka. Dziewczyna klęczała sama, szlochając cicho. Kuma Kazimierzowa, czując się obrażoną, wyszła z kościoła, czerwona z doznanego wstydu.

Schodząc ze wschodów, poprzysięgła sobie szmaty Honorki wyrzucić na cztery wiatry.

O! nie — mogła mieć litość nad nędzą tej idyotki, ale tolerować jej głupotę i brak odwagi w dopominaniu się o swoje prawa, a wreszcie na narażenie Kazimierzowej na pośmiewisko i podejrzenia ludzkie, że broniła nieczystej sprawy — na to Kazimierzowa przystać nie chce i nie może.

Tymczasem ceremonia ślubna szła dalej nieprzerwanie. Pan młody przysięgał czystym, dźwięcznym głosem i z podniesionem czołem odpowiadał wyraźnie na zapytanie księdza:

— Nie ślubowałeś komu innemu wiary małżeńskiej?

— Nie.

Powoli zaczął podbijać i ujmować tłum cały i przeciągać na swoją stronę. Jego jasne spojrzenie, kark dobrze wymyty, frak wpadający do stanu — imponowały ciżbie. W ogóle ślub cały, orszak weselny szeleszczący jedwabiem, srebrna tkanina sukni panny młodej i jej biust obciągnięty materyą — wszystko to podbijało zgromadzenie i sprawiało jak najlepsze wrażenie.

Honorka ze swą rozczochraną głową, obtarganą chustką i dzieciakiem spowitym w szmaty, traciła sympatyę, i ci, którzy usiłowali przez chwilę trzymać jej stronę, umilkli — zwyciężeni.

Tymczasem ona klęczała ciągle koło filara, płacząc i płacząc bez końca. Zdawało się, że jakiś strumień nieprzebrany z oczów jej spływa. Cała jej rozpacz, gniew, uraza, boleść w łzach tych topniała i jeno dziecko tuliła do twarzy, mocząc szmaty, któremi owinięte było. Organy jęczały, wstrząsając jej duszą do głębi. Jak robak zdeptany, wiła się na zimnych flizach świątyni, cała drżąca od bólu, którego określić nie była w stanie. Czuła dobrze swą krzywdę, ale kryła się z nią w cieniu, i choć on tam był, o kilka kroków — nie chciała mu się już narzucać z nędzą swoją.

Gdy go zobaczyła, gdy ta mara jej nocy bezsennych

znów stała się ciałem, stanęła przed jej oczami w pełni życia i majestatu wszechpotęgi męzkiej — ona upadła na kolana, zwyciężona, bezsilna, drżąc z bólu i w poczuciu swej nędzy.

— A was wszystkich tu obecnych biorę za świadków, jako to małżeństwo zostało prawnie i przykładnie zawarte.

Poczem ksiądz zaczął żegnać i kropić obecnych, którzy czynili znaki krzyża i obcierali z nosów i policzków krople święconej wody.

Organy zabrzmiały wesołym marszem.

Koło ołtarza ruch się zrobił niemały, poczęto znów się tłoczyć, zaglądać w oczy pannie młodej i drużkom. Wreszcie cały orszak z szumem, szelestem i śmiechem posunął ku wyjściu.

Karety jedna po drugiej podjeżdżać zaczęły. Przechodnie zatrzymywali się na chodnikach, grupy dzieci cisnęły się do drzwiczek powozów.

Tren panny młodej pokrył się cały kurzem i szare smugi ciemniały na fałdach jedwabiu. Pani Teodorowa pociemniała ze złości pod obłokami dziewiczego welonu.

— Psiakrew cholera! — wymówiła wsiadając z furyą do karety.

Za nią wskoczył Teodor, naciągając na plecy zielonkawe, króciutkie palto, podbite żółtawym jedwabiem.

* *
*

W kościele Honorka pozostała sama. Kościelny sprzątał poduszki, zaginał rogi dywanu.

Honorka płakała ciągle, czując jakby ogień pod czaszką. Piersi i plecy bolały ją jakby od silnych uderzeń pięścią. Czuła dobrze, iż wszystko się dla niej skończyło, że teraz już nawet żyć nie może nadzieją jakąkolwiek. Zrozumiała, że nigdy nie będzie miała dość odwagi, aby stanąć przed człowiekiem, któremu wszakże oddawała się z uległością suki i powiedzieć mu w oczy:

— Uczyń cokolwiek dla mnie, którą zaprzepaściłeś i dla dziecka, które spłodziłeś!...

Kościelny przeszedł kilkakrotnie koło niej, dzwoniąc kluczami.

Wiedział, co ją sprowadziło do kościoła, dostrzegł ją wśród tłumu jeszcze przed ślubem, gdy stała groźna u progu i mówiła przez zaciśnięte zęby:

— Nie daruję!

Widząc, że płacze ciągle, nie poruszając się z miejsca, podszedł do niej i potrącił ją lekko.

— Wstawać i iść do domu... nic tu już nie wyklęczycie.

Ona podniosła głowę i przez łzy zalewające jej oczy, spojrzała w ciemną przestrzeń kościoła. Spojrzała i naraz cała przyszłość stanęła jej przed oczami.

Dziecko drzemiące u jej piersi zaciężyło jej bez miary.

— O Jezu! — szepnęła, przymykając oczy.

Lecz kościelny niecierpliwił się naprawdę.

— Idźcie sobie — cóż to, myślicie tu nocować?

Powoli, z wysiłkiem, dziewczyna podniosła się z klęczek i ku drzwiom kierować się poczęła. Łzy dwiema strugami

płynęły jej znowu z oczu zbolałych.

Potknęła się o krzesło, wreszcie odnalazła drzwi i wysunęła się na ulicę.

Gdy drzwi się za nią zawarły, kościelny chwilkę się zamyślił, cień smutku przemknął po jego starej, zawiędłej twarzy.

Nagle ramionami wzruszył i podnosząc przewrócone krzesło, wyrzekł krótko:

— Oślica!

Tymczasem Honorka zagłębiała się wolno w ulicę, po której sunęły świątecznie przystrojone tłumy, szła, kołysząc lekko kwilące cicho dziecko i idąc ocierała łzy płynące z oczu strumieniem.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Gabriela Zapolska.*

VI.

K u k u ł k a.

— Tiens! tiens! c’est du propre! — mruknął przez zęby pan Seweryn, gdy rządca wyszedł już z pokoju.

— Wyprowadzać się? tak! tout d’un coup... ni ztąd ni zowąd, wyprowadzać się z tego mieszkanka, urządzonego z takiem staraniem, opuścić te kąty, w których meble stoją jakby przyrośnięte do lśniącej posadzki! Wyprowadzić się i to dla tej błahej przyczyny, że gospodarz żeni się i pragnie połączyć dwa sąsiadujące z sobą lokale i sprowadzić się do nich z żoną!

Seweryn wzruszył ramionami.

Żenić się!

Także mądra instytucya! Żenić się? po co? na co? — wszakże o wiele wygodniej można urządzić życie en garçon wygodniej i weselej...

Żenić się!

Dzika myśl; Sewerynowi nie powstała nigdy w głowie, choć trzydzieści pięć lat skończył przed miesiącem. I dobrze mu w tym brankonierskim stanie, w tej włóczędze po cudzych zagonach, które zwiedza z ciekawością dobrze rozwiniętego samca, poszukującego zaspokojenia swych chęci. Wstaje rano bez troski o życie całej rodziny, bez pisku dzieci, swarów mamki z kucharką i braku guziczka z tyłu koszuli. Wszystko jest w porządku, buty wyczyszczone, woda przegotowana, zmieszana z tinkturą benzoesową do umycia twarzy, mydło Houbigana odwinięte

z obsłonek, krem migdałowy tuż obok flakonu gliceryny a ocet Bully'ego świeżo przyniesiony ma już markę oderwaną i koreczek lekko uchylony.

Koło łóżka, na małym stoliczku przygotowana filiżanka ziółek Jambard; obok — leży ręczne lusterko znacznie powiększające i fiszbin do języka. Zmaczana w letniej wodzie i napojona esencją werweny serweta wisi na poręczy łóżka, tuż obok pary jedwabnych przewróconych na lewą stronę i opylonych lekko proszkiem Viguiera skarpetek. W całym pokoju cisza i półcień dyskretny. Portyery ciemne brązowe, łóżko szerokie francuzkie na podwyższeniu pokrytem ciemnym dywanem.

W kącie tualetka, cała gra szczotek z kości słoniowej, wielkie flaszki z ekstraktem cordalisu i bzu białego. Tychże zapachów woda do włosów i niezliczona moc małych pudełeczek brylantowego proszku do paznogci. Pomiędzy niemi — pilniczki, siodełka, nożyczki spiczaste i zagięte. W kącie — tuż przy poduszeczce pełnej szpilek, pudełko z veloutiną ambre, puszek łabędzi i jakby ze wstydem wciśnięte kilka wideł szyldkretowych kobiecych, do spinania greckich fryzur. Oprócz tych „wideł" — wszystko zresztą w najwyższym porządku poukładane, świecące, błyszczące jak samowary żydówki. Wielka lampa w stylu bizantyjskim, wysadzana kamieniami zwiesza się od sufitu, nadając tej sypialni fałszywy ton kaplicy. W lustrzanej szybie szafy odbija się stojący pod ścianą nizki szezląg Marie Antoinette — pokryty aksamitną draperyą. Na aksamicie, jak wąż mikroskopijny, leży w łuk skręcony kawałek błękitnego, jedwabnego sznurowadła, zerwanego

silną a nerwową ręką...

Opodal — na dywanie, niedojedzone maluchne ciasteczko z wygryzioną konfiturą i zlizanym lukrem...

Seweryn podniósł się na łóżku i sięgnąwszy ręką po filiżankę ziółek, zrzucił na ziemię pudełko „pate des prelats“, którą nadawał alabastrowy ton rękom.

Był zdenerwowany i silnie podrażniony przez tę niespodziewaną wizytę rządcy, wypowiadającego mu mieszkanie.

Trzeba szukać nowego lokalu.

Hm! ale czy to tak łatwo....

Wreszcie tu — kamienica dyskretna, lokatorowie nie zajmują się plotkami, zdają się nieżywi po za uroczyście zamkniętemi drzwiami głównego wejścia. Kto wie — na co trafi Seweryn i czy nie wyniknie z tego cały szereg przykrych zajść i kolizyj.

Sięgnął ręką po skarpetki i wolno wstawać zaczął.

Spojrzał w okno.

Dzień był jesienny, ciepły jeszcze, ale trochę pochmurny. Jakieś szare, smutne światło płynęło przez szyby przysłonięte japońską siatką, po której latały z podniesionemi skrzydłami dziwaczne ptaki.

Seweryn skrzywił się i trochę przygasłemi oczami powlókł dokoła. Jakkolwiek szarawe cienie włóczyły się po kątach, mieszkanie to wydało mu się po prostu rajem. Taka cisza, taki spokój panujący nawet po za oknami! Nieledwie słychać było kroki rzadkiego przechodnia idącego wzdłuż domów.

Od czasu do czasu zaskrzeczała papuga siedząca na

balkonie przeciwległego domu.

To było wszystko.

Seweryn kładł teraz na siebie komplet z białej flaneli w niebieskie paski. Stanął przed lustrem i włożywszy ręce w kieszenie od kurtki, przyglądać się sobie począł.

Pomimo lekkiego znużenia w oczach, miał cerę zdrową i świeżą. Wyciągnął język, potem przyjrzał się uważnie gałkom ocznym, wreszcie, wyciągnąwszy muskularne ramiona, stał tak chwilę, patrząc zmrużonemi oczami w lustro. W tej białej, puszystej flaneli wydawał się o wiele tęższym i bardziej rozrośniętym niż był w rzeczywistości. Uderzył się po piersiach rękami i klatkę naprzód wysunął w niezwykły sposób. Poczem kurtkę na sznury zapiął i obróciwszy się profilem, wygiął się jak panna na wydaniu. Przyglądał się rysunkowi łydek, które pod mięką tkaniną flaneli wyraźnie się zaznaczały. Pomacał się po udach, syknął lekko i poruszając torsem począł próbować solidności bioder...

Tak! tak — był w całym rozwoju siły i zdrowia. Herbata Jambart utrzymywała mu żołądek wybornie, a brak wszelkich ekscesów nie wyczerpywał go ani na jotę. Odłożył sobie właśnie tyle, ile mógł zużyć bez naruszenia zdrowia... Używał bez wstrząśnień i wzruszeń niepotrzebnych, a czytając Catul Mendeza, wzruszał ramionami przy opisie wyczerpujących walk miłosnych.

— C’est idiot! — decydował, zamykając książkę. On systematycznie wypijał rozkosz pocałunku, tak jak swą przeczyszczającą herbatę. Gdy nadchodziła chwila miłosnej schadzki, wyjmował z szafy koszyczek z drobnemi

ciasteczkami i butelkę, przygotowywał ocet Bully'ego, szpilki, puder i najspokojniej usiadłszy w saloniku, oczekiwał zjawienia się kobiety. Gdy spóźniła się cokolwiek i wpadała zdyszana, zmęczona, szepcząc słowa usprawiedliwienia, on spokojny, uśmiechnięty, zdejmował z jej twarzy woalkę, którą się szczelnie osłaniała i mówił trochę ironicznym głosem:

— Cóż wielkiego! spóźniłaś się — to rzecz bardzo naturalna.

Poczem szedł ku drzwiom i uchyliwszy je, rzucał do przedpokoju zawsze jedno i to samo zdanie:

— Karol! niema mnie w domu!

Z przedpokoju wydobywał się bezdźwięczny głos:

— Dobrze, jaśnie panie! — i zasówka drzwi wchodowych opadała z suchym łoskotem.

W ten spokojny sposób rozpoczynała się każda schadzka, w równie spokojny kończyła się cała miłostka.

Seweryn bowiem zawiązywał stosunki jedynie z... mężatkami, mając w tem stały system, od którego nigdy nie odstępował. Były to najczęściej żony przyjaciół, dobrych znajomych, którzy, rozmarzeni chartreuse'ą lub koniakiem w czarnej kawie, z łokciami opartemi na stole, roztaczali tajemnice alkowy małżeńskiej na wzór króla Candaula, i w zamian za swą wiarę otrzymywali, wprawdzie nie pchnięcie śmiertelne, lecz szczerbę w honorze i miłości żony. Seweryn bowiem skwapliwie chwytał za włosy każdą okazyę i umiejętnie czynił legion kochanek z tych mężatek spragnionych nowości, ciekawych występku a kryjących dyskretnie łzy i rozpacz w chwili zerwania. Wybór jego

padał zwykle na kobiety dbające o pozycyę zajmowaną w świecie i miejsce w domu męża; wiedział, że tego rodzaju kochanka nie odważy się na sceny, na ucieczki, na opowiedzenie w chwili podrażnienia wszystkiego mężowi... Wiedział, że gdy chwila stanowcza nadejdzie, chwila nieuniknionego zerwania, po chwilowej burzy przywitają się znów z uśmiechem i spokojem, wobec zwróconych na nich czujnych oczów towarzystwa. Wspaniałomyślnie — podczas trwania miłostki — pozostawiał wolność kobiecie, nie kontrolując jej stosunków z mężem — owszem, popychając ją nieledwie w objęcia smutnego rywala.

— Trzeba mieć furtkę w razie wypadku...

Kilkakrotnie „furtka“ ta okazała się deską ocalenia. Kobiety z uśmiechem wdzięczności przyznawały Sewerynowi słuszność, dziecko miało nazwisko i prawo do majątku, matka nie traciła względów i szacunku świata a prawdziwy ojciec usuwał się w cień, zacierając ręce!...

Jedna tylko żona urzędnika kolejowego stawiła mu się opornie i wprawiła go przez pewien czas w kłopot niemały swem głupiem sentymentalnem postępowaniem. Ale była też to kobieta nie z towarzystwa, spotkana przez Seweryna w Alejach, w chwili nerwowego rozdrażnienia. Podbiła go od razu dziwnem spojrzeniem bladych błękitnych oczów i twarzyczką Madonny. Gdy, wbrew swemu zwyczajowi, poszedł za nią, i przemówił przyciszonym głosem — stanęła, spojrzała mu w oczy i wyciągnęła doń rękę obnażoną, na której błyszczała obrączka.

Seweryn rękę podaną ujął, nie mogąc zrozumieć, co go ciągnęło w ten wieczór wiosenny do tej źle ubranej i trochę

pochylonej kobiety, narzucającej mu się nieledwie pod cieniem szumiących drzew.

Stosunek ich trwał parę miesięcy. Seweryn nie był nigdy w domu Anny, znał tylko jej życie z opowiadań kochanki. Wprędce znudziła go brakiem elegancyi i cienkiej bielizny a zraziła zbytkiem uczucia, w którem dopatrywał się przesady.

Ona, zakochana do szaleństwa w tym wspaniałym mężczyźnie, którego każde zbliżenie mieszało ją i słodką rozkoszą przejmowało, była niezręczną jak każda zakochana kobieta. Przynosiła mu za gorsetem z grubej szarej dymy pęki fiołków, lub skrapiała włosy olejkiem peruwiańskim. Nosiła nizkie buciki z powyciąganą gumą i podwiązki pod kolanami.

W dodatku uparła się być mu wierną, wierną do głupoty i mówiła mu o tem bezustannie, kładąc głowę na piersi.

On, zdenerwowany, powtarzał słowo „furtka“ po raz setny i przemyślał o sposobie zerwania z tą niewygodną kochanką, cichą i uległą, przysięgając sobie nigdy nie wykraczać z przepisanych granic postępowania. Pewnego letniego wieczora, Anna, rumieniąc się i jąkając, wyszeptała Sewerynowi do ucha tajemnicę, która ją radością przejmowała.

On drgnął cały i porwał się z miejsca.

— Co teraz zrobisz?

Ona spojrzała na niego słodko i uśmiechnęła się spokojnie.

— Będę twoją do śmierci. Jutro dom męża opuszczę!

Na czoło Seweryna wystąpiły krople potu.

— Dla czego?

— Przecież teraz, jako matka twego dziecka, mieszkać z nim nie mogę...

— Dla czego?

Nastąpiła chwila milczenia.

Głos nagle zamarł w piersiach kobiety, klęczała ciągle obok szezlągu, na którym leżały porozrzucane szpilki wypadłe z jej włosów, kapelusz i rękawiczki; twarz nagle pobladłą zwróciła ku Sewerynowi, który przebiegał pokój wzdłuż i wszerz, potrącając meble.

— A mówiłem o furtce, mówiłem tyle razy — ale cóż, pani chciałaś się bawić w sentymentalizm, w wierność! Tiens... c'est du propre! c'est mignon!...

Z okrucieństwem mężczyzny, który widzi nagle porządek swego życia zakłócony niepotrzebnem zdarzeniem, wyrzucał z siebie Seweryn cały potok słów, które jak chłosta spadały na pochyloną głowę kobiety.

— Czyż to nie czyste szaleństwo było z mej strony — mówił dalej tonem, na jaki tylko niekochający mężczyzna zdobyć się może — czyż to nie była demencya brnąć dalej i nie przewidzieć do czego mnie pani doprowadzić możesz! Teraz jesteśmy w ładnej sytuacyi! Ale ja umywam od wszystkiego ręce... to nie moja wina!... Tirez vous de cette affaire vous même!... Voila!...

Stał tuż przed nią, pochylając nad nią swą maskę rozłoszczonego „viveura", mając wielką ochotę kopnięcia tej kobiety, która, dawszy mu tak słabą i niewyraźną rozkosz, miała śmiałość wkraczania w wygodnie urządzone życie, z dzieckiem w dodatku!

Nie, tego było za wiele! — wszystkie inne, te, które miał poprzednio, oznajmiały mu podobny wypadek z dyskretnym uśmieszkiem, a on — przybierał minę rozczulonego papy, wiedząc że nic nie ryzykuje, i szeroko otwartą furtką może wyjechać, nietylko wyjść najspokojniej; ta jedna! — ta — głupia mieszczka uparła się przy swej wierności, jakby on tego wymagał!...

Bizantyjska lampa zawieszona u sufitu rzucała różnokolorowe, pokrajane światła. Przez zielone kamienie trupie prawie padały blaski.

W blaskach tych podniosła się nagle Anna, blada, z szeroko rozwartemi oczyma. I z włosami rozwianemi, z rękami naprzód wyciągniętemi, ku drzwiom kierować się poczęła.

Seweryn postąpił za nią kilka kroków.

— Tirez vous de l’affaire!... — powtórzył, lecz ona, nie odwracając nawet głowy, otworzyła drzwi i zniknęła w ciemnej głębi salonu.

Po chwili trzask zamykającej się bramy doleciał przez wpół uchylone okno.

Seweryn chciał biedz za tą kobietą, której bladość i milczenie dziwnie nań podziałały, lecz... egoizm przemógł. Z uczuciem niewysłowionej błogości usiadł na fotelu, oddychając ciężko.

Ach!... uniknął nielada niebezpieczeństwa, kobieta wykręci się z tej matni, a on, poprzysięga sobie nigdy nie bawić się w sentymenty, lecz czerpać dalej rozkosze w cudzych a dobrze znajomych mu gniazdach...

Czekał jeszcze dni kilka, sądząc że Anna powróci, lub

parę słów napisze.

Nic — milczenie zupełne.

Teraz Seweryn odetchnął pełną piersią. Uczuł się ocalonym rzeczywiście i na dobre.

Od tego zdarzenia upłynęło lat siedem. Przez te lata Seweryn miał znów kilka intryg, a przechodząc przez ogród Saski, uśmiechał się na widok małej dziewczynki bawiącej się kamyczkami i kasztanami zbieranemi wśród żwiru.

Dziewczynka miała ciemne oczy i kręcone włosy Seweryna a linia jej łydek, ubranych w jedwabne pończoszki, wyginała się w charakterystyczny sposób.

Niańka, zapytywana o nazwisko rodziców malutkiej, odpowiadała uprzejmie:

— Państwo Wanderkraft — a dziewczynka uśmiechała się do przechodniów uśmiechem, który przypominał chwile najwyższej kokieteryi podbójczej Seweryna.

Czasem sama pani Wanderkraft siadała obok niańki i prezentując swe silnie rozwinięte biodra w obcisłej fularowej sukni, dozorowała zabawy dziewczynki.

Gdy Seweryn zbliżał się do ławki, kobieta uśmiechała się przyjaźnie, pod purpurową osłoną rozpiętej parasolki, i głośno przywoływała córeczkę.

— Sewerciu! przywitaj się z... panem!

Dziecko dygało, wyciągając tłustą łapkę a kobieta spoglądała pogodnie w twarz mężczyzny, który odpowiadał jej również tym spokojnym, prawdziwie męzkim uśmiechem. Cudzołożna żona i jej wspólnik, jak dobrze wychowani ludzie, załatwili całą sprawę!

Furtka była otwarta.

Furtką tą wsuwało się kukułcze pisklę do obcego gniazda.

Ainsi va le monde!

Pani Wanderkraft postąpiła w tym wypadku jak każda światowa i dobrze wychowana kobieta postąpić powinna. Dała dowód taktu i uszanowania własnej godności.

Dla tego Seweryn przeciągał ten stosunek i czuł się zupełnie zadowolnionym.

I dziś — dziś — właśnie, kiedy wczorajsza schadzka powiodła mu się znakomicie, żołądek funkcyonuje wybornie, a żółte plamki pod lewem okiem znikają pod działaniem „Anti-Bolbosu“ — dziś właśnie, wymówiono mu mieszkanie...

— Nie! — c’est du guignon! rien de plus.

I nachmurzony odrywa się Seweryn od kontemplacyi własnej osoby a przegiąwszy się w tył woła:

— Paul!

Z po za przymkniętych drzwi salonu, odzywa się ochrypły głos:

— Słucham, jaśnie panie!

I oto na progu, w szarawem oświetleniu, ukazuje się Paweł — w pantoflach i białym fartuchu sięgającym mu aż pod brodę.

Jest to mężczyzna lat trzydziestu, wybladły i wychudły, obnoszący swą twarz zniszczonego rozpustą ulicznika w obramowaniu rudych rzadkich faworytów.

Seweryn w tej chwili przegląda się w lustrze, wyszczerzając zęby.

Paweł czeka na progu, zimny, spokojny, utkwiwszy

wzrok przygasły w przeciwległą ścianę.

Wreszcie Seweryn zmienia pozycyę i usiłuje dojrzeć maluchną plamkę czerwieniącą się pod lewem uchem.

— Nic innego, tylko to Klara... a prosiłem... prosiłem. — Paul!

— Słucham, jaśnie panie.

— Zobacz! co ja mam pod lewem uchem?

— Plamkę, jaśnie panie.

— Plamkę?

— Plamkę.

— Pewnie mnie... coś ukąsiło!

— Pewnie jaśnie pana coś ukąsiło?

— Daj kremu ogórkowego, może zniknie!

— Może zniknie, jaśnie panie.

Nastąpiła chwila milczenia.

Seweryn wycierał szyję białą, tłustą masą, odchyliwszy dobrze kołnierz kurtki i flanelowej bleu de France koszuli.

Blady promień słońca przebił się w tej chwili przez chmury i przyciemniony gazą rozpiętą w oknach, oblał żółtawym blaskiem tęgi i potężny kark Seweryna, kark niezwalczony, prawdziwy kark zwycięzcy, tryumfatora w zapasach miłosnych.

— Paul!

— Słucham, jaśnie panie.

— Musimy się wynosić!

— Musimy, jaśnie panie.

— Trzeba szukać mieszkania!

— Trzeba, jaśnie panie.

Seweryn ujął powiększające lusterko i, postąpiwszy do

okna, bacznie się szyi przyglądał.

— Znika? — co?

Paweł zbliżył się także.

— Znika, jaśnie panie.

— Przygotuj wodę!

— Dobrze, jaśnie panie.

Seweryn położył lusterko i rozpinać począł kurtkę.

Paweł rozesłał na podłodze ceratę, poczem rozwinął i ustawił gumową balię a przy niej rodzaj polewaczki z kauczukowym wężem.

— Peniuar wygrzany?

— Wygrzany, jaśnie panie!

Seweryn powoli zdjął kurtkę i za chwilę tors jego muskularny, wspaniały, lśniący zabłysnął w półcieniu pokoju.

Promień słońca ślizgał się po tem różowem ciele o ciemnawych, sinawych tonach.

Wąska ścieżka kręconych włosów przecinała tors na równe dwie połowy.

Wtedy oczy Seweryna padły na leżące na ziemi i na wpół rozgniecione ciastko. Zmarszczył brwi, jakby dojrzał coś nieprzyjemnego.

— Paul!

— Słucham, jaśnie panie.

— Patrz!

Nagiem ramieniem wskazywał dywan klęczącemu na ceracie sługusowi.

— Sprzątnij!

Paweł na klęczkach posunął się po dywanie i

podniósłszy ciastko, drugą ręką sięgnął po zostawione na sofie błękitne sznurowadło.

Poczem wstał i ciągle spokojny i niewzruszony, plecionkę dyskretnie położył obok szyldkretowych szpilek w kącie tualety, a ciastko cisnął zręcznie skrzeczącej na balkonie papudze.

* *
*

Od dwóch tygodni poszukiwał Seweryn mieszkania.

Zrobił pięćset osiemnaście pięter i — nie mógł zdecydować się na wybór.

Wszędzie bramy były zanadto widne, za wiele drzwi wychodziło na klatkę wschodową, lokatorowie zdawali się zanadto ruchliwi.

W dwuznacznej pozycyi, jaką Seweryn sobie w życiu obrał — były to rzeczy nadzwyczaj ważne. Do tej chwili lawirował szczęśliwie w pośród znieważanych mężów, którym ściskał uprzejmie ręce i oddawał drobne przysługi.

Nie miał ochoty poznać tragicznej strony medalu.

Wesoła wystarczała mu zupełnie.

To też szukał i szukał odpowiedniej bramy, w której cieniu mogłaby jak w przepaści zginąć biegnąca do niego kochanka.

Paul ze swej strony dokładał starań niemało. Obadwaj wieczorem schodzili się w sypialni, zniechęceni, pożółkli, ze skórą dziwnie na twarzy wyciągniętą.

Snać podobne forsowne przechadzki obu tym viveurom

nie dodawały zdrowia.

I gdy Seweryn, kładąc się, owiązywał głowę fularem, twarz nacierał magnoliną a ręce pastą kardynalską, spoglądał żałośnie na Paula skrapiającego mieszaniną octu tualetowego i wody kolońskiej firanki otaczające łóżko.

— Nic nie znalazłem — mówił jęczącym głosem.

— I ja także, jaśnie panie. — odpowiadał lokaj.

— Rozpacz!

— Rozpacz, jaśnie panie.

I Seweryn, jęcząc, zakładał na twarz rodzaj maski irszanej, napojonej coldcreamem, a faworyty podwiązywał długim kawałkiem fularu, skropionym wodą portugalską.

— Może... jutro — bełkotał przez wązki otwór, wykrajany w szmacie irchowej.

— Może... jutro, jaśnie panie. — odpowiadał lokaj.

Tymczasem przechodziło jutro bez żadnego rezultatu i tak samo dni następne.

Pewnego jesiennego popołudnia, Seweryn, zdenerwowany, wlókł się wzdłuż kamienic, zatrzymując się przed każdą wywieszoną kartą.

Wstąpił już do dwóch domów, pomimo że ulica nie przypadała mu do gustu.

Ruchliwa była, co chwila przeleciała przez nią dorożka, to znów o kilka kroków grała katarynka wyjątki z „Carmen“.

Jakiś mały piesek usiadł na trotuarze i wył, podnosząc do góry śpiczastą mordkę.

Seweryn dnia tego czuł się w dziwnem usposobieniu.

Obudził się z niesmakiem w ustach i w duszy.

Cała skóra go bolała na ciele i czuł nieledwie każdy włosek swych faworytów, które dziś sterczały suche i bez żadnego połysku.

Usposobienie jego wewnętrzne było szare i znużone. Czuł mimowoli jakiś przesyt i wspomnienie ciała Klary, które go prześladowało, było mu wstrętne nad wyraz wszelki.

Spotkał ją w Saskim ogrodzie przechodzącą z córeczką. Nie rozumiał dla czego coś go popchnęło ku dziecku, które było krwią jego krwi, jego własnym płodem.

Lecz — mała — rozkapryszona, zdenerwowana, odwróciła się, nie chcąc się przywitać z „panem“. Chciał nalegać, schylił się, aby ją ująć za rączkę, pragnąc dotknięciem się tego świeżego, dziecięcego ramienia — obronić przeciw jakiejś tęsknocie, która go trawiła.

Lecz niańka ujęła dziecko, wołając:

— Sewerciu! patrz... Tata idzie!...

Dziecko odwróciło główkę i wyciągnęło ręce w stronę nadchodzącego mężczyzny.

Seweryn cofnął się i przeszedł szybko, zamieniając lekki ukłon z przyjacielem.

Zaczął znów szukać mieszkania.

Szedł, prostując się z całej siły woli i przybierając obojętną minę.

Lecz piosenka „Carmeny“ i wycie psa — wstrząsnęły nim do głębi.

— Ach, te nerwy! — pomyślał.

Szybko wszedł do bramy, przy której widniała karta.

Za chwilę dzwonił do drzwi parterowych, przed któremi

leżała zużyta słomianka.

Drzwi otworzył mały chłopiec, najwyżej lat sześciu, dobrze rozwinięty, szeroki w ramionach, z karkiem doskonale osadzonym.

Otworzywszy drzwi, przechylił główkę, jakby oczekując wytłomaczenia.

— O mieszkanie... — wycedził Seweryn.

Chłopiec, stukając gwałtownie obcasami, zniknął w ciemni przedpokoju.

Za chwilę słychać było donośny głos dziecięcy:

— Mamo!... jakiś o mieszkanie!

— To pokaż! — odezwał się głos kobiecy z głębi mieszkania wychodzący.

Seweryn wszedł do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi wchodowe.

Zapach gotującej się brukwi i topionego masła uderzył go na wstępie.

— Kuchnia musi być blisko — wyszeptał z niezadowoleniem.

Lecz nie miał już czasu oddawać się dłuższym uwagom nad rozkładem mieszkania, bo drzwi prowadzące do saloniku otworzyły się z impetem — i w jednej smudze światła ukazał się chłopiec a potrząsając energicznie głową, zawołał:

— Proszę pana za mną. Mamcia nieubrana a tatki niema. Dzieci mają lekcyę i nie ma nikogo starszego tylko ja jeden.

Mówiąc to, wydymał w dziwny sposób klatkę piersiową i uderzał się po niej z zadowoleniem.

— Salon! o! — wyrzekł, wyciągając szyję — niech pan

wejdzie, choć pan zabłoci, nic nie szkodzi, jutro będą froterować!

Seweryn spojrzał dokoła.

Dziwnym mu się wydawał ten „salon“, pełen szydełkowych kap i serwetek. Wszędzie czepiały się, jak rój nocnych czepków mieszczanki, opadłych na ciemną wełnę mebli; na jesionowe stoliczki, na trzcinę etażerek, na pudło nędznego fortepianu. Przed kanapą, na płaszczyźnie stołu pokrytego siatkową szarą serwetą, sterczała lampa, której podstawa tonęła w patarafce ze strzyżonej włóczki i szklanych owoców.

Mała czworograniasta czapeczka okrywała szkiełko.

Chłopiec stał teraz na środku pokoju, rozstawiając nogi. Małe, szare oczy o stalowych błyskach utkwił w twarzy Seweryna, który z pustych ścian saloniku wzrok swój mimowoli przeniósł na źrenice dziecka. I przez krótką chwilę te dwie pary oczu o jednakowym, ciemnym a przejmującym połysku tonęły w sobie, jakby zlewając swe stalowe promienie, w jedną chłodną, szarawą smugę.

Wreszcie Seweryn ocknął się pierwszy.

— Czy jest jeszcze co więcej? — zapytał.

— Jest proszę pana, pokój mamy i taty, dziecinny, jadalny, kuchnia, pasaż i schowanko — recytował mały.

Przez uchylone drzwi prowadzące do dalszych pokojów, wyjrzała mała dziewczynka.

Chłopiec przybrał poważną minę.

— Niech Maryś idzie do kuchni, do Magdaleny — wyrzekł mrużąc oczy, a odwróciwszy się w stronę Seweryna, dodał ze śmiechem: — moja siostrzyczka!

Malutka schowała się czemprędzej, nie omieszkawszy pokazać nieznajomemu końca różowego języka.

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Pan daruje, ale to jeszcze małe! — wyrzekł, otwierając drzwi na rozcierz — proszę pana, jadalnia!...

Seweryn przestąpił próg i stanął koło ściany, opierając się o nią plecami.

Przed nim, na sosnowym dość dużym stole, okrytym ceratą, stały talerze z grubego fajansu o żółtawych, gliniastych cieniach, grube szklanki zieleniły się w odstępach, serwetki starannie wyprostowane i pozwijane, wsunięte były w czarne, blaszane kółka.

Pod ścianą kredens, na wpół otwarty, z wysuniętym blatem, ukazywał ubogie wnętrze zapełnione blaszanemi puszkami cukru, kawy i herbaty. Wielki bochenek chleba świeżo napoczęty, rozkładał wśród masy okruchów swe ciemnawe wnętrze, okolone brunatną spieczoną skórą.

Pod oknem maszyna do szycia, na wpół przykryta sztywną merlą zszywanej spódnicy, i krzesełko wyplatane odsunięte na środek pokoju.

Dokoła stołu kilka krzeseł wyplatanych i dwa wysokie foteliki dziecinne z zasuwanemi linijkami. Na jednym poduszeczka czerwona perkalowa i przewieszony przez poręcz śliniaczek szydełkowy, nawleczony czerwoną tasiemką. Wszystko to jednym rzutem oka objął Seweryn. Jakieś dziwne przygnębienie ogarniało go wśród tych ścian pustych, przed tym ubogim stołem, pośród tej duszącej woni kuchennej i stukotu tasaka o stolnicę, dolatującego z po za drzwi źle przymkniętych.

Cała nędza rodzinnego życia, smutnego, pełnego poświęceń, prywacyj i obowiązków — zdawała się spływać tu z trywialnością trosk codziennych. Tylko różowa i uśmiechnięta twarzyczka chłopca miała w sobie świeżość małego egoisty, zabierającego w swe płuca najzdrowsze cząstki powietrza, a w usta najlepszy kęs mięsa i największy kawał chleba.

I znów oczy Seweryna spoczywały na drobnej a dobrze rozwiniętej postaci dziecka, które, pogwizdując lekko, wyszarpywało z bochenka chleba kawałek ośrodka i, maczając go w solniczce, zajadało ze smakiem.

Seweryn przypomniał sobie, że, dzieckiem będąc, lubił namiętnie chleb z solą i zakradał się przed obiadem do sali jadalnej, aby wyprosić u lokaja kawałek ośródka.

Wspomnienie to sprawiło mu pewien rodzaj przyjemności.

Mimowoli uśmiechnął się do chłopca uśmiechem koleżeńskim, przyjemnym, porozumiawczym.

Malec nie został mu dłużnym.

Jakby w zwierciadle odbił się na różanych ustach dziecka uśmiech mężczyzny.

Te same zadrganie nerwowe kącików, te same zmarszczenie brody.

— To dobre przed obiadem — bełkotał chłopiec i uderzył się znów po klatce piersiowej, smarując przód flanelowej białej bluzki tłustemi rękami.

Seweryn stał ciągle przy ścianie, obserwując dziecko. Poddał się bezwiednie pociągowi ku tej małej, kędzierzawej główce, kręcącej się przed nim w mgławem świetle dnia

jesiennego. Chłopiec ten zaciekawiał go i śledzić wzrokiem za sobą kazał. Szare źrenice z pod długich rzęs błyskały mu pożądliwie, gdy skubał ośródek chleba... tęgi kark odsłaniał się z szeroko rozwartego kołnierza bluzy, kark o zarysach wspaniałego w przyszłości samca, podbijającego kobiety siłą sprawianej rozkoszy.

Na karku tym zatrzymał się dłużej wzrok Seweryna, zdawało mu się, że gdzieś już widział podobny szmat ciała, tylko większy, grubszy, porosły krótkiemi włosami, majaczący we mgle zestawionych umiejętnie luster... i osłonięty draperyą białej flaneli.

— Teraz pokażę panu dziecinny pokój, później mamci i kuchnię!

Z łoskotem malec szarpnął drzwiami i przed oczyma Seweryna ukazał się pokój podłużny, zastawiony pod ścianami małemi łóżeczkami, okrytemi kołderkami z pąsowego, wytartego kaszmiru. Duży stół zarzucony książkami i zabawkami czernił się na środku.

Koło pieca suszyło się prześcieradełko, na ziemi leżała naga lalka, z której sypały się trociny.

Jakieś gorąco wilgotne panowało tu, wyziew mokrej bielizny i rozlanych na podłodze mydlin.

Pod stołem siedziała malutka dziewczynka, wydzierająca kartki z wielkiej książki.

Pod oknem, na obdartym skórzanym koniu huśtał się czteroletni chłopczyk, chudy, anemiczny, wybladły.

Chłopiec oprowadzający Seweryna, jak szalony rzucił się ku dziecku kołyszącemu się na koniu.

— Złaź! to mój koń! złaź natychmiast!

I silny, z pasyą wyrytą na drobnej twarzyczce, strącał młodszego brata, który z pokorą dziwną złaził z siodła, zaczepiając się o powiązane sznurkami strzemiona.

Chłopiec, cały purpurowy, z krwią nabiegłą do oczów, rzucił się teraz pod stół i wyrwał dziewczynce książkę.

— Ty, oddaj, to moje!

Książkę rzucił na łóżko, poczem porwawszy za łeb konia, wsunął go w kąt tuż przy łóżku, które zapewne było jego miejscem spoczynku.

Dzieci — milczące, przytuliły się do siebie, nędzne, drobne, małe — poddając się brutalnej przemocy, jaką wywierał nad niemi ten chłopak, zdający się rządzić tu bezpodzielnie, brać pod swe panowanie wszystko, co było jeszcze do wzięcia w tej nędzy urzędniczej, w tych ubogich sprzętach powleczonych kurzem trywialności.

Seweryn znów oparł się o ścianę i śledził wzrokiem drobną postać chłopca, który z wysiłkiem pakował konia na łóżko.

I zdawało mu się, że dziecko to jest mu doskonale znajome, że widywał je codziennie dawniej i teraz odnalazł nagle wraz ze wszystkiemi ruchami, tonacyą głosu, karnacyą skóry...

Wreszcie — rzecz dziwna, Seweryn odczuwał jakby z jego wnętrza coś się oderwało i poruszało się teraz w małych a silnych członkach tej istoty, nurtowało tę kędzierzawą głowę, objawiało się w suchych, urywanych zdaniach, wyrzuconych z tej klatki dziwnie wydętej pod cienką tkaniną białej flaneli.

Nagle — drzwi w przeciwległej ścianie otworzyły się na

rozcierz i stanęła w nich kobieta okryta ciemnym, flanelowym szlafrokiem, wiszącym luźno na wychudłem jej ciele.

Stanąwszy w ramie drzwi, które po za nią rozwarły się szeroko, ukazując profil łóżek okrytych brązowemi kapami i przedzielonych małą ciemną szafką, wyciągnęła rękę ku hałasującemu dziecku.

— Maniek! — wyrzekła suchym, bezdźwięcznym głosem — nie hałasuj, wiesz że mnie głowa bo...

Reszta słów uwięzła jej w gardle.

Dostrzegła Seweryna i obiema rękami schwyciła się za piersi.

Pobladła jak ściana i na chwilę oczy przymknąwszy, oparcia ciałem szukała.

On — poznał ją także, poznał odrazu, jakkolwiek straszną zmianą te lat siedem naznaczyły się na jej twarzy.

Był to szkielet Anny — tej Anny, która podniosła się wśród blasków bizantyjskiej lampy, milcząca i blada — i odeszła z płodem cudzołożnym w łonie, nie wymówiwszy ani słowa do swego wspólnika.

Teraz stali przed sobą, oboje bledzi — mając pomiędzy swemi ciałami całą przeszłość pieszczot, zmysłowych porywów i chwilę rozstania gorzką i gwałtowną, z początkiem brzemienności kobiety.

Wreszcie — ona odzyskała przytomność i podniosła głowę.

W wyblakłych jej oczach, otoczonych sinawemi cieniami, zadrgała cała gama nienawiści głuchej, tajonej wśród nocy bezsennych, na szafocie małżeńskiego łoża,

wśród których do krwi gryząc wargi, taiła wyznanie prawdy, rwące się na usta w porywie bezdennej rozpaczy i cielesnego obrzydzenia.

Wszystko to mignęło w jej oczach i padło na twarz Seweryna, jak uderzenie biczem cienkim a wiązanym w silnie zadzierzgnięte węzły.

— Czego? — zapytała.

Mężczyzna milczał, nie mogąc zdobyć się na odpowiedź.

Ta kobieta wydała mu się w tej chwili straszną, tragiczną, wielką w swym gniewie.

— Czego? — powtórzyła.

Czuł, że odezwać się musi.

— O... mieszkanie — wyjąkał, pocierając jedną łydkę o drugą.

Kobieta uśmiechnęła się ironicznie.

— To mieszkanie nieodpowiednie dla pana, wyjść proszę!...

Wyciągnęła drżącą rękę w kierunku drzwi.

Seweryn stał jednak ciągle, zmieszany, z oczyma spuszczonemi w ziemię.

— Wyjść proszę! — powtórzyła kobieta.

Lecz on, powoli, nieśmiało wzrok swój od ziemi oderwał i na chłopca stojącego koło łóżeczka przeniósł.

— To... on? — zapytał cichym, ledwie dosłyszalnym głosem.

Na twarz kobiety wystąpił rumieniec.

— Wyjść... proszę! — powtórzyła przyciszonym głosem.

Seweryn patrzał wprost już w twarz chłopca, który, odstąpiwszy od łóżka, znalazł się pomiędzy nim i matką, a

wsadziwszy ręce w kieszenie od kurtki, łydki wygiął, pierś naprzód podał i z uśmiechem na Seweryna spoglądał.

I był to on! on sam w zmniejszonym formacie, on — egoista, on — samolub, on — brutalny samiec tyranizujący wszystko! Kukułcze pisklę zagarnęło gniazdo dla siebie, rozpierając się w niem z zuchwałością bękarta...

W oczach kobiety szkliły się łzy, głowę oparła o ramę drzwi i ponuro patrzyła przed siebie.

Seweryn machinalnie rękę ku dziecku wyciągnął.

Sięgnął jak po swoją własność, zapominając, że w nikczemnym egoizmie swoim stracił prawo do istoty spłodzonej przez siebie i podrzuconej nieznanemu człowiekowi.

Lecz Anna nagle, jak hyena, porwała się ode drzwi i schwyciwszy dziecko jedną ręką, drugą chudą i drżącą wyciągnęła z wspaniałym gestem silnej w swem prawie kobiety.

Z po zaciśniętych zębów wybiegło jedno jedyne słowo:

— Precz!...

I słowo to było tak silne, tak tętniące obietnicą niecofnięcia się przed niczem, iż Seweryn po raz pierwszy w życiu ustąpił nędznie przed wzrokiem kobiety, kurcząc się i cofając ku wyjściu, jak znikczemniałe wypędzone z cudzego legowiska zwierzę...

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Gabriela Zapolska](#).*

VII.

L e w e k.

Małe to było, brzydkie, krępe, na krzywych nogach osadzone, z głową kudłatą i z bezczelnem spojrzeniem w zielonawych, świdrowatych oczach, których usiłowaniem najgorętszem było rzucać piekielne podbójcze błyski.

„Demoniczny jestem“, mawiał, pukając się w wypukłe piersi, okryte wykrochmaloną koszulą, „demoniczny bestya, jak chyba nikt na świecie“. I pakował gałkę od laski w szerokie usta, które oblizywał ciągle, grubym, sinawym językiem. Nogi obute w płytkie lakierowane pantofle wyciągał przed siebie, ohydny, trywialny, śmieszny pod jasnym blaskiem porannego słońca filtrującego złotawe światło przez liście kasztanów nad ławkami się zwieszających.

Spoglądał na przechodzące kobiety z lekceważeniem pozornem a z utajoną lubieżnością. Kiwaniem nogi, wydęciem ust, zdawał się mówić jak sułtan rozparty na sofie w haremie.

„No! któraż tam!... Pan czeka!...“

Lecz w myśli powtarzał sobie:

„Ach!... żeby też która!...“

Lecz kobiety mijały go szybko, nie zwracając nań najmniejszej uwagi. Czasem zasłaniały się parasolkami, aby uniknąć jego natrętnego i bezczelnego spojrzenia, które on uważał za szczyt demoniczności. Często — gdy zniecierpliwiony, rozdrażniony, wstawał z ławki i z

arogancyą zaglądał pod ronda kapeluszy mężatek pilnujących dzieci, lub następował na pięty dziewcząt uśmiechających się w promieniach słonecznych — ta i owa mruknęła przez zaciśnięte zęby:

— Błazen!

On wtedy zaciskał zęby z wściekłością, przybierając pozornie rozpromieniony wyraz twarzy. Siedzący bowiem na ławie przyjaciele śledzili go z uwielbieniem, patrząc, jak „zachodzi“ — i jak kobiety rzucają mu w przelocie jakieś słowa, które on, szczęśliwiec! z uśmiechem niedbałym przyjmuje. Gdy powracał do ławki, kołysząc się na swych krótkich, kaczych nogach, gołowąsy młodzieniaszek w świat podbojów wchodzący, zapytywał:

— I cóż? i cóż? co one powiedziały?...

Ireneusz wydymał dolną wargę:

— Ha! lecą na mnie!

Po ławce rozchodził się szmer uwielbienia.

Wiadomo bowiem, że Ireneusz należy do tych wybrańców, którzy mają szczęście do kobiet! Już w czwartej klasie miał taką reputacyę, gdy za brązowemi spódniczkami pensyonarek gonił, spocony, czerwony, kroplami potu na krótkiej, niekształtnej szyi okryty.

Pensyonarki pluły, złościły się, obrzucały go rozmaitemi epitetami, on to wszystko ze stoicyzmem znosił — wiedząc, że w oczach kolegów rośnie na zjadacza serc panieńskich, na don Żuana, na kobieciarza! Podtrzymując reputacyę swoją, pracował i nadal w tym kierunku, zamieniwszy tylko teren swych manewrów, wiecznie w pogoni za kobietą, zawsze głodny a udający przesyconego, drżący na szelest

krochmalnej spódnicy pokojówki a ziewający na widok koronek wyłaniających się z pod sukni szykownej strojnisi.

Szlachectwo zobowiązuje!

Reputacya Irka była ustalona.

Demoniczny i szczęśliwy do kobiet!...

Tylko tyle.

Godność tę trzeba było dźwigać na swej kwadratowej głowie pod grozą śmieszności i odstąpienia podbójczego berła komu innemu.

Tego Irek byłby nie przeżył.

Chował więc „błazna“ — do kieszeni i mówił zapalając papierosa:

— Lecą na mnie!

Lecą! och!...

* *
*

Akuszerka odbierająca Irka zaopiniowała w dwie minuty po urodzeniu się tego rozkosznego dziwotworu w następujących wyrazach:

— Chłoptaś szelma śliczny jak lalka, do mamy podobny jak dwie krople wody. Będzie miał szczęście do kobiet!

Ojciec — suchy, biedny, zawiędły urzędnik — stojący pod piecem z pieluszkami w ręku, uśmiechnął się blado:

— Jak Boga szczerze kocham — przyświadczała akuszerka, wodę na kąpiel szykując — będą za nim hrabiny latały, już ja się znam na tem!

Słowa pani Malinkiewicz, powtarzane często w obecności już podrastającego Irka, głębokie nań wywarły wrażenie.

— Powiedziała — o! powiedziała!... musiała coś przecież wiedzieć, z palca sobie tego nie wyssała.

Uczył się, ale za to był bezustannie w fałdach kobiecych spódnic, wcześnie roznamiętniony i ofiarowujący się z miną znudzonej przymusowem dziewictwem kobiety. Odpychano go jednak, tak był wstrętny, z oczyma zielonawemi, powleczonemi mgłą namiętności, z ustami w pół otwartemi o zaślimaczonych kącikach. Przez grzeczność, w obecności rodziców dziewczęta znosiły go pomiędzy sobą, unikając dotknięcia jego rąk zimnych i wiecznie spoconych. On — połykał upokorzenia, znosił przycinki, znajdując dziwną rozkosz w słowach obcych, widzących go w gronie dziewczyn.

— Irek ma szczęście do kobiet! patrzcie!... zawsze jest pomiędzy niemi!...

Gdy podrósł, zaczął się zastanawiać, czem właściwie można podbijać kobiety.

Czytał wiele, zatrzymując się zawsze nad opisami bohaterów, którzy, szczególnie obdarzeni od natury, uwodzili po sześć kobiet dziennie, porzucając je później na pastwę tęsknoty i rozpaczy...

Bohaterowie ci mieli przeważnie — „czoło wyniosłe, otoczone kruczemi kędziorami, twarze pociągłe, blade — nozdrza namiętne, rozdęte“. Jeden z bohaterów Balzaka, uwodziciel urzędowy, miał wargę dolną lekko obwisłą „świadczącą o zmysłowości“...

Zaczęły się więc tortury ciała Irkowego.

Włosy smażyły się i piekły na żelazku od rurkowania spódnic, nieruchome i mięsiste nozdrza rozciągane palcami, nabrały pewnych ruchów przy wciąganiu powietrza, warga zaś dolna — ta nieszczęsna warga, miała rzeczywiście pozory zmysłowości „szalonej“.

— Irek, co robisz z ustami? — wołała matka, cicha, potulna kobiecina, niemogąca pojąć jak zaszczytne stanowisko zająć ma jej syn w społeczeństwie.

Projekt na „lwa“ — tymczasem wargę ciągnął i nozdrzami ruszał, tworząc sobie w ten sposób maskę podbójczą, niezwalczoną...

Wzrósłszy w lata i ciało, krępy i nabity, rozsadzający pełnością kształtów jasne garnitury, aplikował u jednego z adwokatów, zapełniając ciasną kancelaryę trywialną, ostrą wonią chypru. Lokował się przy drzwiach salonu, aby za każdem ich otwarciem, rzucić w głębię przenikliwe spojrzenie, samą adwokatowę mające na względzie.

Pani ta jednak — jakkolwiek w niebezpieczną trzydziestkę wkroczyła i miała lekki puszek na wierzchniej wardze posiadała tylko jedną namiętność, to jest... rurki czekoladowe napełnione kremem. Pochłaniała ich ilość obfitą, zmysłowe rozkosze na bok odkładając, namiętne przeto drżenie nozdrzy Irka zostawiało ją zimną, nawet nieździwioną w jej łakomem, kremowem rozleniwieniu.

Demoniczny natomiast młodzian, obserwowany, popychany przez kolegów, widząc, iż nic nie zyska, przybrał... minę zwycięzcy i często w pustą głębię salonu rzucał porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechy, ku wielkiej

radości całej dependenckiej rzeszy.

— Wzięła się! wzięła! — szeptali do siebie, głowy z plik papierów wyściubiając.

Irek brwi marszczył i rękę patetycznie wyciągał.

— Proszę was — mówił — zaprzestańcie tych żartów. Podobnemi podejrzeniami obrażacie mnie i kobietę, która obdarza mnie sercem zaufanem!

Milknął na chwilę, poczem dodawał z wysiłkiem:

— ...I której honor jest mi drogim!

Było w tym głosie to „coś“, które drga zawsze w głosie mężczyzny, ile razy zapiera się miłostek z jakąś kobietą. Mówi „nie!“ — a słyszy się najwyraźniej „tak!“

Wreszcie — następował teraz — bukiet, wieńczący zwykłe podobnego rodzaju rozmowy.

— Daję wam na to... słowo honoru!

Wszystko tam było — i honor (och ten nieszczęsny!), i ręka na kamizelce położona, i przymrużanie oczów, słowem — cała lira.

Mimo to, a właściwie mówiąc, dlatego — dependenci mówili w kilka dni później w gronie swych zaufanych przyjaciół:

— Irek poleciał teraz na grandę, mężatka, szyk kobieta! Nie — on ma dziwne szczęście do kobiet!...

A zapytywani przez rodzinę o panią adwokatowę, odpowiadali:

— Phi!... kobieta nieszczególnego prowadzenia się! Podobno Irek... i to nie sam!... nie on jeden!

Adwokatowa tymczasem kremem cała ubielona, ani przypuszczała jak czernieje jej dobre imię, jaka smutna

przyszłość gotuje się dla jej córek — których matka, niedługo w opinii całego miasta zostanie „taką, co przez całą kancelaryę męża przeszła!“

Powoli — Irek rozzuchwalał się coraz więcej.

Tu i owdzie, jakaś pokojówka rozuzdana, sklepikarka lub dystrybutorka spragniona miłosnych wrażeń — zsuwała mu się w objęcia. On — wygłodzony, miłostki te skwapliwie przyjmował, dekorując je później w wytworne barwy, w opowiadaniach swych, wśród kilku przyjaciół. Franusia z drugiego piętra, cuchnąca mydlinami, była w tych opowieściach — panną „z bardzo przyzwoitej rodziny“ — odwiedzającą go o szarej godzinie z panną służącą. Biedactwo! przybywało zawsze spłonione i drżące. Narzuciło mu się prawie samo a teraz on — z litości nad biedną, stosunek ten przeciągał, który, nawiasem mówiąc, nużył go niewypowiedzianie. Czuł bowiem do czego to zmierza, panna chce koniecznie doprowadzić go do ołtarza — lecz on, Ircio — bynajmniej tego nie pragnie!

Tembardziej — że... niedawno zaplątał się jeszcze w znajomość z pewną wdową, majętną, posiadającą handel na jednej z pryncypalnych ulic, o!... wiecie! — sklep wspaniały — jubilerski, pełen brylantów, turkusów, rubinów...

On — uległ także temu kaprysowi, pociągnięty wielką pięknością wdowy, lecz teraz radby się wywinąć uczciwie, jak na przyzwoitego człowieka przystoi.

Wdową tą tymczasem — była dystrybutorka, rozlana w czterdziestce, którą przekroczyła, żółta i nędzna za skromnym kontuarem ubogiego sklepiku, na jednej z

najbardziej oddalonych ulic miasta.

Przyjaciele Irka cisnęli się teraz do niego, pełni tej dziwnej łatwowierności, jaką mają mężczyźni, wobec miłosnych blag patentowanego przez nich samych bezczelnika.

— Irek!... Irek!... powiedz — jak się nazywa?

Irek łyżeczką kawę mieszał z tajemniczą miną.

— Nie wymagajcie! honor kobiety!...

Lecz oni nacierali, pełni niezdrowej ciekawości starych plotkarek.

— Czy znamy ją? powiedz?

Irek ramionami ruszał.

— Może... — rzucał z niechcenia.

— Pani Strzelecka?

— A... cóż znowu!

— Pani Jacksohn?

— Ależ...

Uśmiechał się dwuznacznie, oczami demonicznie błyskając.

— Ależ tak — ona — ona — nikt inny!...

Lecz on porywał się nagle, godności pełen:

— Proszę, zaprzestańcie tych domysłów. Gdyby nawet tak było... honor milczeć mi nakazuje!

I nagle wdowa po jubilerze zostawała kobietą „kompromitującą się z jakimś dependentem“, istotą zgubioną, nieumiejącą nawet uszanować pozorów... Ta i owa, w chwili oburzenia, wróciwszy z „pod Raka“, gdzie grywa rozstrojona orkiestra, a gabinety zbudowane są z dziurawych desek — mówiła:

— Wszystko przecież można... ale zachować trzeba pozory!...

Koło kobiety robiła się pustka, której ona wytłomaczyć sobie nie umiała i nie mogła — a lewek Irek powtarzał tymczasem:

— Gdyby nawet tak było — honor mi milczeć nakazuje!

Och!... ten honor mężczyzn, lwów broniących czci kobiety, którą sami zszargali, ten honor dzwoniący, jak fałszywa moneta — „qu'allait-il faire donc, dans cette galère?“

Powoli, Irek rozzuchwalał się jeszcze więcej.

Trzeba było słyszeć tę potworę mówiącą o kobietach w ogóle, zwłaszcza gdy wypił filiżankę czarnej kawy z figową cykoryą, pod werendą dystyngowanej cukierni.

— Kobiety!... hm — wiedział on dobrze co znaczy to słowo! Trzysta czterdzieści siedem razy grał komedyę miłości... tak!... tak!... trzysta czterdzieści siedem! ani mniej ani więcej! Zna więc do gruntu te istoty, które bez wielkich wysiłków przykuć do siebie na zawsze można. Gorący pocałunek, w ucho naprzykład, zupełnie wystarcza! On to próbował nieraz i żadna mu się nie oparła! a ileż ich przez ręce mu się przewinęło! Blondynki, brunetki, rude, ba!... nawet jedna siwa, lecz młoda i piękna! Wybierał zawsze bowiem piękne i dobrze zbudowane... wszak tyle jest tego na świecie!... mój Boże — ręką tylko sięgnąć... już jest i to nie byle co, szyk, elegancya, inteligencya! wszystko!

Cóż? — kobieta? — istotnie słaba, bez woli — lgnąca do trochę przystojniejszego mężczyzny na oślep. Tak zwanych „uczciwych“ — phii!... to okazy do wypchania, niema ich

poprostu. Irek takich nie znał, wreszcie... on za nikogo, za żadnąby nie ręczył!...

Podkreślał te słowa, przybijając tem słuchaczy. A wreszcie — gdyby oni byli na jego miejscu i przeszli to, co on przeszedł — widzieli kobiety napozór zacne, święte, nieskalane... szalejące w chwili ekstazy miłosnej w jego objęciach jak kurtyzany! — a!... tak! tak, jak proste kurtyzany!

Od pewnego czasu upodobał sobie wyraz „kurtyzana“ — i szastał nim na prawo i lewo, wsłuchując się w dźwięk tego teatralnego słowa.

— Zresztą — ciągnął dalej, paznogcie sobie oglądając — życie trzeba brać jak jest! Kobieta jest przyjemnem narzędziem rozkoszy i miłą rozrywką. Tylko...

Tu składał ręce jak do modlitwy.

— Na Boga, panowie, nie żądajcie niemożliwego! nie chciejcie widzieć w kobiecie istoty na wieki do was przykutej, bo w ten sposób — życie będzie dla was męczarnią. W młodości mej... wiedziałem coś o tem!

Pozował się melancholijnie, głowę na dłoni wspierając.

— Tak!... tak!... — kończył cichym, przytłumionym głosem — początkowo brałem komedyę miłości na seryo. To mnie zabijało! Dziś, nie kocham! pozwalam się kochać... i czuję się o wiele szczęśliwszym.

Uśmiechał się, usta oblizując — w kącikach mu kawa pomieszana ze śliną czerniała.

— Teraz, już trzysta czterdzieste ósme przedstawienie nie kosztuje mnie nic i bez najmniejszego wzruszenia o schadzce wieczornej myślę. Ot — spędzić wieczór z

kobietą, jest dla mnie to samo, co... filiżankę kawy wypić!

Pełen dezinwoltury, wspaniały, nadzwyczajny, sączył resztę fusów osiadłych na dnie filiżanki. Słuchano go z religijnem skupieniem.

Swadę miał i widoczną gruntowną znajomość przedmiotu.

Czasem miał odpowiedzi, które po prostu historycznemi się stały, rywalizując ze słowem Cambronne'owi przypisywanem.

Przykład:

Jeden z młodzieży — wkraczający dopiero w dziedzinę galanteryi, zauważył nieśmiało, że pomiędzy „szwaczkami" wiele się znajduje dowodów szczerego przywiązania i miłości.

Dyskutowano trochę, ten i ów opozycyę zakładał, wreszcie zwrócono się do Irka, który ostentacyjnie jakiś list na różowym papierze nabazgrany czytał.

— Jak pan sądzisz?... szwaczki? co?

Irek oczy zmrużył.

— Szwaczki? — odpowiedział po chwili z niezrównanem roztargnieniem — szwaczki?... je n'en sais rien?... nie znam!...

Od pewnego czasu używał francuzczyzny, ucząc się zdań pojedynczych i rozmówek pani Bocquel.

— Nieznasz pan szwaczek? — pytano ze zdziwieniem. On, demoniczny wzrok wokoło ciskał:

— A, od czegóż... damy? — zapytał.

* *

*

Razem z latami, wzrosła w tym mężczyznie dziwna zaciekłość udawania kochanka każdej choć trochę wybitniejszej lub bardziej znanej kobiety.

Zwrócił się przedewszystkiem do — teatru.

Poznał jakąś nędzarkę, chórzystkę — obarczoną kilkorgiem dzieci, zaglądał często do jej biednego mieszkania, i teraz, nagle zaczął pastwić się nad aktorkami.

Od owej chórzystki — wyciągał niektóre szczegóły co do artystek stojących na stanowisku i szargał je w błocie rozpusty, obmawiając w najcyniczniejszy sposób.

Pisywały do niego! o! tak — nawet bardzo często, cierpiąc po prostu na manię listów! Lecz on — jakkolwiek chwilami znajdował pewne upodobanie w towarzystwie „tych pań“ — umiał postawić się na odpowiedniej stopie. Mój Boże!... wiadomo bowiem jak przewrotną jest kobieta — a cóż dopiero aktorka! Tej ostatniej głównie chodzi o świecidełka, błyskotki. Rzuca się więc jej ten okup i flirtuje wesoło w jej buduarze. Co jeszcze mają najlepszego w sobie aktorki — to umiejętność urządzania buduarów.

I dyskretnie dawał rozmaite szczegóły.

U tej naprzykład buduar cały różowy ma na szezlongu rzuconą białą niedźwiedzią skórę, u tamtej buduar w kształcie oryentalnego namiotu, u innej znowu lustra, lustra i lustra.

Jeszcze inna nie miała buduaru, przyjmowała zwykle w saloniku, w którym była zaciszna alkowa, wybita liliową draperyą. Aktorka miała jasne złociste włosy, zwykle

rozpuszczone i wielkie koronkowe rękawy, któremi zamiatała ziemię.

Nawet na nim, na Irku robiło to pewien efekt, dlatego przesiadywał tam często, powtarzając z „tą panią“ — jej role.

Ależ tak — tylko role, a wreszcie...

Tu — był już dyskretnym.

Dobra wiara, którą zaszczycano go od lat kilku, wyrobiła w nim bezczelność, posuniętą do niemożliwych granic.

Opinia aktorek, szarpana zwykle przez wszystkich, dla tego lwa była prawdziwym kęskiem królewskim, na który rzucał się z całą zajadłością.

Aktorki!... fiu!.. wszystko — kurtyzany!...

Rzecz ceny — nic więcej!

Ramionami wzruszał, usta wydymał — pełen szlachetnej pogardy dla tych istot ujrzanych zaledwie zdaleka, wśród blasku gazu, w szeleście jedwabnych spódnic i całej fali koronek.

Serce mu biło gwałtownie, gdy ujrzał którą przechodzącą ulicą.

Jeśli nie był sam — pociągał gwałtownie swego towarzysza i przechodził na drugą stronę ulicy.

— Dlaczego to robisz? — pytał towarzysz — patrz, idzie Morelka, przywitasz się z nią... może mnie przedstawisz?

Irek brwi marszczył, głowę odwracając.

— Dziwny jesteś — odpowiadał — nie wiesz, że oddawna nie znam tej pani?

Lub zapuszczał się dalej w efronteryę, mówiąc junacko:

— Witać się z nią? cóż znowu, przecież ja nie mogę się

tak kompromitować!

Przechodził szybko, głowę do góry niosąc, z ustami wydętemi pogardliwie, ironicznie — pogwizdując jakąś urywaną melodyę.

Aktorka tymczasem szła powoli, nie przypuszczając, że po drugiej stronie chodnika szedł człowiek — rzucający na nią błotem, dający jej miano „kurtyzany“ i mówiący z pogardą:

— Ta pani, to rzecz... ceny.

* *
*

Niezrównaną miał fantazyę ten kreowany przez akuszerkę pożeracz serc kobiecych. Wyjeżdżał raz do Wiednia i zawadził o Wenecyę. Było to już po śmierci matki i trochę klejnotów przez nią pozostawionych przeszło w ręce żydów, dla opłacenia kosztownej dla Irka w świat wycieczki.

Lecz za to z powrotem, ileż legend opromieniło demoniczną postać lewka!...

Wiedenki — hm... cóż! Wiedenki — namiętne, rozmarzone, wysiadające na ławkach Stadtparku podczas księżycowych nocy.

Sentymentalizm straszny... samobójstwo w perspektywie! zapewne — sensacye nowe i dość miłe lecz dla człowieka, który trzysta czterdzieści siedem razy grał komedyę miłości — zanadto wstrząsające.

Wspanialsze o wiele włoszki, wenecyanki, tajemnicze,

pełne ognia i nieopisanej zmysłowości... A gondole! ach!...

Irek głową w takt wioseł kiwał i oczy przymykał uśmiechnięty, pełen rozkosznych wspomnień. Czasem... barkarollę Troschla nucił fałszywie i powtarzał jak papuga:

„T'amo!“

Raz — w chwili zwierzeń wyznał, iż przechodzącego placem Św. Marka, dojrzała go pewna księżna karmiąca gołębie i wieczorem — w gondoli swej uwiozła.

Na Canale grande nauczyła go słowa — „t'amo!“

W rzeczywistości Irek mieszkał w Wiedniu na Leopoldstadt, został w Stadtparku zwymyślany przez jakąś mäderl — wracającą z „Waschanstallt“ — a w Wenecyi, wynudziwszy się nad cuchnącym kanałem, napróżno usiłował pozyskać względy dziewczyny posługującej w hotelu, grubej trywialnej włoszki, czeszącej się raz na trzy tygodnie...

W kilka miesięcy później, Irek kupił sobie wąskie porte-bonheur i kazał je zakuć na ręku.

Było to szczytem elegancyi i szyku.

Wysuwał teraz rękę z pod mankietu i błyskał złotem bransoletki, drażniąc ciekawych niezwykłem tem zjawiskiem.

Gdy go pytano — wymijał zręcznie odpowiedzi, honorem się znów zastawiając...

Szczególniej w teatrze imponował bezustannie, bransoletkę na rękę naciągał i pod oczy nią siedzącym w krzesłach kobietom świecił.

Niektóre mówiły:

— Patrz! to monstrum ma bransoletkę!

Inne, zaciekawione istotnie, rzucały badawcze spojrzenia.

Irek, uszczęśliwiony, nadymał się jak żaba, porte bonheurem o szpinki dzwonił i przeginał się z nonszalancyą przez baryerę krzeseł.

W tym czasie przeczytał „Siostry Rondoli“ i „Safo“. Mówił przeto wiele o francuzkiej literaturze i o głębokości studyów nad kobietą, dokonanych przez Maupassanta i Daudeta.

Rozmarzywszy się raz fałszowaną chartreuse’ą, ułożył nagle cały romans o jakiejś tajemniczej, czarnoubranej kobiecie, która od dni kilku przychodziła do niego o zmroku wieczornym.

Miało to być „coś z arystokracyi“ — spowitego w batyst i blondyny (!) i pragnącego u stóp Irka pozostać do śmierci.

Słuchacze zainteresowali się tą opowieścią i przez kilka tygodni, tajemnicza dama unosiła się jak mistyczne zjawisko po nad głowami mężczyzn. Powoli — zapomniano o niej. Irek — przestał mówić, znużony własnem kłamstwem.

Minęło kilka miesięcy.

Nagle przypomniano sobie tajemniczą damę i rzecz naturalna, zapytano o nią Lewka. On przez chwilę stał osłupiały, niemogąc przypomnieć sobie — o co tu właściwie chodzi.

Wreszcie pamięć mu wróciła.

Do dyabła! cóż teraz zrobić z tą całą historyą! Plątać ją dalej — jak? — konceptu mu zabrakło.

Nagle wspaniała myśl zaświtała mu jak gwiazda

zbawienia.

Uśmierci ją!

Tajemnicza dama umrze...

I z ponurą twarzą, grubym głosem, opowiedział pochylony nad swoją kawą — że — czarna dama umarła w Nicei... na suchoty, miesiąc temu, a ostatnie jej słowo było „Ireneusz“...

Powiedziawszy to — zamyślił się głęboko, smutny i znękany.

Słuchacze uszanowali jego boleść — ogólnem milczeniem. Od tej chwili, aureola cierpienia otoczyła czoło Irka; zaczął chodzić zgarbiony, jakby smutkiem do ziemi przyciśnięty.

Pluł wzgardą na wszystkie kobiety tęskniąc do tej jednej, szacunku i miłości godnej — która „odeszła w dal ciemną — pod błękitnem niebem Italii“.

— Cóż znowu! — pocieszali go przyjaciele — trudno ginąć z tęsknoty dla trupa. Miej siłę! oprzytomniej, Irku!

Lecz Irek pozował teraz coraz więcej, drapując się w szatę tragiczną. Fikcyjna kochanka zaczęła dlań przybierać kształty. Po upływie pewnego czasu nabrał przekonania, że — — czarna dama, rzeczywiście istniała.

Teraz w węzeł krawatu wpinał szpilki w formie trupich główek, ubierał się ciemno, cały żałobny jak karawaniarz.

Chwilami miał chęć sprawienia sobie krepy przy kapeluszu.

Słowem, był to wdowiec, wdowiec opłakujący istotę, która, nie istniejąc, śmiercią swą pogrążyła go w bezmiarze boleści.

I często z zamglonemi oczyma siadał w gronie swych przyjaciół, aby wywnętrzyć ból swój drżącym od wzruszenia głosem.

Jeśli go kto w życiu kochał, o! to pewno ta jedna!... Była mu cała oddana, pomimo odpychającego chłodu, z jakim miłość jej przyjmował!

Uderzał się w czoło z rozpaczą.

— Byłem względem niej niegodziwy — wołał — lecz czyż to była moja wina! Popsuły mnie te wszystkie inne, popsuły, bo trzysta czterdzieści siedem razy musiałem grać z niemi komedyę miłości. A czy która z nich była warta tego?...

— Przecież adwokatowa... — przerywano mu półgłosem.

— Och!... ona!... — i tu Irek mścił się za lekceważenie okazywane mu przez amatorkę kremu. Och, ona szczególniej!... głupia, zła, gadatliwa, narzucająca się, nudna i chuda!... o tak, chuda w przerażający sposób. Stanikiem dobrze zrobionym okłamywała ludzi... lecz, on — Irek, wiedział czego się ma trzymać...

Nie krępował się już teraz w słowach, rozbierając brutalnie kobiety, o których istnieniu wiedział zaledwie. Podniecony, wściekły — mścił się za każdą obelgę, każde odepchnięcie, wyrzuceniem z siebie całej masy kłamliwych szczegółów piętnujących kobietę jak rozpalonem żelazem, na dowód przytaczając tajemnice alkowy, sekreta ciała, ukryte wady lub wdzięki.

I tylko dla nadania sobie pozy i uroku powracał ciągle do zmarłej, wysławiając ją jako ideał piękności i wdzięku.

— Włosy miała czarne jak kruk i do pięt sięgające — mówił, potrząsając głową — oczy szafirowe, twarz bladą... nie! — opisać jej niepodobna, a wreszcie, chcecie? — pokażę wam jej fotografię?

Radość w tłumie powstała ogólna.

— Ale, przysięgnijcie mi na honor, iż nigdy żaden nie da poznać po sobie, że widział ten portret w rękach moich!

Słuchacze, powstawszy, na honor przysięgli.

* *
*

Gdy Irek do domu powrócił, uczuł kłopot niemały.

Przyrzekł pokazać fotografię zmarłej — hm!... dobrze, ale zkąd fotografię tę dostać?

Niewypada nic innego tylko kupić jakiś „gabinet“ — i przyjaciołom przed oczyma błysnąć. Nazajutrz, wczesnym rankiem, pobiegł Irek do ateliers fotograficznych.

Podał się za heliominiaturzystę amatora, chcącego nabyć kilka fotografij, celem robienia studyów.

Podano mu całe stosy wybiórków, portretów osób, które nie zastrzegły sobie sprzedaży publicznej.

Irek szukał długo, wreszcie — wybór jego padł na silną brunetkę, o wielkich ciemnych oczach, owiniętą masą białej gazy.

Wydała mu się nadziemską w tym jasnym obłoku. A — zjawisko, widmo zmarłej a nieznanej kochanki.

— Kto jest ta dama? — zapytał.

Fotograf pokręcił głową.

— Nie pamiętam prawdziwie — odparł — fotografia ta zdejmowana już lat kilka temu. Zdaje mi się jednak, że ktoś z prowincyi.

— Nietutejsza?

— O! za to ręczyć mogę!

— Tem lepiej!

Zapłacił, fotografię zabrał i cały przejęty ważnością chwili, dzień spędził w gorączce i oczekiwaniu.

Co chwila fotografię wyjmował i przyglądał się rysom brunetki. Była przystojną, choć cokolwiek mało miała dystynkcyi. Jakiś uśmieszek w kącikach ust się błąkał, za wiele widać było piersi.

Gaza ratowała jednak wszystko.

Z nadejściem wieczoru, Irek do cukierni pędził — i pomiędzy zebranych już mężczyzn wpadł.

Porwali się wszyscy, zaciekawieni jak stare baby, wyciągając ręce.

— Fotografia? o! pokaż! pokaż!

On — stał teraz boleśnie wykrzywiony i powoli kopertę odchylał.

Portret wyjąwszy, spojrzał i westchnął.

— Tak!... to ona!... moja święta — jakby przemówić miała!

I fotografię najbliżej stojącemu podał a sam, jakby boleścią przybity, na krzesło się usunął.

Lecz nagle, serdeczny, wesoły śmiech rozległ się w powietrzu.

Jeden z grona mężczyzn, świeżo z Łodzi przybyły,

machał w ręku trzymaną fotografią „świętej — zmarłej“, zanosząc się ze śmiechu.

— Ależ to Wikcia! — wołał — Wikcia z Grand hotelu w Łodzi — ta... co się tu w Warszawie teraz puszcza!

Lewek głowę podniósł i ogłupiałym wzrokiem na śmiejącego się patrzał.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Gabriela Zapolska.*

VIII.

M a ł p a.

Że Olka była małpą w całem słowa tego znaczeniu, o tem wiedziało nietylko całe Żółkiewskie, ale nawet i het daleko aż po za rogatkami znano jej rudy, wiecznie rozczochrany warkocz i kaftanik w kratki, wydarty na łokciach a aksamitem u szyi ubrany.

Szczególniej wieczorami, o zmroku — pełno jej było po wązkich uliczkach przedmieścia.

Wiadomo było po co się po cieniu słania, od czasu do czasu tylko pod latarnię podchodząc; dzieci małe znały ją nawet i palcem wskazywały, mówiąc z przedwcześnie rozwiniętą złośliwością:

— Małpa! idzie małpa!...

Ona wygrażała im tłustą czerwoną pięścią i rzucała gradem łupin od orzechów, których miała zawsze pełne kieszenie.

Urodzona na przedmieściu, wychowana w cieniu kamienic, córka stróża, gnieżdżącego się w zatęchłej suterynie, podlotkiem zaledwie uciekła, pozostawiając po za sobą ojca, młodszego brata, wiecznie zamorusanego Wicka i kij, którym ojciec zwykł był dzieciom na dobranoc kości łamać. Nie był to jednak zły człowiek, pracowity, przeważnie trzeźwy i zupełnie uczciwy. Ucieczkę córki odcierpiał ciężko i do samego zgonu widząc ćmy nocne, czerniące się w głębi wązkich uliczek, dławił się z wściekłości na samą myśl o losie Olki.

Ona przeniosła się w inne strony miasta i tam, wiążąc zatłuszczone wstążki na głowę, z szelestem świeżo wykrochmalonych spódnic, spadała na ulicę o szarym zmroku, razem z całem stadem szarańczy po kątach ciemnych czatującej.

Znały ją stawy Pełczyńskie i szumiące dokoła nich brzozy, znał ją Węgliński lasek, cały w zieleń aksamitu spowity; — powoli całe terytoryum miasta na wschód się pchającego Olka zajęła w swe posiadanie, prezentując wszędzie swą twarz płaską, ospą znaczoną i z nosem zadartym, z wargami mięsistemi, w obramowaniu ostro najeżonych włosów o rudawym, niepewnym połysku.

Lecz dziewczyna ta wiecznie tęskniła za swą kolebką, za tem Żółkiewskiem, które bieleje jasną szeroką strugą głównej ulicy i rozlewa się potem w drobne, małe, ciemne zaułki, pomiędzy domami zapchanemi żydostwem, płynące.

Olka miała nostalgię tych wielkich kamienic, rozweselonych purpurową barwą pierzyn z ganków i z okien zwieszonych, tych dziedzińców nagle, brutalnie roztwierających się na zielony plac mustry, lub cały szereg fortyfikacyj w mgłę błękitną spowitych. Tęskniła za gwizdem pociągów, przelatujących wesoło po nasypie żółcącym się w oddali, pragnęła odetchnąć wonią kasztanów, płynącą z bukietu drzew ogrodu Inwalidów, z pośród których wystrzelał w górę biały, czysty gmach o harmonijnie pięknych liniach.

Pod drzewami temi Olka przesypiała nieraz całe popołudnia, gdy zamiast iść do szkoły, wolała podchodzić pod łokcie przechodniom i, skomląc, wyżebrać parę

centów. Najadłszy się owoców lub pierników, cała zamorusana, rzucała się w trawę, tuż około fontanny, z której płynął wązki srebrny bicz wody.

Dziewczyna zasypiała, zaciskając mocno powieki, cała czerwona, zdenerwowana, podniecona bezczynnością i dniem upalnym.

Usta jej szemrały słowa bez związku, ręce otwierały się kurczowo.

A tymczasem kasztany szumiały, ciało jej przeświecające przez łachmany spódnic wachlując swemi szerokiemi liśćmi, przez które spływało słoneczne światło, wielkiemi zielonymi plamami się znacząc.

Olka chwile te pamiętała dokładnie.

Gdy po nocy, spędzonej w knajpie, z głową ciężką i ustami spieczonemi, wracała do swej nory — cieplejszy powiew wiatru budził w niej myśl jedną.

A gdyby tak wrócić na Żółkiewskie!

Ba — lecz ojciec!

Ojca bała się jak ognia.

Wiedziała, iż szukać jej nie będzie, lecz — gdyby mu pod oczy podlazła!...

Snuła się więc znów po „Rurach“ — omijając starannie czerniącą się sylwetkę policyanta.

Czasem przemknął się koło niej terminator bosy, obdarty, zasmolony.

Podskoczył, gwizdnął i zajrzał w oczy rozczochranej dziewczynie, mknącej wzdłuż kamienic.

Czasem, gdy już był po śniadaniu, zaskrzeczał przeraźliwym głosem:

„Spadła małpa z pudła
Stłukła sobie łeb“.

Ona szła dalej, z głową opuszczoną na piersi, plując śliny, które jej napływały wciąż do ust — prześladowana jedną i tą samą myślą:

A gdyby wrócić na Żółkiewskie!

. . . . . .

I wróciła!

Wróciła po śmierci ojca, ukradkiem, po ciemku dziedziniec i znajome bramy obchodząc...

Tak! tak! nic się nie zmieniło!

Te same rynny, pod któremi w deszcz roztargany swój łeb moczyła, włosami poplątanemi kamienie zamiatając.

Tu — koło tego mostku, cała gromada jej przyjaciół robiła groble z piasku i kamieni, tamując odpływ kolorowej wody, którą farbiarz całemi cebrami nieraz wylewał.

Tu — Wicek, pierwszy raz przez nią namówiony, ukradł makagigę starej, może stuletniej żydówce, która drzemała nad deską, pełną łakoci, w cieniu oddrzwi bramy.

A tu — tatlo nieboszczyk kazał jej polewaczki wody z dziedzińca sobie znosić i podawać. Nie było to rozkoszne, owe dźwiganie ciężkich konewek w skwarne popołudnie, tembardziej, iż tatlo ręki nie żałował, gdy się nie pośpieszyła.

Dźwigała też, dźwigała, przechylona na lewy bok z ręką wygiętą — mocząc spódnicę plączącą się jej wzdłuż nóg

chudych i nierozwiniętych; tatlo tymczasem wodą ulicę polewał, rysując esy floresy na szarych, półokrągłych grzbietach kamieni. Życie było ciężkie — prawda!... choć i teraz!... pożal się Boże!... ot!...

Olka stała teraz przed kamienicą, w której wraz z tatlem i Wickiem tyle lat spędziła i pochyliwszy się do okienka suteryny zaglądać zaczęła. Inni ludzie tam mieszkali, inna pościel, inne łóżko stało już w kącie, którego ściany nawpół pleśnią były zasnute.

Świeczka „centówka“, oprawna w blaszany lichtarz, słabo ćmiła się na stole, do połowy garnkami zastawionym.

Koło komina kręciła się mała dziewczyna, bosa, podkasana, z długim a cienkim warkoczem spadającym na wypukłe plecy.

W kolebce, koło łóżka — dzieciak z brudnych łachmanów kostropatą głowę wytykał i wyciągał rękę, w której tkwiła drewniana łyżka, obmazana resztką przyschniętych kartofli.

Olka teraz już zupełnie do ziemi przysiadła, a obie ręce o bruk wsparłszy, ciągle w okno suteryny patrzyła.

Tak! tak!... ta dziewczyna rozczochrana włócząca swe bose nogi po ubitej ziemi izby — to ona, ona sama, lat temu piętnaście!

A ten chłopak z kołyski łeb wytykający — toć to czysty Wicek, który krzykiem swym zdawało się nieraz, iż mury rozsadzi.

Biła go za to po łbie, po pysku — ile się zmieściło, a czasem znów porywała go i do piersi cisnąć zaczynała, z rozrzewnieniem nagłem.

Sieroty bo oboje byli... sieroty, bez matki, która zmarła w szpitalu bez uczciwego nawet pochówku na zaraźliwe choróbsko, co się w suterynach na Żółkiewskiem rozpanoszyło.

Olka — w dziecko ruszające się wśród łachmanów wpatrywała się upornie, jakby przykuta widokiem tej małej głowy, pokrytej sierścią jasnych włosów. Dzieciak w kołysce się gmerał i łyżką o brzeg kołyski uderzał.

Olka dzieciństwo swe całe, z nędzą i troską, przed oczami miała teraz, objęte w ciasną ramę zaledwie przymkniętego okienka.

Z wnętrza suteryn płynął ku niej chłód piwniczny z wyziewami ciała ludzkiego i gnijących odpadków połączony.

Ona chłonęła w siebie to powietrze, w którem wzrosła, cała prawie pijana wonią nędzy brutalnie z wnętrza ziemi się wydzierającej.

Razem z tą wonią budziło się w niej wspomnienie tatli, Wicka...

Ulicznica kurczyła się przy ziemi, chcąc zniknąć prawie, wkopać się pod suterynę i znaleźć się nagle na środku tej izby, z której uciekała cichaczem, w nocy, na rozpustę pomiędzy „kanonierów“ się przebierając.

W naprężeniu nerwowem, w jakiem była, zaczęła nagle majaczyć; zdawało się jej teraz, że Wicek chce wyleźć z kołyski a ona uspakaja go i leżeć mu każe.

— Leż, hyclu, robaku, sieroto! bo cię uśmiercę!...

Nagle poczuła się kopnięta silną, męzką nogą w gruby but zbrojną.

— Ha frajla! wie gehts? — zaśmiał się rozbawiony żołnierz, błyskający w świetle latarni rzędem złotych guzików — chodź panna z nami, wypijemy paar śnaps zum andenken!

Olka ocknęła się z zadumy i porwała się z ziemi.

— Gut, Herr Leitnant! — wyrzekła, rzędem białych zębów błyskając — ja na to jak na lato!

— Fesches Mäderl...

Poklepał ją po ramieniu i oboje powlekli się w stronę szynku, z którego dobywały się ostre, zawrotne tony katarynki.

. . . . . .

Spotkała się pierwszy raz z Wickiem, nagle na zakręcie Piaskowej uliczki.

Poznała go odrazu, choć urósł i zmienił się dla obcych ludzi.

Ona jednak — siostra, poznała w nim brata, którego biła i kołysała, targała za włosy, lub tuliła, mrucząc uliczne piosenki.

Szedł ubrany przyzwoicie, w wysokiej czapce z daszkiem, w długim surducie i w butach dobrze wyszuwaksowanych.

W ręku pod chusteczką, niósł kilka świeżo zerwanych róż, a pod pachą dużą harmonię; niebieski krawat związany w kokardę podnosił świeżość jego cery.

Chłopiec to był dobrze odżywiony, silny, jeszcze pracą ani rozpustą niezniszczony.

Stolarzem bo był — i to już czeladnikiem, a wiadomo, stolarka to praca na Bożem powietrzu i najczęściej pod gołem niebem, więc soków z krwi nie wyciąga i płucom rozrość się pozwala...

Dziś Wicek szedł w zaloty do córki Jana Burby, także stolarza, który za panną Kazią daje trzysta papierków a po śmierci warsztat cały na zięcia przeleje.

Wicek ma wszelkie szanse dostania stolarzówny, bo ojciec przyjmuje i jego, i harmonię łaskawie w niedzielne popołudnie, a Kazia czerwieni się jak burak i firanki siatkowe u okien „szalonu“ niemiłosiernie skręca.

Wicek idzie więc — przez Piaskowy zaułek, pogwizdując lekko. Szary bo już zapada zmrok z pogodnego nieba, nieszpór skończony. Pani majstrowa kawę z babką na czerwonej serwecie zastawia. Śpieszyć się trzeba, bo panna Kazia pewnie już przy oknie stoi i przez siatkę firanki patrzy a czeka...

Z małych okienek zaułka, tu i owdzie błyskają światełka, na progach domów bawią się dzieci, na środku ulicy mały piesek w piasku się kręci.

Nagle Wicek czuje się pociągnięty nieśmiało za rękaw.

Ogląda się.

Obok niego, kryjąc twarz dłonią, stoi tęga, wysoka dziewczyna w kratkowanym kaftaniku i w spódnicy z falbanami.

Wicek odpycha ją łokciem.

— Poszła, małpo!...

Lecz ona nie ustępuje.

Trzyma go mocno za rękaw surduta.

— Wicek... taże spojrzyj! to ja!...

Chłopak szeroko oczy otwiera.

— Olka!

I purpura oblewa twarz młodą, wesołego i zdrowego chłopca.

Słyszał często o siostrze, lecz powoli zaczęła być dlań po prostu mityczną postacią. Wiedział, że się „puściła“ — ale co robi, jak wygląda, czy jeszcze istnieje — nie przeszło mu to nawet po głowie.

Nagle zjawia się żywa, zdrowa, hańbą okryta, niosąca na swem czole widmo jawnej rozpusty, tolerowanej swawoli.

Pragnie się od niej odczepić za jakąkolwiek cenę, drżąc, aby go z dworku Burbów nie zobaczyli z „ladacznicą“, rozmawiającego pośrodku ulicy.

Wyrywa jej rękaw i uciekać szybko zaczyna, nieoglądając się nawet po za siebie.

Olka stoi jak przykuta na środku ulicy, nie śmiejąc gonić niknącego w cieniu brata. U stóp jej, mały piesek szczeka teraz groźnie, poszczuty przez dzieci które z przekorną ciekawością przypatrują się ulicznej włóczędze, w zmroku się słaniającej.

. . . . . .

Czatowała na niego teraz po nocy, pod parkanami, gdy wracał z roboty lub od Burbów, z czapką przechyloną na bakier i miną junacką rozwiniętego prawidłowo mężczyzny.

Nieraz przechodził mimo niej, nie widząc wśród stosu desek przyczajonej postaci, która śledziła go smutnym,

przygasłym wzrokiem.

Nie spotykając siostry na drodze, uspokoił się powoli.

Wiedział, że jest na przedmieściu i krąży po szynkach, lecz do niego nie zbliża się już więcej, pewnie dumą zdjęta.

I myśląc o niej, czuł jakąś litość nad jej osamotnieniem, litość, do której przyznać się sam przed sobą wstydził, cały przejęty pogardą dla rozpusty ulicznej, dla sprzedaży ciała i targu o miłosną pieszczotę.

Ona tymczasem, gryzła się i truła tą pogardą brata i jego ucieczką w chwili gdy w niej serce kołatało jak dzwon i piersi mało nie rozsadziło...

Wiedziała, że była bardzo nędzną istotą, lecz on, brat jej — powinien mieć dla niej więcej pobłażania, aniżeli inni.

Nieraz w szynku biła pięściami w stół krzycząc, iż dożyje chwili, w której ci, co jej znać nie chcą, do nóg upadną!... lub kułakiem groziła w stronę miasta spowitego w ciszę, jakby zaprzysięgając zemstę tym, którzy ją pierwsi w kał ten wepchnęli.

Powoli jednak myśli jej zaczęły przybierać jakieś wyraźniejsze kształty.

Wicek się od niej odwraca, bo jest biedna i obszarpana.

Gdyby miała dobrze nabity worek, kto wie, coby było!...

I od tej chwili zrobiła się chciwą, wyrachowaną, ceniąc każdą chwilę, słaniając się ze znużenia, lecz licząc oszczędzane pieniądze.

Wicek tymczasem dzień ślubu przyśpieszył i w kościele Panny Maryi Śnieżnej, wypomadowany, wyświeżony wieczną „uczciwość małżeńską“ — spoconej i ściśniętej gorsetem Kazi zaprzysiągł.

W wilię jednak ślubu, gdy po raz ostatni do swego kawalerskiego mieszkanka wracał, rozmarzony libacyami swych przyjaciół i towarzyszy, potknął się o jakąś masę do desek przytuloną.

— Ki dyabeł?

Olka głos brata poznała, lecz, drżąc cała, nie odpowiadała nic.

On pochylił się nad nią, sądząc, że to ktoś zemdlony.

— Któż to?

Dziewczyna zebrała się na odwagę.

— Ja... Olka!...

Krew uderzyła do głowy Wickowi.

— Czego ty się tu przywłóczysz? — zasyczał wściekły i groźny — czego?

Ona dźwignęła się na klęczki i za rękę go pochwycić pragnęła.

— Wicek!... ta my rodzeni!

— Nijaki ja tobie rodzony, małpo jedna!

Popchnął ją silnie, aż głową o parkan uderzyła.

— Ta za co ty mnie walisz? Wicek, za co?

— Za twoje łajdactwo!

— Ta cóż robić?... kiedy już tak jest! teraz już nikt tego nie odmieni!

Milczeli chwilę oboje.

Wiatr drzewami za parkanem kołysał.

Latarnia naftowa, na słupach za pomocą sznura zawieszona, pośrodku uliczki się chwiała, cała żółta, smutna, jakby mgłą przysłonięta.

— Ty się jutro żenisz? — zapytała wreszcie dziewczyna.

— Żenię, abo co?

— Nic!... daj ci Boże jak najlepiej!

Przekleństwo uwięzło w gardle Wicka.

— A w którym ty kościele ślub będziesz brał?

Wicek ramionami wzruszył.

— U Śnieżnej... ale, co ci do tego, ty mi czasem do kościoła nie przychodź! Słyszysz?

Dziewczyna głowę podniosła.

— Bo to... widzisz Wicek, ja sobie pieniędzy trochę złożyłam — zaczęła prędko — mogłabym porządną jaką kieckę przywdziać i wstydu byś ty nie miał!...

Wicek cały się wstrząsnął.

— Nie o kieckę tu chodzi — krzyknął — ale o ciebie samą, słyszysz!

Głowa ulicznicy pochyliła się jeszcze niżej.

— Słyszę, Wicku, słyszę!...

Pokora drgała wielka w jej głosie.

Małą i nędzną zdawała się, klęcząc tak u stóp brata, do desek parkanu przytulona.

Wicek chwilę stał niezdecydowany, czując znów litość budzącą się w sercu.

— Bądź zdrowa! — wyrzekł nieco łagodniejszym głosem i odwróciwszy się szybko iść zaczął.

Lecz ona wyciągnęła ręce i powlekła się za nim na środek ulicy, w żółtą strugę światła z latarni płynącego.

— Wicku!

Chłopiec stanął.

— Co?

— Kiedy ty niechcesz mnie na ślubie mieć... — podjęła

gorączkowo — to choć ty mi jedną łaskę zrób! Niewiele ja pieniędzy mam, ale to co jest!... weź!.. zda ci się na jutro!... weź!...

Ręce wyciągnięte trzymała wciąż, błagalną linią wśród światła się znacząc.

Wicek uczuł w piersiach dziwne ściśnienie.

— Nie! — odpowiedział — nie... pieniędzy twoich nie chcę!

Ona targnęła się, jakby uderzona biczem.

— A!... tak!... masz recht!... łajdackie pieniądze...

Lecz w nim, w tym brutalnym chłopie, zbudził się cień delikatności.

— Nie, nie dlatego! — odparł szybko — lecz ja mam dosyć, schowaj je dla siebie!

Ona uśmiechnęła się teraz radośnie.

— Schowam je dla... ciebie, Wicek!

On, oddalając się i malejąc coraz więcej w przestrzeni, powtórzył prawie bezwiednie:

— Schowaj, Olka!

. . . . . .

Trzy lata upłynęło, a Olka ciągle włóczyła się po przedmieściu zdobywszy sobie powoli nawet sympatyę ogółu.

Nazywano ją ogólnem mianem „małpy“ — lecz, że zachowywała się względnie przyzwoiciej, „grajzlerówki“ mówiły o niej:

— Choć małpa, ale porządna dziewczyna!

Zaokrągliła się, wypełniała i tylko twarz miała niezdrową bladość strawionej bezsennością i trunkami kobiety.

Ręce jej drżały, a oczy często mgła zasłaniała.

Zrobiła się dumną i nieraz w szynku chwaliła się „uczciwą“ rodziną, z której pochodziła.

Pieniądze Wicka chowała święcie i od czasu do czasu drogę bratu zabiegała, zapytując, czy oddać ma złożone w kącie swej izby papierki?

On, według usposobienia, usuwał ją przekleństwem lub dobrem słowem, cały teraz przejęty ważnością swego stanowiska — ważnością zięcia Burby, który, choć w grosze nie tak bardzo zasobny, cieszył się poważaniem całego cechu stolarzy.

Olka nie podchodziła nigdy w stronę ulicy Piaskowej, gdzie teraz mieszkał Wicek wraz z żoną i teściem.

Znów spotykała go ukradkiem, czyhając nieraz miesiącami całemi, zanim go w bramie lub w jakiem przejściu spotkała.

Powoli dowiedziała się z boku, że trzysta papierków posagu Wickowej były bajką i tylko przynętą na lep dla złapania męża.

Wicek więc pracował teraz na troje, bo stary Burba, odpoczywając na respekcie ludzkim, hebla się więcej nie imał, na zięcia się oglądając.

Nareszcie Wickowa, chodząca w ciąży — porodziła córkę, lecz ciężko zaniemogła i akuszerka doktorów wezwać kazała.

Zaczęły się ciężkie dni we dworku na Piaskowej ulicy.

Olka wszelkiemi siłami teraz brata spotkać chciała.

Wychodził często, biegał bez pamięci, do aptek, do doktorów, ale po ludnych ulicach i w dzień, kiedy ona po świetle doń przystępu mieć nie mogła.

Nareszcie Kazia podniosła się z łóżka i do sił wracać poczęła, dziecko chowało się zdrowo, Wicek odetchnął i roboty się chwycił.

Czas bo był niemały.

Wszystkie zasoby wyczerpały się i poszły na lekarstwa i doktorów.

Dziecko chrztu się domagało.

Znajomi o sute chrzciny się domawiali, stary Burba pragnął ludzi fetą zadziwić i zły stan swoich interesów w ten sposób ozłocić.

Pieniędzy ani centa nie było.

Wicek nie sypiał nocami, drażniony przez teścia, przez żonę, która także chciała sąsiadkom proch w oczy rzucić i dać im powód do zazdrości najmniej na tydzień.

Nareszcie w bramie domu, gdzie Wicek blejtramy zamówione odnosił, spotkała go Olka, zmęczona dnia tego czatowaniem na brata od samego świtu.

— Wicek — szepnęła, w kąt bramy go pociągając — powiedzże, co się tam u was dzieje?

On oparł się o ścianę, znękany, przybity walką o byt.

— A cóż ma być. Córkę mam!

Olka ręce na piersiach złożyła.

— Córkę?

— A jakże!

— Ładna?

— E!... czerwona jak rak... Gadają, że ładna!

— Do ciebie podobna?

— Albo ja wiem?

— Ale przecież!...

Badała go gorączkowo, cała podniecona tą myślą o noworodku, o dziecku śpiącem w białych pieluszkach we wnętrzu kołyski.

— Najgorsze... że chrzciny wyprawić trza — podjął Wicek — a ja...

Urwał nagle, przypomniawszy sobie do kogo mówi.

Lecz Olka podchwyciła jego słowa i porwawszy go za ręce, gorąco prosić zaczęła:

— Taże ja właśnie o to za tobą łażę... weźże ty odemnie te *swoje* pieniądze, bo jeszcze mi je jaka psiakrew ukradnie.

On bronił się mięko:

— Nie mogę, Olka, nie mogę!...

Lecz kobieta nacierała coraz gwałtowniej.

— Taże to są twoje pieniądze! Twoje rodzone, schować mi je kazałeś...

— Bogać tam!

— Ale tak! tak! sprawiedliwie... niepamiętasz jeno!

Z za pazuchy wyjęła szmatę, w której szeleściło kilkadziesiąt papierków.

— Ja je mam przy sobie już od tygodnia, lecz nigdzie cię dopaść nie mogłam! Masz, na chrzciny ci starczy!...

On odsuwał się jeszcze, cały zmieszany myślą dotknięcia się w ten sposób zarobionych pieniędzy.

Lecz kobieta instynktem odczuła myśl brata.

— Weź, Wicek, weź!... to pieniądze z uczciwego

zarobku! Jak Boga kocham! Koszule po nocach szyłam!... weź... to nie z „tego“!...

Kłamała, cała potem oblana, pełna wysiłku nerwowego.

Wreszcie, udało się jej pieniądze w rękę brata wcisnąć.

— A! Nareszcie!

Odetchnęła pełną piersią, jakby się ciężaru zbyła.

Lecz on stał przybity i upokorzony, ściskając w ręku szmatę z pieniędzmi.

Czuł, iż biorąc od Olki pieniądze, czyni krok pojednawczy i że powinien siostrę przychodzącą mu z pomocą na owe chrzciny zaprosić.

— Olka!... możeby ty... — wykrztusił wreszcie przez nerwowo ściśnięte gardło — możeby... ty... przyszła....

Lecz ona otworzyła szeroko oczy.

To, co zdawało się jej naturalnem lat temu kilka, teraz wydało się jej po prostu... potwornem. Przygryzła drżące usta i ręce kurczowo dokoła szyi zacisnęła.

— Dziękuję ci, Wicek!... nie przyjdę!... a widząc niepokój drgający na twarzy brata, dodała stanowczo:

— Przyjść nie mogę... nie mam uczciwej kiecki!

. . . . . .

Chrzciny wnuczki Burby sute były i wspaniałe.

W wieczór majowy, przy nawpół otwartych okienkach weselili się dobrani goście naokoło dobrze zastawionych stołów.

Była więc cielęcina z czerwoną kapustą, kotlety z sosem pikantnym, kawa, babka i tort z cyfrą nowonarodzonej.

Kazia, blada, lecz zdrowa, kręciła się pomiędzy gośćmi, wesoła, uśmiechnięta, pełna macierzyńskiego wdzięku.

Wicek, trochę chmurny, dolewał gościom wina, rozsypywał po kolanach kobiet bakalie z jakąś dziwną rozrzutnością, jakby chcąc cały ten częstunek jaknajprędzej załatwić.

Pod okna oświetlone ściągali ci i owi, aby się owemu traktamentowi przyjrzeć, lecz powoli pustoszało dokoła dworku, ludzie wracali do swych legowisk i do snu się kładli.

W cieniu spowite jaśminy ogródka całe kłęby woni w wilgotną noc wyrzucały, szumiąc zlekka.

Zdaleka majaczyły naftowe latarnie ubogie i smutne wśród dzikiego bzu zawieszone. Pod parkanami mknął biały kot, czając się i odskakując co chwila.

Z dworku Burby dolatywały głosy harmonijki, grał na niej Wicek, siedzący teraz na stole, z którego nawpół ściągnięty obrus opadał na ziemię. Dokoła niego kręciło się kilka par w takt polki a stary Burba z dzbanka szklanego piwo do szklanek dolewał.

Na oknach ledwo przymkniętych powiewały muślinowe firanki.

Pod jednem z nich, wychodzącem na ogród siedziała Kazia, trzymająca w poduszce kokardami upstrzone dziecko.

Matka patrzyła na tańczących machinalnie, poruszając poduszką, z której długa, lekka spadała sukienka.

Nagle zdawało się jej, że ktoś za oknem westchnął. Nieporuszyła się nawet, pogrążona w słodkiej ekstazie na

widok tak dobrze bawiących się gości.

Tymczasem za oknem uczepiona prawie o ramę stała Olka, z oczyma szeroko rozwartemi, z których dwie strugi płynęły.

Wiatr, wiewając muślinową zasłoną, ukazywał jej wnętrze wesołej, widnej izby, napełnionej rozbawionymi ludźmi.

Dźwięki harmonijki serce jej szarpały na strzępy — z piersi wydzierało się westchnienie, w jęk prawie psi przechodzące.

Widok brata, żyjącego pomiędzy inną sferą ludzi, inną niż ona — wyklęta i wydziedziczona, napełniał ją dojmującym bólem, a drobna główka dziecka w tiule i muśliny spowitego, zbudziła w niej samicę.

Wyciągnęła rękę z jękiem ku tej drobnej istocie, której stóp nawet ucałować nie miała prawa.

Westchnęła!...

Od okna porwała się Kazia i szybko podjęła firankę.

Olka nie zdążyła się cofnąć, bratowa przeszyła ją oczami.

— Wicek! — zawołała — Wicek a pójdzi tu ino!

Mąż zlazł ze stołu i, nie przestając grać, do okna poszedł.

— Co chcesz? — zapytał.

— Odpędź-no jakąś małpę, co się pod oknami słania!

Przytrzymując dziecko prawą ręką, lewą odkręciła rygiel i otworzywszy na oścież okno, miejsca mężowi ustąpiła.

On, grając ciągle, bokiem przez parapet się przechylił i wśród smugi światła dojrzał w oddaleniu bladą i spłakaną twarz siostry.

Przez chwilę milczał, grając machinalnie polkę, nie mogąc słów znaleźć dla oddalenia tej, za której pieniądze zdołał ochrzcić swe dziecko i uraczyć gości.

Żona tymczasem ciągnęła go za surdut.

— Zamknij okno, dziecko się zaziębi!

Teraz on przechylił się jeszcze silniej i nizkim, wzruszonym głosem rzucił:

— Odejdź... siostro!...

Ona wyciągnęła ku niemu ręce drżące, jakby rzucając pocałunek i odwróciwszy się wolno, odeszła w głąb ciemnej ulicy, po której kłęby woni jaśminów płynęły.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Gabriela Zapolska.*

IX.

S z a k a l e.

Przez dziedziniec zajazdu jak strzała przemknął numerowy, siejąc po drodze świeże deszczułki, które przywiązywał do kluczy.

Wpadł do mieszkania właścicielki, i prawie bez tchu zatrzymał się w progu saloniku.

— Z pod siedemnastego „sie“ powiesiła! — zawołał, łapiąc z wysiłkiem powietrze.

Właścicielka, tłusta, żółta, cała rozlana w swej włóczkowej halce, która wydymała się jej na brzuchu i biodrach a zapadała pod kolanami, otworzyła szeroko oczy.

— Co to za paskudne gadanie! Po co się miała powiesić, kiedy jeszcze rachunku nie zapłaciła!

Lecz kelner powtarzał uparcie:

— „Sie“ powiesiła!

Żydówka cmoknęła niecierpliwie:

— Zkąd Marciński wie?

— Widać ją „bez“ okno. Ma nogi o deskę oparte!

— Może sobie tylko tak w oknie stoi?

— Ale!... wisi, wisi jak mi Bóg miły, ot nogi się jej zgięły w kolanach a ręce dyndają po bokach. Wedle głowy już dojrzeć nie mogłem, bo bez okiennice wszeteczne ciemności w numerze.

Żydówka pod boki się ujęła i stała chwilkę zamyślona.

— Trzeba drzwi otworzyć, podjął znów kelner — może jeszcze dycha.

— Aj! aj! niech pan Marciński tak sobie nie śpieszy. Po co to głosić takie rzeczy? To interes psuje... Goście się odstraszą.

Żydówka podreptała do sypialni.

Za chwilę wyszła w perkalowym szlafroku, który się jej roztwierał na brzuchu i piersiach. Na perukę zarzuciła wełnianę chustkę.

Przez uchylone drzwi weszła kilkunastoletnia dziewczyna, chuda i czarna, w opiętej bardzo sukience. Włosy miała ściągnięte po chińsku i przepasane żółtą tasiemką.

Podeszła do matki.

— Gdzie mama idziesz?

— Do numerów. Kanapa się zawaliła w piętnastym! aj, co ja z tem mam!... Ty sobie Salcia pograj trochę gamy.

Roztwierała fortepian, ścierając pył połą szlafroka.

— Nie chcę gamy! — grymasiła Salcia.

— Aj Salcia! co z tobą!... ty gorzej „kaprysujesz“, niż te całe numera i wszystkie goście! Graj sobie gamy, albo jakie kawałki. Graj głośno a okna otwórz, niech goście słuchają!

Znów do okien dreptała, lecz kelner jej drogę zastąpił.

— Chodźmy pod siedemnasty!

— Chodźmy!

Na dziedziniec wyszli i okrążali furę z sianem, która na środku drogę barykadowała. Kilka kur kręciło się pod wozem, dziobiąc w żółtawej, lepkiej cieczy, co cuchnącym wężem pod kołami się kręciła. Przez otwartą wjazdową bramę widać było szary bruk uliczny i nagłe podniesienie się ścian kamienic przeciętych ciemnemi jamami otwartych

okien. Z góry płynęło szarawe światło chmurnego dnia letniego, deszcz mżył od świtu, tnąc powietrze cieniuchnemi podłużnemi nitki. Pomiędzy kamieniami tworzyły się czarniawe strumyki, które zdawały się zastygać jak ciemne pokręcone robaki.

W środkowym korpusie hotelu, cofniętym w tył, pomalowanym na jasnoróżowy kolor, prawie wszystkie okna były otwarte. Tylko na dole jedno okno miało przymknięte szaro brudne okiennice, krzywe i popaczone. Okiennice te były od wewnątrz śrubą ujęte.

Kelner palcem na okno wskazał:

— O!

Lecz żydówka wykrzywiła się ze złością.

— Ty, panie Marciński, palcem nie pokazuj! Ty mi policyę jeszcze naprowadzisz tym palcem!

Do sionki wchodowej zwróciła się, lecz stanęła nagle jak wryta, na widok myszurysa drzemiącego na klocku wśród porozrzucanych wiórów.

— Jojne! Jojne!

Jojne, rudy, mały, pokręcony, z sześcioma palcami u lewej ręki, prawdziwy „rarytas“ hotelowy, porwał się na równe nogi.

— Schlufst du?

— Naaa! schlaf i nit!...

Lecz właścicielka napadła nań, sypiąc gradem obelżywych wyrazów. Leniwiec, próżniak, drogę gościom zawala i nie wie nigdy co się w numerach dzieje.

Kelner zniecierpliwiony wszedł do sieni.

— Niech pani idzie.

— Zaraz! zaraz!

Jojne uciekł, teraz właścicielka przypatrywała się zsypanym w kąt dachówkom, któremi miano kryć oficynę. Nagle z lewego skrzydła zajazdu wypłynęła tryumfalnie „Ostatnia myśl“ Webera, kaleczona przez Salcię.

Żydówka chwilkę jeszcze słuchała, uśmiechając się radośnie:

— O!

Poczem dopiero z trudnością na trzy wschodki wlazłszy, w ciemną szyję sionki zagłębiła się.

Cały zaduch źle utrzymywanych numerów zacieśniał się tu, w tej ciemnej przestrzeni. Podłoga, ściany, zdawały się być przesiąkłe wonią potu, brudnej bielizny i piwniczej wilgoci. W kącie bielały skorupy rozbitej miski, przed drzwiami numerów porzucono buty, z których jeden w niepewnem świetle płynącem z wysoko umieszczonego okienka, miał świeżą zelówkę jasno na czarnem tle podłogi się znaczącą. Cały ten zakąt, w którym nędza, występek, rozpusta, często wykwintne nawet cudzołóztwo, odwiedzało w przelocie, całe to schronienie dla smutnych, wydziedziczonych, bezimiennych, czasem jeszcze wilgoć więzienia w swem ubraniu ze sobą wnoszących, koncentrował się głównie w tym pawilonie, w dolnych numerach, gdzie stawali najczęściej ludzie wybladli, wychudli, mówiący cicho, nie domagający się nigdy świeżych prześcieradeł, szuwaksu na buty, lub wody do karafki. Jakaś tajemniczość włóczyła się wzdłuż tych ścian rzędem drzwiczek przeciętych, jakiś podejrzany handel, przywodzący na myśl połączenia potworne, kurcze głodu

przed światem tajone, łzy dziewczyny schańbionej i oczy starca powleczone mgłą rozpusty.

Lecz już kelner stał koło drzwi siedemnastego numeru, dzwoniąc kluczami.

Żydówka doń dopadła.

— Cicho! cicho! niechaj nie słyszą!

Spojrzała przez dziurkę od klucza, ciemno było zupełnie, wyjęła z peruki szpilkę podwójną i zanurzyła w głębię.

— Nie ma klucza! — wyszeptała.

Numerowy od pasa kółko odpiął, na którem brzęczały klucze.

— Poszukam!

Z wielką wprawą klucz znalazł, w zamek go włożył i dwa razy przekręcił.

Drzwi otwarły się, skrzypiąc.

* *
*

Łóżko stało zasłane, nietknięte, wyciągające swe brudno czerwone fałdy kołdry i biały kwadrat poduszki w półcieniu, jaki panował dokoła.

Od okna płynęły jaśniejsze smugi a przez wycięty otwór w okiennicach padał snop światła przecinający brutalnie ciasną przestrzeń numeru. Snop ten, biegnąc ukośnie, padał na stół pokryty różową bawełnianą serwetą, na której stała szklanka do połowy wypitej wody, karafka, kawałek sznura ciemno czerwonego, odpalonego na jednym końcu i trochę kwiatów sztucznych, pogniecionych i zwiniętych w kłębek.

Bliżej okna leżało przewrócone krzesełko, z którego materac wypadł na środek pokoju.

Reszta przedmiotów tonęła po kątach w cieniu.

I tylko jeszcze piec występował masą ciężką, białą, jak zwierz uśpiony w kącie ciasnej klatki z paszczą szeroko otwartą, z której jak język czarny wisiały na jednej złamanej zawiasie zardzewiałe drzwiczki.

Lecz u okna jakaś czarna, nieruchoma zwieszała się postać, smutna i nędzna. Źle dopasowane okiennice właśnie tam filtrowały szeroką szparą światło. W szparze tej najdokładniej dostrzedz można było ciemną głowę kobiety, obramowaną jaśniejszym paskiem światła i dalej korpus zwieszający się ciężko z rękami opuszczonemi i wykręconemi konwulsyjnie ku ciału, z nogami podkurczonemi na desce okna.

Marciński rękę wyciągnął.

— Wisi! o tam w oknie!

Żydówka oczy zmrużyła.

— Niechno Marciński poczeka! Może to takie udawanie, bo to z... takiemi to różnie się trafia. Panno! panno! zleź panna z okna!... zleź zaraz!...

Lecz postać czarna nie drgnęła nawet, wciąż nieruchoma w swej strudze jasnej w ramę ją obejmującej.

Żydówka podsunęła się bliżej.

— Niech Marciński okiennicę jedną uchyli, a ostrożnie coby z „dworza“ widać jej nie było.

Marciński szybko podstąpił, na okno się wspiął i rękę po za trupa wyciągnął. Okiennice powoli się uchyliły. Szeroka szczerba światła doskonale teraz oblała straszną, zsiniałą

twarz samobójczyni.

Numerowy w pierwszej chwili oczy przymknął, znalazłszy się tak blizko z trupem w ciasnej niszy okna. Powoli jednak powieki podniósł i ręką policzka zmarłej dotknął.

— Jak lód — wyrzekł.

Z okna zeskoczył i stał teraz bezczynnie z opuszczonemi rękami, patrząc ciągle w wiszącą.

Nagle żydówka wybuchnęła:

— A niech ją dyabeł porwie! Pięć dni numer trzymała i teraz jeszcze go zapaskudziła! aj! aj!... kto to teraz tu stanie! A policya! a gwałty!... a stancya niezapłacona!

Kelner milczał, jakby zahypnotyzowany widokiem martwej dziewczyny. Była przecież ohydna; cała sina, z oczyma szeroko rozwartemi, prawie czerwonemi od krwi nabiegu, z masą bezkształtną języka wysuwającego się z jej ust granatowych i spuchniętych. Tylko od tyłu głowy zwieszały się przepyszne wspaniałe warkocze, czarne i lśniące, na wpół splecione. Jeden z tych warkoczy zsunął się naprzód i wisiał w przestrzeni a lekko przez wejście na okno numerowego poruszony, chwiał się jak warkocz płaczącej brzozy, z czarnej kolumny spadający.

— To ci włosy — wyrzekł nareszcie.

Lecz żydówka lamentowała.

— Ny, kto mi teraz zapłaci? Kto? Co ja mam za moje dobre serce, żeby taką włóczęgę z końca świata do numeru brać! A młoda jeszcze była, zdrowa, po co jej było taki koniec ze sobą robić? aj! aj!...

Do stołu się zbliżyła.

— Lichtarz mi popsuła, o!... świeca się wtopiła, niech ją choroba ciśnie!...

Na stole stał lichtarz mosiężny, cały zielony, ze stearyną świecy szeroką po brzegach rozlaną. Widocznie samobójczyni pozostawiła na stole płonącą świecę. Przepalony sznur, którego druga połowa posłużyła za śmiertelny stryczek, należał kiedyś do szlafroka lub bluzki. Na blasze przed piecem walały się popalone kawałki listów i papierów.

— Marciński! co ona jadła? — spytała nagle żydówka.

— Kawę; codzień dwie szklanki jej nosiłem!

— I bułki?

— A jakże!...

— Ny co ja tera pocznę, kto mi za tę kawę zapłaci?

W kącie ciemnym dostrzegła małą skrzynkę.

— Może tam co jest. Niech Marciński posunie!

— Nie wolno ruszać!

— Głupi Marciński jest! Mnie wszystko wolno, bo mnie się należy i ja pierwsza do długu jestem!

Marciński kuferek pod światło przysunął.

* *
*

A w kuferku tym był cały dramat ciężki i bolesny, cały dramat życia kobiety wykolejonej, rzuconej jednem przyśpieszonem tętnem krwi w falę życia straszną i nielitościwą.

Dziewczyna ta musiała być statystką w jakimś teatrzyku,

bo jeszcze „krakowianka“ brudna i kawałkami glasy naszyta, mieniła się wśród reszty szmat i szmatek. Atłasowe pantofle baletowe, jak dwa opadłe i martwe motyle, różowiły się wśród fałd połatanych koszul. Trochę paciorków brzęczało na dnie kufra, a pomiędzy niemi rozkładał się nagle krawat męzki atłasowy, jasny-lila z czarną przetartą dziurą od wkładania tombakowych szpilek.

Krawat ten zdradzał wiele, jakąś miłostkę łatwą do zawiązania w cieniu kulis, w tem bezustannem zbliżeniu mężczyzn i kobiet, w tym kodeksie moralności przenicowanym i ułatwiającym nieuprawnione związki. Krawat ten był tani, podszyty perkalem, kupiony z wystawy ubogiego sklepu na jakiejś oddalonej uliczce. Mężczyzna, który go nosił, był biedny i był bezwątpienia aktorem, bo na atłasowym węzle świeciły się żółtawo-różowo plamy szminki. Był trywialny i niewybredny w swych gustach, dowodził tego kolor krawatu a brutalny i pełen namiętności, gdyż tkanina cała porwana była gwałtownie wyszarpywaną szpilką.

Lecz żydówka, mrucząc gniewnie, zanurzyła dalej rękę. Z powodzi lichych szmat wydostała kilka fartuchów płóciennych, dużych, ordynarnemi nićmi widocznie na wsi uszytych. Na jednym z nich wisiała jeszcze gałązka uczepionego chmielu zeschła i zczerniała. Inny miał na sobie kilka uczepionych bodiaków. Nagle coś zaszumiało. Z jednej kieszonki wysypało się trochę pośladu dla kur. Widocznie dziewczyna, zerwawszy z życiem teatralnem, przyjęła służbę w jakimś wiejskim domu. Lecz niedługo tam była, może dowiedziano się, że dawniej „pokazywała

komedyę“ i wypędzono ją od razu. Tak często bywa. Panie ze wsi nie lubią aktorek...

Jeszcze kilka par pończoch sztucznie pocerowanych wyrzuciła z kuferka żydówka, jakiś stanik ciemno granatowy przerobiony pod szyję, ze śladami huzarskich galonów na plecach i na piersiach, wreszcie waporyzator rozbity z pękniętą gumą i zerwaną siatką, obrazek Matki Boskiej oprawny w blaszane ramki, kłębuszek włóczki z zaczętą szydełkową rozetką, patelkę całą czarną i spaloną od ognia, wreszcie pustą, wytłuszczoną portmonetkę. To było wszystko, lecz z tych smutnych gałganów trup cały odżywał i opowiadał gorzkie dzieje kobiecej doli. Dziewczyna ta żyła widocznie z jednym ze swych kolegów, była pracowitą i oszczędną. Pełniła przy mężczyźnie obowiązki kucharki i posługaczki.

Miała jeszcze trochę wiary, którą musiano wpoić w nią w domu. Była nerwową i lubiła denerwować się sztucznemi zapachami. Miała grunt najuczciwszy i starała się po rozstaniu ze swym kochankiem, wywalczyć sobie jakieś stanowisko wśród ludzi. Pracowała i musiała czuć się bardzo szczęśliwą. Wypędzona, wpadła w nędzę i rozpacz bezdenną. Głód, opuszczenie, smutek, pchnęły ją w otchłań zwątpienia, które kończy jedynie... śmierć.

Młoda, lecz z ciałem zniszczonem nędzą i przedwczesną miłością — nie umiała iść dalej.

Wśród nocy, w zaduchu i ochydzie żydowskiego zajazdu postanowiła skończyć to, co się nazywało życiem.

Przepaliła sznur, bo przeciąć go czem nie miała, i bez łzy, bez żalu, z ustami nerwowo zaciśniętemi założyła go

sobie na szyję.

Ostatnie wrażenie, jakie ze sobą w dal ciemną uniosła, był żółty, drgający płomień dogasającej na środku izby świecy.

* *
*

Żydówka kopnęła nogą kuferek.

— Ani gałgana nawet wybrać! Tego nawet handlarz za dwa grosze nie zechce!...

Powstała powoli i do trupa się zbliżyła, oglądając zniszczoną sukienkę, w jaką dziewczyna była ubrana.

— Może ona w kieszeni co ma?

Rękę wyciągnęła, ale prędko cofnęła ją i po za plecy ukryła.

— Niech Marciński zobaczy!

— Nie wolno!

— Głupi Marciński jest.. jak się co znajdzie, to i Marcińskiemu się dostanie za usługę. Przecież Marciński na piwo nic nie dostał.

Kelner pokręcił głową.

— A no racya jest, zobaczę!

Do kieszeni trupa sięgnął, lecz pustą była prawie zupełnie. Trup się zakołysał. Żydówka z rękami złożonemi na brzuchu przyglądała się niecierpliwie.

— A nie „stłuknij ją“, Marciński.

— Wisi mocno! niech się pani nie stracha!

Oswajali się powoli z tym trupem smutnym i stygnącym

w zaduchu źle utrzymanej izby.

— Niema nic?

— Nie.. ino blaszany naparstek.

Żydówka znów zaklęła.

— Daj pan Marciński naparstek! Salcia swój zgubiła, nie potrzeba kupić.

Nagle zamilkła i bliżej do okna postąpiła.

Trup, kołysząc się, odsłonił nogi.

Nowe porządne buciki, zapięte na guziczki, ukazały się oczom właścicielki hotelu.

— Niech pan Marciński zlezie!

Lecz Marciński dotykał wiszącego warkocza i mlaskał językiem.

— Aj! aj! co za włosy!

— Marciński musi zleść!...

Kelner warkocz z żalem z ręki wypuścił.

— Niech pan Marciński pójdzie cicho do mojego mieszkania i przyniesie duże nożyce. Trzeba ją oderżnąć, może jeszcze żyje, to się ją potrze!

Kelner spojrzał w oczy żydówki.

Przez kilka chwil mierzyli się wzrokiem, a oboje mieli w źrenicach jakieś płowe, migocące światełka.

Wreszcie, kelner ku wyjściu się skierował i, skrzypiąc drzwiami, znikł w głębi sieni.

Żydówka, pozostawszy sama, obejrzała się kilkakrotnie, poczem wyciągnąwszy jaknajdalej ręce, na palcach do trupa podeszła i szybko guziki bucików rozpinać poczęła. Nos jej się zwęził ze strachu, usta zagięły się w półkole. Na czoło pot wystąpił. Ona, sapiąc, przechylona, ciągnęła dalej swą

pracę, zdzierając ze zmarłej obówie, szarpiąc trupa, nie czując prawie chłodu nóg zesztywniałych, które pozbawione osłony, zabielały nagle jasną barwą szarych, pocerowanych ciemną bawełną — pończoch.

Dokonawszy swego dzieła, właścicielka cofnęła się szybko, otworzyła drzwi i z siłą cisnęła daleko, w głąb korytarza buciki. Stuknęły o podłogę, jak uderzenie młotka o wieko trumny. Czas jednak był już wielki. Marciński powracał, kryjąc pod połami kurtki duże nożyce.

Żydówka pot z czoła otarła.

— Panna Salcia gra?

— Panna się bije z kucharką!

Weszli znów do numeru i teraz już sam Marciński podszedł do okna.

— Niech się pani nie zbliża, ja ją sam obetnę.

Wlazł na okno, posunął trupa i zasłonił sobą prawie całą postać zmarłej.

Żydówka o drzwi oparta nie patrzyła, cała zajęta myślą, czy buciki samobójczyni będą dobre na nogi jej córki.

Tymczasem nożyczki zgrzytnęły. Z cichym chrzęstem obsunął się wzdłuż pleców trupa obcięty warkocz. Marciński zwinął go zręcznie i schował do kieszeni kurtki.

I znów niby chrzęst — i głowa dziewczyny ukazała się teraz ostatecznie zeszpecona, z krótką nierówną linią rozsypujących się na karku włosów.

Lecz Marciński ku drzwiom się zwrócił.

— Lepiej nie ruszać, policya się wda i będzie kram, że my ją poruszyli. Jaką naszli, taką zostawmy!

Żydówka skinęła głową.

— Ma Marciński „słusznie“! Teraz musi iść po strażnika! Aj aj!... jakie to zmartwienie!...

Kelner z okna zeskoczył i ku drzwiom podążył.

Wyszli oboje na korytarz i Marciński zaczął dobierać klucze.

Żydówka, buciki niewidocznie podniósłszy, za chustkę ukryła.

— Czego Marciński ją zamyka? — zapytała kierując się do wyjścia.

— Prawda! — odrzekł kelner — przecież nie ucieknie!

I roześmieli się oboje.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Gabriela Zapolska.*

X.

P a p u z i a.

— Zagwizdaj, Papuziu!...

Minuśka porwała się z jego kolan i nagle w półcieniu, już z okien płynącem, zabieliła się jak zjawisko w swej masie białych zwiędniętych koronek i pomiętego batystu.

— Nie!... nie!... nie chcę!

Ale on, nieubłagany — wyciągnął rękę i ujął nagie ramię dziewczyny w swe suche palce nerwowego blondyna.

— Zagwizdaj, Papuziu!...

— Ty wiesz, to dla mnie cholera to gwizdanie!

— Zagwizdaj, Papuziu!...

Ton jego mowy był rozkazujący, powolny, mięki a przecież siekący jak uderzenie szpicruty.

Dziewczyna próbowała się jeszcze opierać.

— Nie!... wolę z tobą rozmawiać!

On nieznacznie ramionami ruszył.

— Zagwizdaj, Papuziu! — powtórzył po raz czwarty.

Stalowo niebieskiemi oczami spojrzał w drobną twarz Minuśki, która ledwie przeświecała przez całe kłęby pokręconych czarnych włosów.

Oczy te, jakby wieczną łzawą mgłą pociągnięte, zużyte były i dziwnie rozwiązłe.

Jakaś nabożna, dystyngowana rozpusta gnieździła się w tych źrenicach koloru dziewczęcej sukienki.

Były to oczy westalki, powracającej ze schadzki do swej świątyni.

Teraz już Minuśka, pod wpływem tego spojrzenia układała się powoli na kolanach mężczyzny, pochylając w tył głowę, tak że cała kaskada czarnych włosów spłynęła ku ziemi i kwiatów dywanu dosięgła.

I tylko biust jej biały, foremny, jakkolwiek trochę w górze spłaszczony, rozciągał silnie cienki batyst szlafroka, związanego lekko białą w pasie wstążką.

Reszta ciała zaznaczała się silnie wyraźnemi konturami i dobrze wygiętą linią od bioder odcinała się jasno od ciemnego obicia nizkiej tureckiej sofy.

Z bosych stóp dziewczyny spadły małe pantofle z różowego atłasu, trochę brudne i zgniecione.

Nogi te wyciągnięte z nieruchomością trupią, żółte były, wygięte silnie jak nogi tancerki, przecięte błękitnemi żyłami i cieniem czarnych włosów rosnących na zgięciu palców.

W niewyraźnym mroku szarej godziny — objawiały się jak nogi kobiety zmęczonej, głupiej, nerwowej, kobiety bez silnego punktu oparcia a mimo to dobrej, miękiej, uległej — idącej ślepo za podmuchem losu.

Cała wreszcie postać Minuśki, wyciągniętej na strzyżonej tkaninie oryentalnego mebla, miała w sobie to bierne poddanie się fatalizmowi, to opuszczenie rąk w walce z życiem, to zagaśnięcie poczucia rozkoszy, temperamentu i kaprysów kobiecych.

W nieruchomości swojej, w tej ulubionej pozie wyciągniętego w trumnie trupa — znać było dążenie bezwiedne ciała do spoczynku, a z pod długich rzęs przymkniętych migały tylko białka oczu. Wszystko w niej

dążyło i rwało się ku ziemi razem z kaskadą czarnych włosów, razem z fałdami białego trenu, który ją obwijał zimną draperyą grobowego całunu.

Siedzący w kącie sofy mężczyzna, smukły, correct, silnie wyczesany — z brodą okrągłą zmysłowego samca opartą na sztywnych rogach lśniącego kołnierzyka, w kańciastych liniach ciała, w kolanach silnie złożonych, przypominał pozę Ozirysa wciśniętego w szeroki stalowo-granatowy garnitur angielskiego kroju. Nawet kurtka szczelnie na dwa rzędy zapięta, opinała silnie pierś zapadłą jak mogiłę wszystkich pragnień i porywów...

Całe ciało, długie, złożone, jakby na zawiasach, przylegało doskonale do linij i zagięć sofy prostej, twardej, równej — pomimo banalnego kształtu naśladującego wschodnie stosy poduszek.

Tylko kolana ostrym kantem wystawały brutalnie, podnosząc silnie szewiot spodni, które opinały długie, ledwo zaznaczone łydki, niekształtne, gubiące się bez silniejszego spadku, łydki kamiennego bożka cisnącego się do twardej swego tronu podstawy. Całe ciało — zakończone wydłużonemi a płaskiemi stopami, obutemi zimno w angielskie matowe obuwie równe było — ostro skrajane, kańciaste, podobne do wybornie spreparowanego szkieletu, osadzonego na doskonałych zawiasach.

Tylko głowa okrągła i twarz pokryta mięsem, kłóciły doskonałą harmonię dalszego rusztowania.

Był to kadłub angielskiego charta ze łbem obwisłego buldoga.

Dolna warga trochę wilgotna i jakby niepewna,

zwieszała się ku dołowi, odsłaniając dolny rząd zębów żółtych i od tytoniu sczerniałych. Była to warga „viveura“, który lata całe musiał powoli nasycać namiętność swych podrażnionych zmysłów, zamykając oczy i otwierając usta. Maska jego nieruchomej twarzy urobiła się już w takie rozprzężenie bezwiedne muskułów, że choć młodość walczyła jeszcze z nałogiem, ściągając skórę ze skroni, to już cały dół twarzy a nawet skóra pod oczami fałdowała się w bezsilne bruzdy, zmysłowe, zwierzęco-apatyczne.

Leżąca na jego kolanach kobieta miała w swej twarzy przyschnięty znów wyraz namiętności, nagle spieczonej i w ogniu strawionej. I u niej, tak jak i u niego ciało nie harmonizowało z głową. Tors jej miał pełne i doskonałe rozwinięcie kobiety doszłej do szczytu siły, biodra rozłożyste i podatne miały w sobie mięsistość hiszpanek, lecz już od silnych jeszcze ud począwszy, linia nóg zwężała się nagle, schła, drobniała brutalnie. Kończyny były słabe, anemiczne, wyschłe, obciągnięte trupią skórą.

Tę samą anomalię przedstawiały i ręce.

Przedramię wspaniałe, doskonale piękne, już od łokcia miało wązkość dziwną, niepewną, nieusprawiedliwioną a same dłonie i palce, długie i kościste, z pofałdowaną na zgięciach palców skórą; zwieszały się ku ziemi jak ręce rozpaczliwie smutnego szkieletu.

Z karnacyą skóry przeświecającej przez oczka koronek i pajęczą tkaninę batystu, było to samo. Twarz blada, żółta — jakby pocentkowana sinemi podkowami, podkreślającemi przymknięte oczy i rozciągającemi się aż na silnie wyciągniętą skórę nosa, nie miała ani śladu purpury warg,

które białe, wązkie, postrzępione, niknęły prawie w bladej masce.

Lecz już szyja, tracąc zżółkłe tony, rozpływała się w różowawo lśniącej barwie piersi lekkiej, wiosennej, młodej — mającej w sobie doskonałą miękość pastelu.

Pod bielą batystu, różowa ta barwa ciemniała coraz dalej, zagłębiała się, to znów tryumfalnie przechodziła w atłasową białość na wypukłościach bioder.

To przeświecanie jutrzenkowej barwy przez delikatny deseń koronki, miało w sobie czar dziwnie ponętny, niepewny, pełen tajemniczej siły doskonałej piękności kobiecego ciała.

Jakby pod cienką warstwą śniegu, rozsypane liście blado różowej kamelii, tak migotały szmaty ciała Minuśki w obramowaniu delikatnego desenia cienkich walansyenek.

Lecz już — coraz dalej się posuwając — różowy ton bladł, siniał, zieleniał, żółkł na kolanach dwoma plamami i do stóp się zsuwając, w trupią barwę przechodził.

Jedynie jeszcze podeszwy jakąś dziwną anomalią różowiły się lekko, trochę starte zbyt ciasnem obuwiem, zaznaczając się w przestrzeni barwniej lekką kroplą krwi, roztartą zdaje się na ich powierzchni.

Cisza była dokoła.

Cisza wielkiego miasta, które huczy w oddali a przecież do mieszkań ludzkich hukiem tym nie wpada, pozostawiając niemal grobowy spokój tym — którzy spokoju tego pragną.

Przez białe zasłony okien słaniała się blado-błękitna, równa — nieprzecięta niczem barwa zachodzącego nad

dachami domów wiosennego słońca.

Barwa ta — wsuwając się do pokoju — jak elektryczny blask wykrawała kontury banalnych mebli, porozstawianych po kątach mieszkania. Oryentalna tkanina mebli mieniła się jaskrawemi plamami i żółtą pstrocizną frendzli. Duże, weneckie lustro — pochylone nad sofą — prezentowało się matowo szarym kwadratem, na tle trywialnego ciemnego obicia kryjącego ściany. Po kątach, na etażerkach wykrzywiały się japońskie lalki pod parasolami, które roztaczały ciemno szafirowe lub czarne koła, prawie pod samemi rogami trochę przybrudzonego sufitu.

Po środku, jak ptak nagle nieruchomy, krwawiła się czerwonością szyb i stalowemi pokręconemi liniami obwodów wenecka latarnia, okapana stearyną, bielącą się na matowej płaszczyźnie podstawy.

W jednym z kątów żółcił się duży makartowski bukiet, smutny, przypruszony pyłem, z lasem aksamitnych szyszek, sterczących wśród pęku traw połamanych.

Niefroterowana, trochę brudna podłoga, pokryta zniszczonym dywanem, wystawała jasnemi plamami koło progów i okien, które krzywo zagłębiając znaczyły się wystającemi z po za białych zasłon blaszanemi rynienkami do zbierania rosy.

I w tej banalności zimnej, bazarowej, pretensyonalnej, wciśniętej nagle w mieszczańską klatkę ciasnych, taniem obiciem oblepionych ścian starej, żydowskiej kamienicy — nie było nic z duszy kobiety zamieszkującej te ściany.

Minuśka była ptakiem wędrownym i o klatkę nie dbała.

Przez uchylone drzwi dostrzedz można było nieposłane łóżko — rozkopane, rozrzucone, w nieładzie jeszcze nocnym, ciemniejące pod stosem zrzuconych sukien i kołder.

Okno, przysłonięte szczelnie szafirową zasłoną, nadawało całemu pokojowi pozór grobowej kaplicy.

Reszta tonęła w cieniu.

Tymczasem w saloniku błękitne światło okien zaczęło stopniowo szarzeć i bielić, jakby przez matowe a brudne szkło przepuszczone.

Dwie białe takie smugi — jak charty potworne przypadły do podłogi, słały się po dywanie i ginęły w oddali, tuż pod stopami nieruchomie siedzącego mężczyzny.

Końce palców u ręki Minuśki zwieszającej się z sofy, maczały się w tej martwej jasności i zżółkłe paznogcie, pocentkowane białemi plamkami, zdawały się być płatami tajemniczych nenufarów z tafli stygnącej wody wyzierających.

Dziewczyna przymykała powieki i z przechyloną w tył głową zdawała się tężyć w jakiemś odtrętwieniu.

Lecz młody mężczyzna szarpnął ją znów za ramię.

— Zagwizdaj, Papuziu!

Dziewczyna westchnęła i cicho — powoli, jakby płynąc z oddali, rozległ się drżący menuet, gwizdany jakby dziobem papugi, niepewnie w dal rzucającej nuty.

To Minuśka gwizdała, leżąc ciągle przechylona, nieruchoma w obramowaniu swych czarnych włosów, które się z przepychem po dywanie walały.

Mężczyzna, zmrużywszy oczy, w gwizd ten się

wsłuchiwał z dziwnym wyrazem koło ust obwisłych. Nareszcie rękę wyciągnął i zimnemi palcami po oczach Minuśki przesunął.

— Nie płaczesz? — zapytał.

Ona gwizdać przestała, brwi marszcząc.

— Cóż u dyabła, codzień nie mogę!

— Postaraj się!...

* *
*

Poznał ją w Łodzi, w sali Selina, gdy złym akcentem francuzkim śpiewała jakąś piosnkę.

W podrabianej tej francuzce odczuł odrazu łatwą i tanią zabawę i gdy otulona płaszczykiem zeszła z estrady do pustej i białej od gazu sali, zbliżył się, wiecznie nienasycony w tej pogoni za kobietą, jakkolwiek oddawna już niedoświadczał nic w dotknięciu nagich ramion, lub rozwianych włosów.

Przez nałóg, przez przyzwyczajenie szedł już teraz, zaczepiał, wyciągał rękę, ciągle spragniony gorętszego wrażenia, czegoś, coby nim targnęło, coby zamieranie w nim rozkoszy wstrzymało choćby na krótką chwilę.

Minuśka nie zajęła go więcej od innych.

Była zepsutą, wesołą, pustą i trywialną.

Mówiła „psia krew“, biła się po biodrach, pokazywała żydom na ulicach język i kłóciła się w restauracyi z kelnerami.

Nie różniła się niczem od innych kobiet i drażniła w nim

zamierającego trupa, lecz drażniła niemile, w bolesny, dokuczliwy sposób.

Przez kilka dni, które bawił w Łodzi, widywał ją codziennie, coraz więcej zniechęcony i pół senny.

Dziewczyna, sądząc że śmiechem i żartami zdoła rozchmurzyć to znużone czoło, roztrząsała przed nim całą torbę swych dowcipów, pozbieranych w chwilowych miłostkach, które prowadziła w swem życiu.

Lecz on — ciągle milczący, zimny, kanciasty, siedział przed nią, wpatrzony w przestrzeń szklannemi oczyma trupa.

Chwilami ramionami wzruszał i mówił jedno tylko słowo:

— Cicho!

Dziewczyna milkła, zdjęta nagłą jakąś trwogą przed tą ciszą nakazaną jej w ciasnej przestrzeni zasłoniętej łożki, po za której czerwonemi firankami widać było jasną przestrzeń sali i ciemny otwór sceny.

Raz jeden ośmieliła się powiedzieć:

— To głupie takie postępowanie!

I uzbrajając się w odwagę, dodała:

— Funta kłaków niewarte!

On tymczasem patrzał na nią, skąpaną w jasnej powodzi gazu, płonącego w stłuczonej bani, zawieszonej u sufitu łożki.

Klęczała przed nim na małej sofce obitej ciemną brokatelą, i podniosłszy obnażone ręce, wiązała swe czarne włosy długą białą wstążką.

Była dnia tego ubrana już do pantominy, mającej

kończyć przedstawienie, a w której grać miała rolę panny młodej.

Długa, biała muślinowa suknia natykana kwieciem pomarańczowem dawała jej pozór umarłej dziewicy, którą lada chwila złożą na śmiertelnej pościeli. Twarz jeszcze nieubielona, żółta była i martwa w tej białej koronek powodzi.

Opierała się biodrem o stół nakryty białym obrusem, na którym walały się resztki kanapek i kieliszki koniaku.

Związała włosy i powoli, z pewnym leniwym wdziękiem na poduszki sofy upadła.

— Funta kłaków niewarte! — powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

Z po za uchylającej się firanki dolatywał przenikliwy głos dziewczyny, śpiewającej na scenie drżącym sopranem:

„Demande aux lys, s’ils aiment la rosée“.

On ciągle patrzył na nią, dziwiąc się i zazdroszcząc tej żywotnej sile, która kazała jej poruszać się, śmiać, denerwować i wyrzucać z siebie całą kaskadę słów i chęci.

Wiecznie i ciągle od pewnego czasu obserwował tak wszystkich, sam ciągle bezsilny, pełen przewidzeń, halucynacyj, widząc koniec wszystkiego, nie mogąc zbudzić się z odrętwienia zmysłów, w jakie popadał z dniem każdym.

Ogarniał go smutek bezdenny, z którego sobie sprawy zdać nie umiał, szukając w złem trawieniu przyczyny głównej tej zmiany, podniecając się fizycznie i moralnie,

pragnąc rozpaczliwie wyjścia z tej nicości, w którą powoli zapadał.

Spełniał automatycznie funkcye swego urzędowania w jednem z towarzystw kredytowych, lecz nocami, wybladły i z gałką swej laski przy ustach, zjawiał się jak mara blada i milcząca, z niemą skargą na swój zgon duchowy, w zadymionych lokalach restauracyjnych, w ochrypłych salach koncertowych, w zaułkach nocnej rozpusty — goniąc coś ciągle w milczeniu szukając, trawiąc się, stygnąc od wnętrza.

Bezwiednie lgnął do kobiet, jakby w nich szukając odrodzenia, lecz — te, do których miał przystęp łatwy i z góry zapewniony — wstrząsały nim swym śmiechem, banalną pieszczotą i coraz ciemniejsze koło tworzyły dokoła jego osoby.

Od czasu do czasu, opowiadały mu historyę swego życia, zaczynającą się niezmiennie od tych słów:

„Nie miałam jeszcze piętnastu lat i byłam zupełnie głupia, a tu..

Słuchał chwilę, sądząc że coś się tam przewinie, co mu rysę w jego lodowej powłoce uczyni — lecz prędko myśl w inną stronę odwracał.

Zawsze to samo!

Jedna historya w milionowem wydaniu!

Minuśka przecież nie opowiedziała mu swej „historyi“.

Była banalną, trywialną jak inne — mówiła mu „mój kiziu“ — i jadła rybę nożem, ale „historyi“ swej nie opowiedziała do tej chwili.

Nie opowiedziała i nie opowie — bo, oto on wyjeżdża

jutro i ma jej właśnie to powiedzieć za chwilę, skoro tylko tamta z po za zasłony śpiewać przestanie.

Doszedł już do tego stopnia osłabienia i rozdrażnienia, że nie lubi i nie umie mówić, gdy kto śpiewa.

Tymczasem Minuśka nalewa sobie kieliszek koniaku.

— Wiecznie pan jesteś smutny jak sum — mówi, pijąc fałszowaną ohydę powoli, jakby z rozkoszą — dobrze że masz na smucenie się, to jeszcze pół szczęścia!

Odstawia kieliszek i znów wciska się w poduszki sofki.

— Może to i taka moda być na smutno — ciągnie dalej, rurkując falbanki sukni na palcach — znałam jednego pana od wyścigów, także się tak wiecznie gryzł i dręczył. Podobno coś kiedyś tam komuś ukradł, to go jadło!..

Roześmiała się głośno i zastanowiła chwilkę.

— No, to już było przez sumienie. Prawda? Ale pan? Co ci to brak!... Mój Boże! Żeby to mnie panem być! czybym ja kiedy się zasępiła, co?

Po za zasłoną śpiewaczka umilkła i z sali dolatywał szmer pomieszanych głosów, odsuwanie krzeseł i szczęk kufli rozstawionych na stołach.

— Masz pan co jeść, gdzie mieszkać, masz pewnie rodzinę, ojca, matkę a może i żonę — a takiś pan skwaszony ciągle. Nie powiem, żeby to ja, co to jak ten psiak bez gniazda po świecie się tyram i już z rozpaczy do francuzów przystałam i oto się Falfandierowej wysługuję. Psia krew! dobrze że mnie trochę po francuzku nauczyli, to i co zarobię na to marne życie... oj! marne!

Znów po kieliszek sięgnęła, z butelki nalała, wypiła.

W pół drogi ręka jej w fałdy sukni opadła.

Była już na wpół pijaną.

— Psia krew! — powtórzyła raz jeszcze i głowę w tył przechyliła.

Ktoś drzwi w sali otworzył.

Gaz w kuli zaczął migotać, chyląc się na obie strony.

Rozpaczliwy jakiś smutek wypełnił małą przestrzeń ložki, jakaś grobowa pustka, pomimo tłumu poruszającego się po za firanką.

Mężczyzna w swej automatycznej sztywności zastygły, siedział nieporuszony w kącie sofy, zdając się wydzielać z siebie ten chłód trupi i mrozić nim ożywioną jeszcze niedawno dziewczynę.

Teraz było już ich dwoje smutnych, niemających dachu po nad duszą.

I Minuśka czerniała, żółkła, pozbywając się swej maski sztucznego uśmiechu, odsłaniając nagle swój szkielet już pruchniejący nieszczęśliwej, walczącej z życiem istoty.

Leżała nieruchoma, z rękami obwisłemi, z ustami opuszczonemi w kącikach bolesnem skrzywieniem. Nagle wargi ściągnęła nerwowym skurczem i lekko, cicho gwizdać zaczęła.

Był to gawot popularny, łatwy do pochwycenia i ciągnący się cicho jak srebrna nitka pajęcza.

W rozkołysaniu się gazu, gwizd ten leciuchny motał się z przejrzystością dokładną, wznosił się, opadał i znów rozpoczynał.

Nagle umilkł, rozpływając się w urywanej nutce. Chwileczkę trwało milczenie.

Przerwał je ochrypły nieco głos Minuśki:

— Pan wiesz, ja miałam dziecko!

Mężczyzna nie drgnął nawet, nie odpowiedział ani słowa.

Przygasłe oczy skierował jednak na leżącą kobietę, bo czuł że ma w niej trochę odbicia swego smutku, swego zniechęcenia.

Widział, że się nie krzywi uśmiechem.

Oddychał.

— Miałam dziecko! a jakże! jak anioła taką dziewczynkę! Żebyś ją pan był widział no — co to opowiadać! Królewna! Włosy czarne, oczy szafirowe — buzia maluchna. A mądra, a ucieszna. W dziesięcioro się krajałam, aby jej nic nie brakło! Pan nie ma dzieci?

Nie było odpowiedzi.

— Nie ma pan? Dobrze pan robi. Dzieci to wielka radość, ale co też to za smutek! Serce ledwo nie trzaśnie jak to ginie! Psia krew... co to za urządzenie na świecie!... Miała na imię Maryśka! Ja ją nazywałam Marychna. To ładnie, prawda? Mówiła już, chodziła, łydki miała grube, tak że ją tylko w skarpetki ubierać można było! I co pan powie! W trzy dni — ani się obejrzałam, już było po niej! słyszy pan!... po niej!...

Oboje siedzieli ciągle nieruchomo w obu kątach sofy, ona przechylona, z twarzą ginącą w tem skróceniu. Tylko podbródek drgał jej nerwowo, jak u kobiet blizkich płaczu.

— Nazywała mnie... Papuzią. A to ztąd widzi pan poszło: Posłyszała kiedyś pod balkonem na ulicy gwiżdżącą papugę. Odejść nie chciała. Wzięłam ją na ręce i gwizdałam jej w uszko przez całą drogę. Później... ciągle prosiła —

gwizdaj, Papuziu! ja gwizdałam! Ach Boże!... ja gwizdałam!

Porwała się nagle, jakby ocucona.

— Ja pana nudzę, co? Pan i tak smutny!

Lecz on rękę wyciągnął.

Jakiś cień uśmiechu przewinął się nawet koło jego warg pobladłych.

Od tej nagle otwierającej się przed nim rany macierzyństwa, w rozpustnem otoczeniu zamkniętej łożki tingel-tanglu, płynęło ku niemu powolne uspokojenie i łagodne uczucie ledwo dostrzegalnego ciepła.

— Bo to widzi pan, mężczyźni nie lubią skoro się im o takich rzeczach mówi. Tylko pan jakiś inny od wszystkich. Może to pana i bawi.

Westchnęła, znów głowę przechyliła na poręcz sofki i oczy zmrużyła.

— Widzi pan, to było dziecko takie... no, pan wie! ot takie, bez ojca. Więc to się chowało nie u mnie, ale ja zawsze co dnia przybiegałam, na ręce schwyciłam, wycałowałam gdzie mogłam. Jak już nic jej przynieść nie miałam, to choć pogwizdać przyszłam, a mała się już od progu rwała i piszczała: „gwizdaj, Papuziu! gwizdaj!...“ Było to uciechy! Cholera muzykalna była! W dziadka się wdała!...

Urwała, jakby przerażona zdradzeniem cienia tajemnic swego pochodzenia.

— No, i kiedy przyszła ta ciężka godzina, że ją śmiertelna choroba schwyciła — ja po doktorów z gołą głową latałam po nocy, w aptekach dzwonki urywałam. Raz

mnie stójkowy mało do cyrkułu nie zwlókł... Co pan chce! Dla dziecka to się w ogień skoczy! Nie pomogło! Chudła, sztywniała — i już tylko na rękach nosić ją trzeba było dniem i nocą. Ja też nosiłam i jeszcze tylko to gwizdanie mogło ją uspokoić na trochę, na krótko! I ja też gwizdałam! Łzy mi jak groch leciały!... ale nosiłam i gwizdałam!

Umilkła, i z pod przysłoniętych rzęs zamigotały nagle dwie lśniące krople łez, poczem z pochylonej w tył głowy spływały po skroniach, mocząc silnie pęki fryzowanej grzywy.

— I wiesz pan co? Umarła mi na rękach wtedy, kiedy chodziłam z nią po pokoju i gwizdałam jej cichutko, cichuteńko — prawie w samo uszko. Późno było, świeca się dopalała, w kącie chrapała kobieta, u której się ona chowała. Ja chodziłam boso, żeby nie wstrząsać rękami, gwiżdżę — ona oddycha, raz drugi oczki otworzyła — sina obrączka naokoło ust się rysuje. Jezus Marya! myślę sobie, dziecko!... gwiżdżę wciąż — ona już nie oddycha, ja głowę tracę... i ludzie mnie znaleźli z dzieckiem na ręku ciągle po pokoju chodzącą. Podobno nawet jeszcze gwizdałam!... Co pan chcesz!... Dostałam bzika. Niemiałam nic mego... ją jedną!... Oprzytomniałam później i czasem, kiedy sama jestem, mówię sobie: zagwizdaj, Papuziu!... gwiżdżę!... i płaczę!

Rozpuszczoną masą włosów otarła strumień łez płynący jej z oczów.

— Przepraszam pana — wykrztusiła wśród łkań — ja zaraz przestanę beczyć, to już... taki cholerny narów... ja zaraz będę... wesoła!...

Lecz on — zbliżył się ku niej teraz i wyciągając ręce przyciągnął ją ku sobie.

W gieście tym nie było śladu współczucia dla jej cierpienia, był tylko jakiś sybarytyzm dziwny, rozsmakowanie się w gorącości łez i w spazmatycznym skurczu wstrząsającym piersi kobiety.

Melancholiczne zwierzę zbudziło się w nim i brutalnie, bezczelnie domagało się praw swoich.

Sentymentalny samiec wyciągnął trupią rękę i na ranie serca kobiety-matki położył.

Obwisła warga zadrgała mu rozkosznie.

Oczy pokryła biała, wilgotna mgła.

* *
*

I od tej chwili żyli razem, we dwoje — schowani w kącie oddalonej ulicy, w mieszkaniu, które on urządził z banalnym komfortem biurowego parweniusza. Wszystko naokoło nich było martwe, trupie, wystygłe.

Dziewczyna z początku rwała się jeszcze do życia, walcząc z resztkami temperamentu.

Wprędce jednak ciało zniszczone latami przymusowej rozpusty — zapragnęło grobowego spoczynku.

Za ciałem poszedł duch.

Minuśka zamierała wśród strzyżonej tkaniny mebli i zakurzonych parasoli, włócząc po otomanie swe bezsilne członki anemicznej kobiety.

On — tryumfował, kąpiąc się teraz w tej cmentarnej

atmosferze, którą włóczył w fałdach swej kurtki, ciągle milczący, ponury, ziejący niczem nieusprawiedliwioną rozpaczą, zwłaszcza w chwilach wiosennego rozkwitu.

Czasem tylko dziewczyna wyrzuciła jeszcze z siebie „psia krew“ — zebrane z ust towarzyszek łatwej zabawy i ciężkiej pracy, i słowo to jak uderzenie szpicruty przecinało powietrze.

Lecz on, nie ruszając się z miejsca, przez zaciśnięte usta szeptał:

— Cicho!...

Kobieta milkła i siedzieli tak oboje w milczeniu, w rozpaczliwej melancholii dwojga zamierających organizmów, skutych ze sobą — ona, rozpamiętywając swą przeszłość, on — pławiąc się w lubieżności smutku i o trumny potrącającego wspomnienia.

I gdy jasno błękitne światło od okien płynące z szarego tonu zmieniało się w złoto-rudy blask wycinający kontury mebli a coraz dalej ku głębi pokoju rozpływało się w czarniawo-szafirowym cieniu — on pochylał się nad martwiejącą w trupiej pozie dziewczyną.

— Zagwizdaj, Papuziu!...

Ona gwizdała, z początku niechętnie, potem coraz więcej zatapiając się w cichej nutce melodyi.

Trup dziecka wyschły, zżółkły, biedny — zjawiał się przed nią w przepotędze swego nieprawego pochodzenia, wspaniały bezimiennością swoją, doskonały w zrodzeniu z miłosnego tchnienia. Trup ten zimniał, sztywniał — tuż przy jej piersi — przy jej łonie, które go stworzyło i gniótł jej ciało strasznym ciężarem nieżyjącego potwora.

I wtedy cała fala łez lała się z czarnych oczów kobiety i po przechylonej w tył głowie ku masie pokręconej grzywy spływała.

Tymczasem mężczyzna trupie swe palce w kaskadzie tych łez maczał i leniwym głosem sentymentalnie powtarzał:

— Zagwizdaj, Papuziu!...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Gabriela Zapolska.*

XI.

B y d l ę.

Zaturkotało i na drodze od miasta wiodącej podniósł się tuman kurzu.

Niewielki koczyk zielony, ciągniony przez czwórkę w poręcz sprzężonych koni, stuknął silnie o belkę, położoną na poprzek, tuż przed chatą Hieronima i ku bramie dworskiej podążał.

Na koźle, w szaraczkowy surdut ubrany stangret i lokaj w długim czarnym anglezie, zetknęli się gwałtownie ramionami, zaklęli i do równowagi wrócili.

Z koczyka tymczasem, na obie strony, jak drogowskazy, sterczały dwa olbrzymie cybuchy, ciemne, z fajkami wypchanemi silnie tytoniem.

Pan hrabia i pani hrabina palili w milczeniu, rzucając w jasność liliową wołyńskiej przestrzeni całe kłęby białego dymu.

Pudełko z tytoniem stało na przedniem siedzeniu.

Pani hrabina miała żółty płaszczyk i twarz lśniącą od nadużycia gliceryny.

Pan hrabia miał prześliczne turkusowe oczy, wprawione w pożółkłą maskę zgryzionego wątrobiarza.

Koczyk stanął przed bramą.

Lokaj zlazł powoli i za wrota pociągnął, pasące się obok stado gęsi uciekło z przerażającym wrzaskiem.

Koczyk próg bramy przestąpił, wstrząsając woźnicą, pudłem, panią hrabiną, panem hrabią i obydwoma

cybuchami.

Gęsi, ciągle drąc się, leciały wśród masy traw, łopocząc skrzydłami, i hen aż pod tajemnicze gąszcze ożyn się dostawszy, przypadły do ziemi, zdyszane i srodze zmęczone. Lecz już na ganku dworu powstał ruch i w kredensie Janek czytający „Resurecturi“ w „Tygodniku ilustrowanym“, otarł nos w znaczący sposób.

— Czort dyabła niesie! — wyrzekł półgłosem.

Z nad tapczana surdut zdjął, poślinił welwetowy kołnierz, na którym łupież silnie przylgnął, surdut nadział i powłócząc nogami na ganek podążył.

Już pani sędzina pędziła od strony garderoby, pokrzykując cienko:

— Z Hati! hrabstwo z Hati!

I szybko odwróciła się do Janka, który melancholijnie z pod spadającej hyry na swą panią spoglądał.

— A ty mi się nie upij, bo jak Boga kocham, tak już z tobą koniec zrobię! Słyszysz?

Janek brwi zmarszczył i za poły surduta obydwoma rękami się schwycił.

— Słyszę, jaśnie pani! — odparł.

Koczyk z głuchym szumem już przed ganek zajechał.

Sędzina wpadła we drzwi prowadzące do głębi dworku, a Janek ze specyalnym giestem ze stopni ganku schodząc, drzwi wchodowe hrabstwu ukazywał.

— Państwo w domu? — zapytał hrabia.

— Jaśnie państwo są! — odpowiedział lokaj.

Cybuchy i tytoń na rękach lokaja wędrowały już w głąb domu.

— A uważaj, kanalio, abyś cybucha nie przetrącił! — dodał w formie uwagi hrabia.

* *
*

Nie, to było nad jego siły!

Musi pójść do karczmy.

Chodzi, chodzi naokoło stołu, pociąga obrus, karbuje sól w solniczkach, ustawia garnuszeczki ze śmietanką. Na środku piramida z poziomek krwawi się plamą purpury wśród zielonych liści. Po obu stronach na złoconych, porcelanowych koszyczkach rudym tonem znaczą się świeże obwarzanki, cukier miałki piętrzy się piramidką prawie skrzącą w promieniach zachodzącego słońca.

Po przez okno na wpół otwarte płynie cała taka struga ognista, przecięta smukłością topoli, sterczących dokoła dworu.

Jeszcze bydło z pola nie wraca.

Nie słychać kołatek, ani hukania pastuchów po za wodą, hen po za stawem.

Janek ręce po napoleońsku na piersiach założył i stanął koło okna.

Włożył liliowy atłasowy krawat i włosy jasno blond, w których srebrne nici się bielą, olejkiem zlał i z czoła odgarnął.

Czeka, aż kucharz kurczęta z przypadłej opodal dworu kuchenki do kredensu przyniesie.

Wtedy samowar syczący w kredensie do jadalni wniesie,

na stoliku obok ustawi — otworzy drzwi do salonu i zaanonsuje niskim głosem:

— Podano do stołu!

Tymczasem przecież coś go we wnętrzu ssie jak wąż a ślin w ustach pełno.

Janek wie dobrze, co to znaczy...

Czczo mu; do karczmy go ciągnie.

A jest ona tam po drugiej stronie stawu, ta karczma cała czarna, mimo czerwonej jasności słońca.

Janek drogę tę od lat trzydziestu zna.

Zmienił ją tylko od chwili ożenienia. Trzeba bowiem było ze dworu do karczmy właśnie koło chaty iść, chaty, którą mu jaśnie pani dała, kiedy Warkę z garderoby wziął i z „werczem“ do dworu przyszedł.

Pani chatę i Warkę dała, ale Warka darła się o wódkę z Jankiem i zaraz na próg chaty wypadała, za poły surduta chwytała i zawodziła het jak suka, gdy jej szczenię odbierają.

Wiedziała Warka, że jaśnie pani ma tego pijaństwa Jankowego dosyć i lada chwila go z kredensu wygna precz.

Tembardziej, że Janek nie pił całe miesiące i tylko gdy gość się zjawił, wnet do karczmy pędził i za siwuchę chwytał.

A przecież trzydzieści lat już w Horodyszczu przetrwał, służąc wiernie, nieposzlakowanie uczciwy, pełen arystokratycznych przesądów, właściwych wołyńskiemu chłopu, cerując dywany i szlafroki pana sędziego — obijając sofy w buduarze panny sędzianki — obszywając gościnne kołdry na trawie dziedzińca — kolekcyonując

„Tygodnik ilustrowany“, bijąc Warkę i najstarszą córkę Paraskę, tyranizując chłopaków kredensowych i leżąc bez pamięci, od czasu do czasu w krzakach berberysu, które bukietem blaszanych liści i delikatnych jagód wznosiły się na środku dziedzińca.

Pani sędzina nazywała go wtedy „bydlę“. Była to nazwa mniej wykwintna niż dosadna.

Pani sędzina jednak była córką ekonoma. Ztąd miała dużo poczuć arystokratycznych wrodzonych...

Lokaj — a zwłaszcza pijany lokaj, był dla niej bydlęciem!

Hrabia mówił na swoją służbę: „kanalia“.

Pani sędzina mówiła: „bydlę“.

Pani sędzina nie lubiła chłopów i nie wdawała się z nimi w bliższe stosunki. Tolerowała tylko chłopki, gdy jej przynosiły kury, albo jaja, związane w szmaty.

Pan sędzia ciągnął namiętnie starkę rano i wieczorem a czasem i w nocy.

Pani sędzina znajdowała to naturalnem.

Co innego było z pijaństwem Janka!...

Co wolno panu — niewolno bydlęciu...

Pani sędzina mówiąc o pijaństwie męża, mówiła „słabość mego męża“.

Pijaństwo Janka było zbrodnią, nie chorobą.

Lokaj nie mógł być chory!

Organizm jego nie mógł żądać alkoholu.

Janek pijany — był bydlęciem.

Pan sędzia pijany — był... słabym!

Przekonanie to wpoiła pani sędzina w Warkę.

Dlatego teraz Janek miał schowane w oczerecie czółno i drąg i po przez staw się do karczmy Szmula dobijał.

Kiedy bowiem szedł przez wieś — a Warka broń Boże „cupała“ w ogrodzie, za chruściakiem przy burakach, albo tytoniu, to porywała się z wrzaskiem aż jej medaliki po piersiach dzwoniły.

— A doloć moja, dolo zatracona!... Krzyczała przez płot przełażąc, rozdzierając spódnicę, zapaskę, z „dolami“ najeżonemi dokoła twarzy jak faworyty pana sędziego.

I był to lament tak wielki, że wszystkie baby, jakie były w chacie, wypadały na drogę z koszulami zawiniętemi po kolana, z zapaskami ubielonemi mąką, ta od łatania świty, ta od przewijania dziecka. Wszystkie otaczały Janka i Warkę — łamały ręce, kiwały głowami — a dokoła podskakiwały dzieci w zgrzebnych koszulach, czasem zupełnie nagie z masą jasnych włosów na szpiczastych głowach, i kwiczały prosięta zbiegłe ze źle domkniętych chlewików...

Teraz — Janek potrafił już unikać tej gorącej łaźni. Wprost do stawu szedł, w czółno wskakiwał i wodę pruł aż szumiało. Potem do drugiego brzegu, gdy się dobił to już do Szmula było tylko kilkadziesiąt kroków — i łatwo było się dobrać. Wracał jednak wolniej, nawpół przytomny — potrzebując mało do zupełnego upojenia, roztrojony zupełnie nerwowo — mając dziwną naturę wtłoczoną w smutne ciało dworskiego służalca, z fantazyą przepełnioną wizyami powieści i artykułów, których nie rozumiał setnej części, z tęsknotą straszną, wrodzoną wołyniakom, z tą tęsknotą, co serce z piersi wyrywa za czemś, czego określić

na razie niepodobna, co szum sosen, zapach poziomek, krzyk spłoszonej gęsi, skrzyp wrot nagle budzi i potem jak druga dusza w ciele pokutuje, rwie, szarpie, nęka o zachodzie słońca i życia...

Bydlę miało to wszystko w sobie, to wycie rozpaczliwe w pustkę, która się powiększa z dniem każdym. Jak duch pokutujący, jak trup, któremu nie dano mogiły i domowinki uskąpiono — tak błąkał się Janek od karczmy do dworu z „Tygodnikiem“ sterczącym brudną bielą druku z obciągniętej kieszeni surduta. Włosy mu posiwiały, twarz o delikatnych rysach nerwowego blondyna nabrzękła, oczy zmalały i z jasno błękitnych zrobiły się żółte. Plecy wygięły się w kabłąk, ręce jedne pozostały nerwowe, silne, suche, jakby cała siła woli lokaja skoncentrowała się w tych rękach, w których była potęga jego pracy. Gdy z krzaków berberysu podnosił się po peryodzie pijaństwa — zaciskał silnie pięści, jakby probując, czy cała wola pozostała w nim jeszcze, czy nie spływa razem z umysłem w ten cień niepochwytny, który go otoczył i do karczmy iść kazał.

I — z pięściami jeszcze zaciśniętemi szedł prosto do kredensu, do swego tapczana, na którym wylegiwał się w czasie jego nieobecności Józiek.

— Won bydlę! — mówił, chwytając chłopca za kołnierz, — „won! pan wrócił!“

. . . . . .

Kucharz nie dawał znaku życia i tylko z kuchenki dobywał się wązki pasek dymu, który się aż nad drzewa

owocowe wznosił.

Janek na lipę przed oknami patrzał, i przypominał sobie, którego to było roku, gdy piorun w nią uderzył.

Pan sędzia wtedy do Żytomierza na wybory pojechał.

Ale który to był rok, za nic przypomnieć sobie nie może.

Nagle zakołatało na drodze.

Ha! ha! a! a!...

Bydło wraca do obór, pastuchy do chat.

Nie widać ich z okna, tylko duża smuga po za stawem się ściele, biała, jak wielki kłęb nagle powstającej pary.

I razem z tym jękiem chłopców goniących bydło, jakaś nieokreślona tęsknota spada na całą wieś.

Słońce nie świeci jaskrawo.

Żółte i jakby gasnące, zapada coraz niżej.

Coś się nad ziemią snuje, coś, jakby widma z grobów wstające, szepczące tajemnicę mogił, trupich czaszek rozhowory.

Janek określić tego nie umie, rwie się w nim tylko coś i w przepaść dąży.

Obejrzał się jeszcze raz ku kuchni.

Niewidzi nikogo.

Zanim kurczęta podadzą, on przez staw przepłynie i powróci.

Wypije tylko jeden kieliszek, jeden tylko, aby lepiej służyć do stołu...

Czuje bowiem, że jest cały z waty i na nogach się nie utrzyma.

Wyskoczył przez okno, wpadł w grządkę nasturcyj, zaklął i jak zając po przez trawniki pomykać zaczął.

Do stawu dopadł, do oczeretu, w którym drzemało płaskie, z trochą lśniącej wody na dnie — czółno.

W czółno wskoczył, za drąg porwał, splunął w garść i od brzegu się odepchnął.

W tej chwili ciemny pas, jakby od żałobnego całunu na wodę padł.

Janek w pas ten wpłynął i nawet białe smugi, które zwykle czółno po sobie zostawia, krepy tej rozjaśnić nie mogły.

Od strony wsi kołatały wciąż drewniane dzwonki i wlokło się jękliwe zawodzenie.

Ha!... a! a!...

Janek w głosy te wsłuchiwał się i czuł, że pod dworskim surdutem, z którego numer „Tygodnika“ wystawał, w piersi rwały mu się całe przepaście ech na dźwięk tych chłopskich nut.

Ha!... a! a!...

W tej samej chwili, z kuchenki Józik z półmiskiem kurcząt wypadł i ku dworowi dążył.

Idąc, mimowoli dziecinnym głosikiem powtarzał:

Ha!... a! a!...

Bose zastępy ku sobie się rwały, ręce łączyły w tęsknocie nieokreślonej, co ku nim z pod ziemi płynęła.

* *
*

Gdy Janek wreszcie z krzaków berberysu powstał i do kredensu się powlókł, zastał tam, oprócz Józika, jakiegoś

młokosa ubranego w szary surdut, bez wąsów — i z miną wyćwiczonego złodzieja, nastawiającego samowar.

Janek do intruza podszedł i ręce wyciągnął.

— Czego to pan się do samowara miesza? — zapytał zaspanym i powolnym głosem.

Lecz nowy lokaj zmierzył go od stóp do głów.

— Jaśnie pani kazała nastawić samowar! — wyrzekł i znów za stary but z cholewą schwyciwszy, koło samowara się krzątać zaczął.

Janek odsunął się w kąt i na swym tapczanie przysiadł. Powoli jednak ręce jego namacały inną derkę, nie jego własną. Pochylił się i w ukośnym promieniu, idącym z okna, które lipy zaciemniały zupełnie — dostrzegł całą obcą pościel na swem łóżku. Poduszka była z irchy, druga gumowa, wypchana powietrzem, widocznie skradziona, lub otrzymana w prezencie. Tylko nad tapczanem rozkładał się jeszcze szmat gobelinu, na którym widać było zczerniałe, jak nogi topielca, nogi jakiegoś mitologicznego bohatera i plamę kobiecej, purpurowej sukni.

Za obrębem gobelinu zatknięty obrazek wycięty z „Tygodnika“, kilka palm, fotografia pana sędziego, stara strzelba, profitka z różowych paciorek, służąca za pantofelek do zegarka — wszystko jeszcze było na swojem miejscu, nieruszone i jakby uszanowane.

Janek podniósł się i do okna podszedł.

Tam był zawsze szuwaks i szczotki do butów, ustawione we framudze razem z kałamarzem i gęsiemi piórami, które Janek dla pana sędziego temperował.

Pióra znikły, kałamarz także, pomimo tego, że lat

dwadzieścia stały na tem miejscu.

Janka ogarnęło złe przeczucie. Powoli z podełba spojrzał na młokosa, który samowar już z ziemi podniósł i do pokoju podać się gotował.

Janek kilka kroków postąpił.

— Ja zaniosę!

— Nie trza — wyrzekł ten drugi, nogą drzwi otwierając.

Janek pozostał na środku kredensu, w którym zaczynał zapadać powoli zmrok, przez abażur lipowych gałęzi koło okien rozpostartych.

Nagle, w bocznych drzwiach ukazała się pani sędzina.

Miała usta silnie zaciśnięte i oczy zmrużone.

— Niech Janek zabiera swoje rzeczy i idzie precz, zaraz... od dzisiaj!... Jaśnie pan za dwa dni wróci, to się z Jankiem obliczy! Trzeba się mi dzisiaj wynosić, mam już dosyć pijaków w kredensie!

Ręką tłustą i żółtą drzwi ukazywała.

Ręka ta w ciemności kredensu majaczyła przed Jankiem, jak plama jasna, obwiedziona dokoła błękitną obwódką.

— Jaśnie pani!... — wybełkotał wreszcie — ja... ostatni raz!...

— Ta, ta, ta!... przerwała sędzina — już mam dosyć trzydzieści lat takich skandali!... Janek niech się wynosi, bo wyrzucić każę!

Janek się wyprostował.

— Jaśnie pani wyrzucać niema potrzeby. Ja sam pójdę, choć trzydzieści lat wierniem przy służbie warował!

Sędzina parsknęła śmiechem.

— Bo to psi wasz obowiązek! Za pensyę i ordynaryę

jeszcze, każdy wierny będzie.

Janek drżał cały, włosy mu na czoło spadły. Cofnął się w cień kredensu i milczał chwilę, wreszcie, jakby chcąc upokorzyć sędzinę:

— W konduktory pójdę!... — wyrzekł zdławionym głosem.

Sędzina ku drzwiom zmierzała.

— Z Panem Bogiem! Właśnie tam na pijaków czekają! A wynosić mi się dziś jeszcze!... won!... won!...

Wyszła.

Janek pozostał sam.

Obejrzał się dokoła i nagle uczuł w sercu ból straszny.

Trzydzieści lat przeżył w tych ciemnych ścianach kredensu, w którym zapach razowego chleba miesza się z wonią stygnących na półmiskach tłuszczów. W ciemnicy tej przeszedł życie całe, waląc się w nocy na tapczan, jak kłoda, smutny, wiecznie znękany, zniechęcony do życia, a mimo to bałwochwalczo do tych miejsc przywiązany.

Chata, w której mieszkała jego żona, nie była mu domem, chodził tam w gościnę, w chwilach wolnych, nie pamiętając i nie wiedząc nawet, jakie imiona miały jego dzieci.

Od grzebania się w ziemi i mieszkania w izbie z uklepaną z gliny podłogą odwykł i tylko w kredensie żyć już mógł, w *tym* kredensie, pomiędzy szafą z ubraniami pana sędziego i kantorkiem, w którym chował roczniki „Tygodnika ilustrowanego“. Dziś mu każą iść precz, nie pamiętając, że on, Janek, ma religię ścian, wspomnień i sprzętów, że on się tu przekołatał całe lata, całe noce, całe

jesienne wieczory obrębiając ścierki, wsłuchany w tony fortepianu, na którym uczyła się panna sędzianka i który dzwonił jak szklanna kołatka z po za stawu w smudze białej płynąca...

Kazano mu iść „won“ a przecież tam, przez ścianę, jest szafa, w której jest *jego* porcelana, *jego* srebro, *jego* szkło.

Trzydzieści lat myje, ociera, czyści tę całą zastawę... to więc wszystko mu poprostu w duszę wrosło i on tego z siebie wyrwać nie może! nie może!...

A piece? Te wielkie piece wszystkie schodzące się w jednej wielkiej izbie, w którą szedł wczesnym zimowym rankiem, za Józikiem, niosącym całe naręcze polan grubych, jak ludzkie nogi. On, Janek, niósł świecę. Stearyna kapała mu po rękach, a on przez trzydzieści lat nie oprawił nigdy świecy w lichtarz. Miał takich przyzwyczajeń mnóstwo, teraz wszystkie jak mary otoczyły go i za gardło chwytały.

Nawet ta pani sędzina, która wygnała go tak bezlitośnie, nawet ten pan sędzia, który nieraz uderzył go w kark i „wysobaczył“ po swojemu, nawet ta panna sędzianka, zatykająca nos, gdy przechodziła przez kredens, wszyscy oni byli mu teraz drodzy w chwili utraty.

Kochał ich przywiązaniem psa, który niedość, że dobytku pana strzeże, jeszcze pana tego kocha i po rękach liże.

Powiedział pani — „pójdę w konduktory“, ale teraz, w tej chwili, myśleć o tem nie mógł. Dławił się własną żałością.

Nerwy tego chłopa zalkoholizowanego tańczyły

piekielną sarabandę bezsilnej rozpaczy.

Gdyby mógł się rozpłakać, byłoby mu lżej. Lecz nie, łzy go piekły, były w nim całym, rwały mu serce, paliły powieki, płynąć jednak nie chciały.

Bydlę... cierpiało.

. . . . . .

Po chwili przecież Janek ocknął się, zbliżył się do tapczanu i szalonym ruchem zdarł ze ściany gobelin. Profitka, fotografie upadły na ziemię. On schylił się, podniósł je, wetknął za pazuchę, potem — podszedł do kantorka, wyjął całą masę gazet i w gobelin zawinął. Czynił to machinalnie, gryząc wargi. Zwrócił się po ubranie, które wisiało na gwoździach wbitych w ścianę, lecz machnął ręką i tylko tłomok z gazetami pod pachę wziął, czapkę na głowę nasadził.

Wreszcie z kredensu wyszedł.

Przeszedł pod lipami i wydostał się na trawniki. Słońce znów zachodziło całe krwawe, na wiatr się znacząc. Staw w ciszy i obramowaniu oczeretu drzemał a nad jego brzegiem, na pagórku, brzoza, dziwaczna i pokręcona, długie gałęzie w wodzie rozpaczliwie moczyła.

Janek machinalnie do stawu się skierował i, czółno odszukawszy, gobelin z książkami na dno czółna cisnął. Poczem sam w łódź wlazł i drąg schwycił. Zdawało mu się, że idzie gdzieś w daleką drogę a ten drugi brzeg nigdy nie trąci o drzewo czółna. Drżącemi rękami drąg pchnął i na staw wypłynął...

Cisza była dokoła prawie kościelna.

Janek szmer wody tylko słyszał, która się skarżyła cicho na ciężar, jaki jej nieść kazano.

I nagle, z daleka, delikatny, jakby krepą przysłonięty, dał się słyszeć głos kołatek i przeciągły jęk pastuchów.

Serce Janka, które było w tej chwili jedną raną, targnęło się jeszcze silniej i codzienna melancholia, tłocząca go ku ziemi, wżarła się w boleść rozstania z tem, co już za swoje przywykł uważać, co się z nim zrosło, z czem umrzeć miał...

Przed nim bielił się dwór, nieduży, silny, dobrze rozłożony na tle masy drzew. Z boku widać było ganeczek i wejście do kredensu. Do kredensu!...

I nagle porwał Janka szał.

Schwycił gobelin i cisnął go w wodę.

— Szczeźnij! — zasyczał przez zęby.

Gobelin zakołysał się na wodzie i pozostał tak rozciągnięty, prezentując w świetle krwawego słońca wypłowiałą barwę delikatnych linij.

Janek drągiem gobelin w wodę zanurzać zaczął.

— Szczeźnij!... — syczał.

Był cały teraz czerwony, z sinemi pręgami żył po obu stronach skroni. Z serca krew mu płynęła na mózg zatruty siwuchą. Pijany był w tej chwili, pijany rozpaczą.

Za nim wciąż kołatki grały.

Teraz, pochylił się, porwał cały stos „Tygodnika“ i w wodę wrzucił. Woda prysnęła białą masą, łódka zachybotała, Janek nogą w ścianę czółna kopnął.

— Na pohybel ci! — zaklął.

Nie dokończył, bo czółno się gwałtownie przechyliło a on z dziką radością, po raz pierwszy w życiu roześmiany serdecznym, gorącym śmiechem, w wodę skoczył, waląc się głową naprzód, tak jak zwyczajnie na swój tapczan w kredensie się walił.

. . . . . .

Teraz kołatki tryumfalnie wypłynęły nad brzeg stawu i dzwoniły ciągle mistyczną litanię w obłoku białym, z ziemi się wznoszącym.

Na stawie była cisza zupełna i kołysało się tylko próżne czółno, które powoli wróciło do swej równowagi...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Gabriela Zapolska.*

XII.

G o ł ą b k i.

Gwarno było w „gołębniku“ podczas tego *fixu*.

Rozgruchotały się „gołąbki“, rozchichotały, aż wstążki fruwały naokoło ramion i szyi, jak prawdziwe skrzydła gołębie.

I wszystkie, jakby się umówiły — ubrały się biało, popielato, perłowo lub blado lila...

Cała gama niepewnych barw, jak plama jasna lekko pocieniowana, rozkładała się tryumfalnie pod zielonemi liśćmi w kąt zbitych oleandrów.

Pani domu, księżna... ukraińska — cztery kąty swego salonu ozdobiła oleandrami.

Było to niekosztowne i dawało złudzenie szyku.

Książę wzruszył ramionami, pociągnął zakrótką kamizelkę i poszedł do drzwi „robić honory“, chórem wchodzącym konceps-praktykantom z Namiestnictwa.

„Księztwo“ przybyli niedawno z dalekiej podróży i przywieźli z sobą spory zapas konfitur i czternaścioro dzieci, z których dwie dorosłe panny miały zamiar wydać się zamąż.

Arystokracya lwowska, złożona z galicyjskich hrabiów i baronów, podejrzliwie patrzyła na ten tabor książęcy, rozbijający swe namioty w szerokich salonach żydowskiej kamienicy; powoli wszakże przekonano się do sumiastych wąsów księcia, nadzwyczajnych mantyl księżnej, długich warkoczy księżniczek i ich kurhanowego tytułu.

Fixy bywały liczne, księżna promieniała, księżniczki zdążyły zakochać się w dwóch „golcach“, o szerokich barach i wspaniałych frakach. Książę umierał z nudów, stojąc pod żyrandolem, z którego kapała stearyna. Ciągnął kamizelkę i wzdychał do śniegu, który się białemi błamami, jak królewska szata wlókł daleko po wiejskich rozłogach.

Dnia tego, *fix* miał niezwykłe ożywienie.

Gołębnik aż dygotał od panieńskiego chichotu.

Gołębnikiem nazywał się kąt pod piecem, pomiędzy pianinem, a czwartem oknem okrytem czerwonemi jak krew adamaszkowemi firankami.

W kącie tym gromadziły się zwykle panienki i panny.

W żółto-białem blasku lamp i świec, ta powódź jasnych sukien i biało-różowych plastrów twarzy, znaczyła się z jakąś impertynecką chęcią rzucania się w oczy każdemu, wchodzącemu do salonu.

Były to trzy Minuśki, pięć Muszek, dwie Lole, jedna Gilda, jedna Lili, jedna Nini, dwie czy trzy Niusie.

Całe Sacré Coeur lwowskie nagle wypuszczone z po za krat klasztoru i wrzucone w gorącą atmosferę niewyraźnego salonu książęcego.

„Gołąbki“, tak słusznie nazwane od gołębiej niewinności okrągłych twarzyczek i białych fałd sukien, zdawały się być wykute z jednej sztuki marmuru, dłutem jednego rzeźbiarza.

Wszystkie miały jedne i te same długie, płaskie z przodu i silnie w pasie ściśnięte figury.

Wszystkie miały zanik bioder i piersi.

Ręce obciśnięte w długie duńskie rękawiczki,

przytrzymane po za łokciami podwiązkami z wstążek, podnosiły automatycznie do czoła, nagarniając grzywkę, pociągając rzęsy, aż do brwi uparcie sięgające.

Każda z nich miała na wpół wycięty stanik i tuż pod szyją dwie głębokie „*solniczki*“, znaczące się ciemnawemi plamami, na żółtem tle skóry.

Jedna Nini, córka wdowy po generale, panna bez posagu, ale za to zuchwale piękna i wspaniale zbudowana, prezentowała ze spokojem niezmąconym, przepyszny biust pełny, okrągły, z niewielką fałdą tuż pod pachami, dyskretnie wysuwającą się z obramowania blado-liliowego tiulu.

— C’est convenu! n’est ce pas? — pytały „gołąbki“, jedna drugą.

— C’est convenu! — odpowiadała zapytana.

Panienki te mówiły przeważnie po francuzku akcentem przerażającym, niemniej przeto dziwnie aroganckim. Gdy się rozszczebiotały, tworzyła się silna wrzawa, a chichot ich miał wszystko, oprócz inteligencyi. Każda z nich jednak była très bien, i miała się za partyę. Każda wyobrażała sobie, że czyni *raważe* pomiędzy czarną kohortą mężczyzn, którzy w swych frakach, jak stado nagle spłoszonych karawaniarzy, stali w przeciwnym kącie salonu, lub włóczyli się po przyległych pokojach, obmawiając panny lub stambułki księcia pana, za olbrzymie podkowy drewniane, zamiast szpicrut i rajtpejczów zatknięte.

„Gołąbki“ jednak były niespokojne. Spoglądały ciągle ku drzwiom wchodowym, jakby oczekując na wejście.

— Może nieprzyjdą?

— Przyjdą, przyjdą — uspokajały księżniczki.

Powoli, salon napełniał się i już wysuwały się niewielkie grupy do przyległego małego pokoju, nazwanego salonikiem księżnej: — Atmosfera stawała się ciężką i przesyconą całą masą różnorodnych perfum. Był to jakby bukiet najwonniejszych kwiatów, nagle rozdeptany i rozgnieciony w gorącej masie powietrza, leniwie ciążącego ku ziemi. Szczególniej z sukien starych kobiet płynęły całe smugi delikatnych zapachów, upartych jak wspomnienie, które zdawały się być wplątane pomiędzy oczka sinawych koronek. — Z gołębnika biła delikatna woń muguet'u i świeżego, dziewczęcego ciała. Była to jeszcze niezdecydowana nuta, coś błądzącego w przestrzeni nakształt płatków lipowego kwiatu. Płatek lipy na żelazo pada i powiewny a biały — rdzy plamę na sztabie wygryza...

Nagle u drzwi wchodowych zrobił się szmerek leciuchny i gospodyni domu, porwawszy się z fotela, posunęła naprzód. Książę podciągnął znów kamizelkę i przekręcił na bakier siwe, długie wąsy.

Gołąbki zatrzepotały, zaszczebiotały radośnie: Les voila!... les voila!...

Odedrzwi bramowanych czerwienią portyer, ku środkowi salonu w jasność płonącego żyrandola, szła grupa ludzi z trzech istot złożona.

Przodem sunęła kobieta lat średnich, sur le retour, drobna, chuda, nadwiędnięta, trzymała się pochyło i ręce miała jakby wsparte na brykli silnie ściśniętego gorsetu. Za nią wlókł się tren jasno zielonej sukni, obrysowanej na dole

wałkiem ciemno-miedzianego aksamitu. Olbrzymie stylowe rękawy, bufiaste, aksamitne wznosiły się po obu stronach głowy, małej, brzydkiej, nieforemnej, nastroszonej rzadką kępą, silnie przyczernionych włosów. Włosy te ściągnięte mocno na skroniach, rwały ku tyłowi głowy skórę skroni i podnosiły w ten sposób łuk brwi i wykrój dołów ocznych na wzór japońskiej czaszki. Suknia głęboko wycięta, zapadała na piersiach smutnym całunem nicości. Szyję pokrywała szeroka aksamitka miedzianego koloru, na której rozkładały się cztery rzędy cudnych pereł, prawie różowawych w kontraście skóry żółtej, siatką drobnych zmarszczek pokrytej.

Kobieta szła wolno, jak istota anemiczna, z pochyloną głową skończonej neurasteniczki. Oczy ciemno-szafirowe, spłowiałe, dobrze podkreślone tuszem, utkwiła w idącą ku niej księżnę i wyciągnęła rękę chudą, drewnianą, obciągniętą lapisową rękawiczką.

Po za nią i za obramowaniem trenu, szło dwóch mężczyzn, niemal równym, sztywnym krokiem, jak dwóch na sznureczkach prowadzonych automatów. Jeden z nich — mąż, wysoki, prawie olbrzym, o szerokich barach i olbrzymich stopach, baron Mak von Maken, dźwigał na sobie mundur, cały błękitny, sznurami opleciony.

Siwy, hałaśliwy z twarzą purpurową wiecznie grożącą kongestyą, z szyją wysuwającą się różowym wałkiem dokoła kołnierza munduru, szedł po za pochyloną i jakby przełamaną postacią żony, chrząkając i hałasując, jak w koszarach. Książę z uwielbieniem patrzył na tę postać c. k. Zagłoby, i z wytężeniem ścieżki sznurów na plecach Mak

von Makena śledził. Lecz już druga postać, mężczyzna obok generała idący, rzucał długi jezuicki cień czarnego fraka, na jasną plamę mundura. Ten drugi szedł cicho, choć kroki jego stosowały się do szerokości kroków Mak von Makena. Był to wysoki, bardzo chudy mężczyzna, na którym frak wisiał jak na wieszadle a kamizelka, jakkolwiek starannie ściągnięta, ukazywała jeszcze pustkę pod klatką piersiową. Trzymał się pochyło, jak idąca przed nim kobieta, wyciągał spiczastą brodę silnie ogoloną i wytartą pudrem. Włosy siwe, przyklepane, otulały długą głowę angielskiego wyścigowca, oczy blado-błękitne, zmrużone, tonęły w setkach zmarszczek, któremi twarz była pokrajana. Małe ciemnawe faworyty tworzyły ramę, z której wystawał nos silnie garbaty, duży, opuszczony na opadłe w podkowę wargi.

Towarzystwo zebrane w salonie powitało „tych troje“, wesołym uśmiechem. Od lat piętnastu zaadoptowano milczącą ugodą ten ménage Maken-Helding. Z początku, trochę szeptano po kątach, powoli, utarło się przecież; Makenowa z taką pokorną nieśmiałością zdawała się prosić o przebaczenie, Helding był tak nieznaczącym i już wysortowanym z liczby epuzerów, Mac von Maken tak wspaniały w swej bucie i dobrym humorze dobrze odżywianego generała, że szepty powoli ustały i z pewnem rozrzewnieniem zaczęto śledzić przebieg tego romansu. *Cette pauvre barronne* mogła rzeczywiście pragnąć więcej subtelności i delikatności w pożyciu, Mak von Maken, był *un homme charmant*, ale chwilami trywialność jego miała skrzyp drzwi stajennych a dowcipy — zapach koszarowej

zupy. Makenowa, była *une mignonne*, delikatna, chuda i pełna niezwykłych aspiracyj, było to małe bóstwo, które potrzebowało być adorowane cicho i dyskretnie. Helding z delikatnością starego kawalera, celibatora jadającego w domu i mającego pokój sypialny blado-błękitny, w którym niebyło ani jednego rejtpejcza, nadawał się szczególniej do roli takiego „uwielbiacza“. Że się później podobno z platonizmu wyrodził inny, mniej platoniczny stosunek, ha! to już rzecz Makenowej i Heldinga. Enfin, après tout, nie można żądać od ludzi nadzwyczajności i wymagać, aby byli aniołami. Mak Maken zdawał się niedostrzegać nic i akceptował Heldinga jako przyjaciela domu. Skoro sam mąż przyjmował „uwielbiacza“ — i niejako sankcyonował go przed światem, mówiąc mu „mon ami“, to nie było rolą „towarzystwa“ mieszać się w podobne rzeczy i czynić tej biednej Makenowej jakąkolwiek przykrość. I powoli ta trójka wsuwała się wszędzie, z początku nieśmiało, jakby macając grunt, śledząc wrażenie na twarzach, słuchając dźwięku głosów, witających ją na progu salonów. Lecz wkrótce, uprzejmością ośmielone, ménage Maken-Helding nabrało pewności siebie i wchodziło spokojnie, coraz więcej zabierając miejsca, rozdając uśmiechy, w których znajdowano nawet quelque chose de piquant. Deprawacya ta jawna, cudzołóztwo to wleczone w trenie jedwabnej sukni, w listkach gardenij Heldinga, w lazurowych barwach munduru Mak-Makena, drażniła nerwy i zmysły otaczających. W jasności świec kandelabrowych, posyłano sobie wzajemne uśmiechy i spostrzeżenia. Makenowa miała chwilami rumieńce nowozaślubionej, pod deszczem

niedyskretnych spojrzeń, Helding lekkie uśmiechy zwycięzcy, Mak-Maken — dobroduszną pobłażliwość siwowłosego ojca oprowadzającego zięcia i córkę, pełnych zbyt jawnej miłości. I powoli, trójka Maken-Helding stała się ogniskiem, do którego zwracano się coraz chętniej po miłosne wrażenia, śledząc każde bardziej burzliwe widzenie się baronowej i Heldinga, każdą „scenę“, każde przeproszenie się w cieniu dyskretnej alkowy.

I z latami razem, weszło zupełne zuchwalstwo w ujawnianiu tej miłości baronowej i Heldinga. Teraz, Makenowa wchodziła pewna siebie, tryumfalna — czując, że potęgą swej wielkiej miłości zwalczyła tę hydrę, pełną jadu, którą „światem“ zowią. Czuła się w pełni urody i miłość dodawała jej blasku. Miała w gruncie serca wiele szlachetności i nie kłamała teraz, zwracając się otwarcie i śmiało do Heldinga. Nie przyznawała się jednak głośno, bo to było niepodobnem, ale w każdem jej spojrzeniu, ruchu, słowie — przebijała się bezgraniczna miłość i przywiązanie. Helding mimowoli zajął stanowisko męża kochanego i czuł się dobrze w tej roli. Nie zrozumiał jednak, jak w straszną grę grała Makenowa, narzucając tak światu swego kochanka. Nie czuł, ile istotnej potęgi miłości musiała mieć w sobie, aby tak dać „przełknąć“ światu ten stosunek, kazać mu go przyjąć i niejako usankcyonować.

Nie zastanawiał się nad tem, szedł zadowolony z tej roli jaką grał, podbudzony w swej próżności, człowiek któremu żona generała, kobieta stanowiąca ozdobę salonów lwowskich, na szyję się rzuca. W kasynie mówił o Makenowej z rozrzewnieniem dobrego męża, jakkolwiek

nigdy po za kadry gentelmańskiej przyzwoitości nie wyszedł. Inni „koniarze“ nie blagowali nawet, poważni i pełni szacunku dla tej cudzołożnej żony.

Powoli wszakże ta faza tryumfu zmieniła się w cichy i spokojny stan zaadoptowanego przez świat związku. Makenowa? Helding? — ależ to stare małżeństwo! Nie pojmowano jednego bez drugiego i tylko przy wejściu jeszcze witano ich uprzejmym uśmiechem. Później ginęli w tłumie. Inne pary potworzyły się, połączyły i promieniowały miłością i szczęściem wśród pragnących wrażeń tłumów.

Makenowa starzała się i brzydła powoli. Jej maska japońskiej laleczki z latami ciemniała i osuwała się w głębokie bruzdy. Helding chylił się ku ziemi, oczy mu gasły powoli, tracąc barwę i płowiejąc w gorącu miłosnej ekstazy. Czuli, że byli złączeni na zawsze, do śmierci i mieli w sobie spokój dobrze zawarowanego kontraktem małżeństwa. Skoro znaleźli się w salonie, pod rzęsistem światłem kandelabrów, szukali wygodnego miejsca, gdzie siadali we dwoje, zamieniając od czasu do czasu jakąś uwagę półgłosem. On trzymał jej wachlarz spokojnie, rozsuwając sennym ruchem koronki, lub gładząc delikatnie marabuty. Nikt już nie zwracał na nich uwagi, chyba ktoś świeżo przybyły i nieobznajmiony z istotnym stanem rzeczy. Często brano ich za małżeństwo wzorowe, przywiązane do siebie równem, nienerwowem uczuciem. Maken hałasował w fumoirach, nie psując jasnym swym mundurem i swą siwizną ciemnych i mistycznych sylwetek tych dwojga, którzy siedzieli prawie nieruchomo obok siebie z oczami

wlepionemi w przestrzeń, jak widzowie na przedstawieniu znanej już dobrze sztuki. Oboje oni stanowili jedną całość. Jakiś krąg niewidzialny, a mimo to istniejący, otaczał ich i bramował, odsuwając od reszty towarzystwa. Było to zapewne ich kilkunastoletnie uczucie, które z burzy miłosnej przeszło w mocne i zda się nierozerwalne przywiązanie.

Kobieta szczególniej miała w swej zestarzałej postaci upór miłosny kobiety tryumfującej nad zmiennością męzką.

Mężczyzna był już obojętny, trochę zawsze zalękniony i jakby uśpiony w tej stałości, w którą się sam spowinął przed tyloma laty!

Ale „gołąbki“ były innego zdania: Odebrać Makenowej Heldinga?

— Co?... jak myślicie!

Projekt ten powstał w głowie jasno włosej Lili. Minuśki, Nuśki i Muszki zaadoptowały go w jednej chwili.

— Tak! tak!... trzeba to zrobić. To ożywi *fix* i zabawi wszystkich dokoła. Trzeba Heldinga *zaakaparować* i patrzeć, jaką Makenowa będzie miała minę.

— Przecież go reklamować nie będzie przez konwenanse.

Rauty bywały nudne. Mężczyzni młodzi nie umieli poprowadzić porządnie rozmowy. Panienki nudziły się w swym gołębniku. Oglądały się za rozrywką.

Błękitne oczy Lili padły nagle na dwie mistyczne sylwetki, siedzące nieruchomo obok siebie. Panienka skrzywiła się nagle. Stanowczo ta para działa jej na nerwy. Już trzeci karnawał przyjeżdża ze wsi do Lwowa i trzeci

karnawał widzi tych dwoje „starych“, siedzących jedno obok drugiego w wierności chińskich bałwanów. I pochyliwszy się ku swym towarzyszkom, podsuwa im projekt flirtu z Heldingiem, tym samym tonem, jakim w Sacré-Coeur podsuwała myśl przeciągania palcem po wywoskowanych brzegach pulpitu.

Znudzone jednostajnością rautów, panienki przyjmują projekt z entuzyazmem, obierają dzień i miejsce i dziś zeszły się wszystkie u księżnej, z zamiarem wprowadzenia swych zamysłów w czyn, z okrutną energią istot, które nie wiedzą nawet, czy serce boleć może naprawdę i czy są łzy, które palą.

Kampanię rozpoczyna księżniczka, młodsza, szatynka, o twarzy schorowanego anioła i długich warkoczach ukraińskiej dziewki. Siada do fortepianu i rozkłada zeszyt nocturnów Chopina z najniewinniejszą pod słońcem minką.

Chwilę ogląda się po salonie, jakby szukając kogoś.

— Panie Helding!... proszę mi kartki przewracać!... — prosi wreszcie z czarownym uśmiechem.

Helding otwiera szeroko spłowiałe źrenice.

— Pan taki muzykalny... — dodaje panienka.

Stary kawaler wstaje z pośpiechem, pełen kurtuazyi i śpieszy do fortepianu.

„Gołąbki“, śledzące tę scenę z niepokojem, oddychają swobodniej. Helding jest tuż, obok nich, na progu „gołębnika“. Wciągnąć go łatwo potrafią.

Wciągną... i nie puszczą...

Cicho i spokojnie płynie jeden z nocturnów Chopina.

Helding przewraca kartki trochę zaniepokojony,

zdenerwowany tą „rolą“, jaką odegrywa obok siedzącej przy fortepianie dziewczyny. Zeszedł już do rzędu „widzów“, przyzwyczajony, że to inni defilowali przed nim, podczas gdy on spokojnie siedział obok Makenowej, bawiąc się jej wachlarzem. Długie, suche palce mężczyzny z pośpiechem przewracają kartki, klekocząc jak kastaniety.

Księżniczka za każdą przegraną stronnicą spogląda na Heldinga i uśmiecha się łagodnie, Helding mimowoli dostrzega koło ust dziewczyny dwa ładne dołki..

Wreszcie ostatni akord przecina powietrze. Helding pragnie wrócić na swe miejsce, lecz „gołąbki“ otaczają dokoła księżniczkę i dziękując jej gorąco, posuwają go mimowoli w stronę „gołębnika“. Lili mówi coś do niego, śmieje się, szczebiocze; z drugiej strony Nini prezentuje swój przepyszny profil greckiej bogini. Śmiech, chichot, srebro głosu, woń konwalij i młodego ciała, jakiś szum jakby skrzydeł gołębich — i Helding znajduje się nagle w gołębniku, uwięziony ładnemi giestami drobnych rączek, giętkich figurek i młodych twarzyczek.

Zmieszany, prawie pociągnięty, siada na taburecie i wszystkie panienki z szelestem opadają nagle ku ziemi. Całe stadko blado liliowe, różowe, białe, popielate przypadło do purpury dywanu i zaczajone, uśmiechnięte, wyciąga ożywione nagle dziobki.

Helding doznaje ekstazy, olśnienia, wysadzony z siodła tą brutalną, a przecież na pozór delikatną taktyką panieńską. On, mężczyzna, siwiejący i zdeprawowany, czuje się przerażony, wyrwany ze snu, niepewny i jakby poszarpany nagle na strzępy.

Pragnie się wydostać, czyni nieśmiałe usiłowanie, wyciąga kilkakrotnie szyję, ma oczy topielca zapadającego w bagno szmaragdowe, perłami wody lśniące...

Lecz „gołąbki“ zwartym szeregiem otaczają go coraz silniej jak „wodnice“ o spłowiałych barwach, w niepewnym blasku księżyca się kąpiące. Jedwab szatni, iluzya pnie się pajęczą siecią, wstążki warkoczy mają zapach orzechów cokolwiek wilgotnych a młodość i ożywienie zapala w oczach całe różańce iskierek. Aż szumi od chichotu, aż srebrzy się od białych zębów. Dziewczyny, pochylając się, mają giesta pokornych kotek. Nini wilgotnemi oczami patrzy prosto w twarz Heldinga. Atłas jej ciała mieni się podskórnemi różowemi pręgami mory. Helding, osłupiały, wpatruje się w to bogactwo kształtów i śledzi wstążkę, wiążącą stanik na ramieniu okrągłem i doskonale pięknem.

Nini wzrok ten czuje i prostuje się cała, dumna ze swej dziewiczej krasy, nieskalanej jeszcze dreszczem miłosnej chęci. Podnosi wysoko brodę i ukazuje cudną szyję o delikatnych, przezroczystych tonach ambry...

Helding przymyka na chwilę oczy i osuwa się osłabły, ocierając pot z czoła...

* *
*

W kącie Makenowa widzi ten cały manewr i dostrzegłszy Heldinga pomiędzy panienkami, doznaje nagłego ściśnięcia serca. Zwalcza jednak ten ból przelotny i uśmiecha się jakby zadowolniona z tego powodzenia

kochanka. Ma bowiem przeświadczenie, że Helding z grzeczności usiadł na chwilę w „gołębniku“ i wprędce, znudziwszy panienki, powróci do niej, na dawne swe miejsce. Spokojnie więc śledzi ruchy dziewcząt, ot, jak żona uśmiechająca się pobłażliwie na niewinny żart ze strony męża.

Wydarza się to wprawdzie pierwszy raz, bo zwykle panienki nie zwracały uwagi na Heldinga, jako na „starego kawalera“, niezabawnego i nie liczyły się z nim wcale. Pozostawała mu tylko ona, ona jedna i tak miało już być nazawsze. Tymczasem dziś nagle zmienia się dawny porządek rzeczy...

To śmieszne a jednak te kilka minut zaczynają się jej wydawać wiekiem.

Tem bardziej, że Helding nie zdaje się nudzić panienek, ani być znudzonym. Owszem, ożywienie panuje tam wielkie, całe snopy śmiechu wybiegają w przestrzeń salonu. Makenowa doskonale pomiędzy tym chichotem rozróżnia głos Heldinga. Mówi coś, powoli, ot tak jak on zwykle, ale z trochą więcej energii i ożywienia. Słów Makenowa dosłyszeć nie może, dźwięk głosu dobiega do niej dokładnie.

To dziwne, wydaje się jej, że ten głos, że sam Helding jest od niej bardzo, bardzo daleko i że niknie nagle w całym tumanie ironicznych akordów...

Zagryza usta i doznaje wrażenia zupełnego osamotnienia.

Czuje chłód przejmujący dokoła nóg i wsuwa je szybko pod suknię. Traci pewność siebie i staje się niezgrabną i

jakby związaną. Przeczuwa... śmieszność i kurczy się przed tem ohydnem widmem. Nagle zaczynają jej dolegać rękawy sukni. Są zbyt ciasne w łokciu, a za wolne w ramieniu. Włosy ma zanadto ściągnięte i dreszcze przebiegają ją wzdłuż krzyża. Obronić się nie może, nie potrafi. Śmieszność jest tuż przy niej. Helding nie wraca.

. . . . . .

Powoli w salonie zaczynają dostrzegać, co się dzieje w „gołębniku“. Po za wachlarzami, flirtujące pary z uśmiechem pokazują sobie szpiczastą głowę Heldinga pomiędzy jasnemi i ciemnemi fryzurami dziewczyn. Powoli od gołębnika oczy zaczynają się zwracać ku Makenowej. Wygląda ona tak, jak człowiek, który zgubił swój cień. Mruga szybko oczami i połyka ślinę. Wszyscy znajdują ją trochę śmieszną. *Au fond* musi być zazdrosną... Z bocznych salonów zaczynają schodzić się goście, i wszyscy z najobojętniejszemi napozór minami śledzą rozłączoną tak nagle i niespodziewanie parę. Tiens! tiens!... Helding pomiędzy panienkami? Flirtuje nie na żarty! A Makenowa? Siedzi i patrzy. Enfin... Helding zdobył się na trochę własnej woli. Bardzo naturalne! Mężczyzna!... powinien już skończyć tę śmieszną awanturę. Stary?... e! cóż znowu. To Makenowa stara — Helding jest niemłody, ale jeszcze nie stary. Zestarzał się przy niej. Ileż to lat już trwa ich romans? To nie ma sensu, to powinno się raz skończyć!...

I nagle, razem z chichotem dziewczyn, w tę nudę rautową wpada brutalna chęć tłumu szarpania tej miłości

adoptowanej, przyjętej, tolerowanej. I ci sami, którzy niedawno jeszcze z uśmiechem sympatyi spoglądali na dwie ciemne sylwetki, siedzące w tym nimbie nieugiętej wierności, ci sami teraz odsłaniali tajemnice tego stosunku, który przed laty promieniał i ogrzewał chłód konwenansem mrożonych salonów. Jakaś głucha niechęć zaczynała nurtować dokoła, coś nakształt zemsty za ten tryumf uczucia i doskonałej miłości, która lata całe przetrwała nienaruszona, skończona, nad wszystko silniejsza. Ludzka nędza, niemogąca znieść doskonałej harmonii, radowała się tym niespodziewanym dysonansem wśród zastygłego już w przestrzeni akordu. I ciepły, sympatyczny prąd szedł ku „gołębnikowi“, w którym widać już było tylko plecy dziewcząt, obciągnięte jedwabiem staników i połyskujące drabinkami silnie ściągniętych sznurowadeł. Dziewczyny pochylone ku Heldingowi, całe rozweselone dobrą farsą, jaką baronowej robiły, bawiły się serdecznie, wpatrując w pomarszczoną twarz kochanka Makenowej. Jego długa szyja, po której przesuwało się owe „jabłko Adamowe“, była przedmiotem ich szczególnej obserwacyi. Trącały się łokciami, dusząc się ze śmiechu. Ten stary był wspaniały! Usta miał w podkowę i rzadkie włosy, od lewego ucha nagarnięte ku prawemu. Teraz kosmyk jeden odczepił mu się nagle i powiewał jak siwiejące pióro tryumfalnie ponad uchem. Tego było nadto. Nusia Dobrojewska schowała się za plecy Nusi Małowiejskiej.

Jeszcze chwila, a byłaby na głos parsknęła śmiechem.

Tymczasem Helding, na wpół pijany tym zapachem

blondynek, brunetek naokoło niego zebranych, cały zgorączkowany widokiem biustu Nini, błękitnych oczów Lili, i dołków naokoło ust księżniczki, odmładzał się w tej atmosferze młodości i niezwiędniętego ciała, jaką nagle poczuł dokoła siebie.

Starzejąc się razem z Makenową, zapomniał niemal, że są jeszcze na świecie pełne ramiona, długie warkocze i lśniące oczy. Nagle otoczyła go orgia młodości, dziewczęcego wdzięku, dziecinnego prawie szczebiotu. Długi post w zeschniętych ramionach jednej kobiety, wyrobił w nim ascetę pozornego, pod którym drzemał wiecznie błądzący za nowością mężczyzna. Ręce mu drżały, uszy paliły go, całe czerwone na tle żółtej skóry i resztki włosów. Był śmieszny, nędzny, biedny, w obec tego flirtu, który zdawał się przedłużać w nieskończoność. Z początku nieśmiały, powoli rozzuchwalał się i jak zbudzony ze snu kilkunastoletniego królewicz, dobywał ze swej pamięci przestarzałych komplementów i dowcipów. Panienki znajdowały go zajmującym, widział to po ich ożywieniu, wymawiały mu jego odosobnienie się i widoczne unikanie „gołębnika“. Tłomaczył się powagą wieku, lękając się, aby nie zostawiły tej wzmianki bez zaprzeczenia. Lecz one protestowały gorąco.

— Wiek? cóż to? czy jest starcem, aby się wiekiem przed niemi zastawiał? I coraz milsze, coraz weselsze, nacierały, otaczały go, rzucając od czasu do czasu przelotne wejrzenie na Makenową...

— Oh! ma chère... co za mina!... spojrzyj na Makenową! elle est verte!...

. . . . . .

Teraz już Makenowa uczuła, że pomiędzy Heldingiem i nią otwiera się przepaść. Całe lata wielkiej i gorącej miłości zapadały w przestrzeń, spychane szelestem gołębich skrzydeł i chichotów dziewczęcych. Makenowa instynktem kobiecym odgadywała cały proces obudzenia się Heldinga i zamierała sama z bólu, porównywając swój biust zapadły z przepysznym gorsem Niny, którą widziała dokładnie na tle ciemno czerwonego obicia, tryumfującą i całą różową w blasku płonących kandelabrów. Te głowy dziewczęce, pochylone, bogate w masy ciemnych lub jasnych warkoczy, te plecy giętkie, proste, impertynenckie, zwartym murem otaczające Heldinga, przedstawiały się w jej oczach jak mur silny, straszny, wznoszący się nagle pomiędzy nią i jej kochankiem. Teraz już nie był od niej daleki, ale ten, który niedawno jeszcze był nią samą, oddzielał się od niej, odchodził, stawał się obcym, ciągnąc za sobą jej potłuczone i obolałe serce. Przez chwilę chciała powstać, podejść do fortepianu pod pretekstem przejrzenia nut i wmieszać się w to całe grono, ale czuła na sobie setki spojrzeń i pozostała na miejscu, zdjęta nieśmiałością, gładząc tylko powolnym ruchem pióra swego wachlarza. Nagle jednak zatrzymała rękę, sparaliżowana, z gardłem ściśniętem, z oczyma łez pełnemi, jak zwierzę tropione w legowisku, osaczone psiarnią, grającą przyszły tryumf i krwawą radość. Uczuła się starą, brzydką, śmieszną, spodloną. Była przedmiotem szyderstwa tej całej bandy, której przez lat tyle imponowała

spokojem swego cudzołóztwa. Miała nóż w sercu i kamień wstydu nad głową. Po raz pierwszy może poczuła, że Helding był tylko jej kochankiem, do którego nie miała żadnego prawa... Uciekał od niej, szedł pomiędzy młodsze, weselsze istoty...

I bez kropli krwi na ustach siedziała zgarbiona, straszna, zmieniona, niemal zgrzybiała w tej niemej rozpaczy, którą się dławić zaczynała.

* *
*

W kilka godzin później Helding w ciszy swego błękitnego pokoju stał przed lustrem i z uśmiechem zadowolnienia spoglądał na swą twarz rozjaśnioną.

Tak... bezwątpienia, nie jest jeszcze starym i byłoby szaleństwem z jego strony nie korzystać z tych warunków, które pozwalają mu spędzać od czasu do czasu tak miłe chwile, jak te dzisiejsze.

Zapalił kandelabr na kominku i przyglądał się uważnie swej twarzy, oczom, zębom, włosom. Nucił coś pod nosem i postanowił myć się od jutra w benzoesie, oraz wprawić sobie trzy przednie zęby.

Przymknął na chwilę oczy i uśmiechnął się radośnie, przypomniawszy sobie biust Niny, oczy Lili i dołki księżniczki. Co za dziewczyny!... seperlipopette!... gdzie on miał oczy, że do tej chwili nie dostrzegł, jakie to cacka są obok niego! Prawda, że wiecznie siedział obok Makenowej. Skrzywił się i wzruszył ramionami. Ta Makenowa zanadto

go więzi i przy sobie trzyma!... To dobre było dawniej, ale dziś?... Przytem zauważył, że się bardzo posunęła i dziś, gdy wychodziła z rautu, miała minę zupełnie niemłodej kobiety. Chciała coś do niego przemówić, ale właśnie Nini i Lili podsunęły się i musiał im wyszukać ich zarzutek. Podając rotundę Nini, dotknął niechcący jej ramienia. Jeszcze teraz ukrop przebiega jego żyły. Myślał, że już jest niezdolny do podobnych wzruszeń... Przy Makenowej nie doznawał nic podobnego. Prawdopodobnie dawniej i ona tak na niego działała... Z latami wszakże przyszło przyzwyczajenie!...

Zaczął rozbierać się powoli, wpatrując w płomienie świec, które odbijały się żółtemi gwiazdami w gładkiem tle lustra.

Figlarne są te dziewczęta, miłe i młode! Bodaj-to młodość... ożywiła go! Czuje się sam odmłodniałym, odrodzonym!.. Nie widzi swej brzydoty, chudości i siwych włosów. Zdaje mu się, że gdyby miał taką młodość świeżą i zdrową ciągle obok siebie, wróciłby do lat dawnych, do gorących namiętności trzydziestoletniego mężczyzny.

I z zagadkowym uśmiechem wciąga na nogi pantofle, dar i pracę Makenowej.

Kto wie jeszcze jak będzie. Jest niezależny, wolny, jeszcze młody, powodzenie ma u panien niemałe, może się zdecyduje... ożeni...

. . . . . .

W panieńskich łóżeczkach, pod niebieskiemi, różowemi i białemi kołderkami, leżą „gołąbki“ otulone, z włosami gładko splecionemi z tyłu, z przodu zakręconemi w papiloty. Niebieskie, różowe lub zielone veilleuzy palą się blado przed obrazkami albo statuetkami Dziewicy. Panienki zasypiają spokojnie, wesołe, rozbawione jeszcze tą farsą, jaką urządziły Makenowej i staremu Heldingowi. Uśmiech rozjaśnia ich wpółsenne buzie, gdy myślą o kosmyku chwiejącym się nad uchem i o tem, że Helding wziął ten flirt zbiorowy na seryo a Makenowa z przestrachu i zazdrości pozieleniała.

I doskonałe w swem okrucieństwie, spokojne w tej zbrodni, jaką wyrządziły, rozrywając silne jak śmierć uczucie, zasypiają jedne po drugiej, gołąbki białe niewinne, łagodne w mdławych światełkach, składając na piersiach ręce giestem pensyonarek śpiących w dortoirach Sacré-Coeur, giestem aniołów otaczających fałdy błękitnego płaszcza przezroczystej wśród chmur Madonny.

K O N I E C.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Gabriela Zapolska](#).*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Menażerya ludzka

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wieralee
- Himiltruda
- Salicyna
- NiktWażny
- Seboloidus
- PMG
- Mudbringer
- Airam57
- Rocket000
- ChrisiPK
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR
- Rei-artur
- Zanimum

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium